TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 6 – 12 maja 2026 | nr 19 (4009)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Mały gang wielkiej pomocy

Praca w Polsce: matki na dwa etaty

Ortodoksyjni Żydzi zmieniają Izrael

Rajkowska od palmy po Wawel

Attenborough pozwala widzieć więcej

Papież ma coś do powiedzenia

CZEGO DONALD TRUMP NIE WIE O SILE RELIGII

STR. 10-14

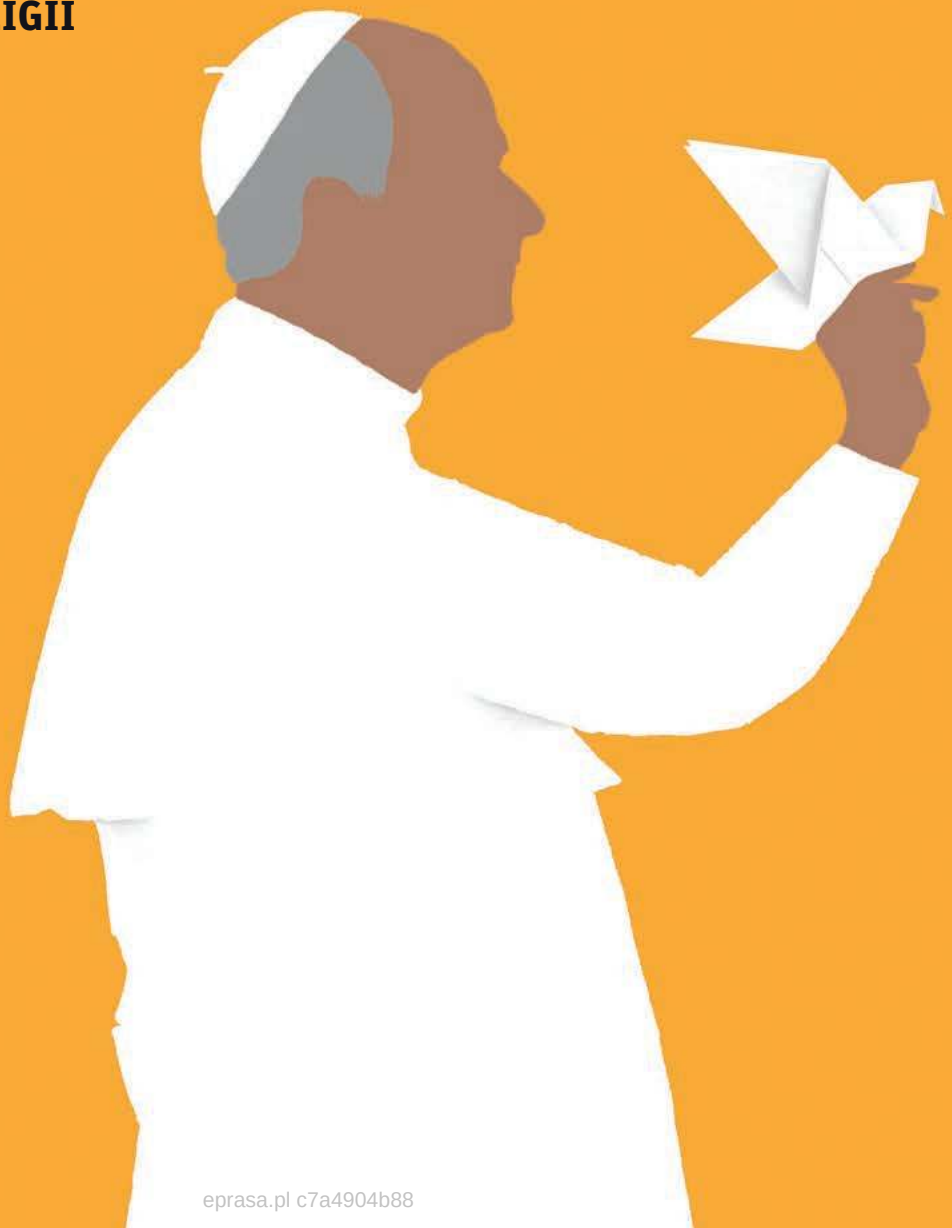

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl c7a4904b88

ALUPROF
SUN SHADING SOLUTIONS
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Mistrzowska promocja
Pergola tarasowa
z oświetleniem LED
GRATIS*
* Regularna wartość zestawu oświetlenia LED wynosi 3 559 zł.
Dotyczy pergoli SB 400, SB 450, SB 550.
REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MONIKA OCHĘDOWSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Białoruś: iluzja zmian
PIOTR POGORZELSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Mała orkiestra wielkiej pomocy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Szok i niedowierzanie: oto bliżej nieznani połowie społeczeństwa influencerzy przebili tkany latami dobroczynny sukces Jerzego Owsiaka. Co tu się stało?*

20 Kobiety na dwa etaty
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Czy na naszym rynku pracy naprawdę doszło do równouprawnienia płci?*

■ ■ PSYCHE

22 Na pełnych obrotach
ANNA KORYTOWSKA: *Z zewnątrz wszystko wygląda normalnie. Jednak za fasadą kryje się życie podporządkowane jednemu: jak najszybciej się napić*

■ ■ ŚWIAT

34 Dzieci, które zmienią Izrael
IGOR KUŚMIERSKI: *Gdy połowę izraelskich Żydów stanowić będą ortodoksi, Izrael stanie się zaprzeczeniem państwa, jakim widzieli go jego świeccy założyciele. Jakie będą tego skutki?*

40 Ostatni spektakl „lalkarza"
KAMIL CAŁUS: *Sąd w Kiszyniowie skazał oligarchę Vlada Plahotniuca na 19 lat więzienia. To wyrok bezprecedensowy*

42 Wszystko jest transakcją
WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA: *Jak wygląda monetyzacja rzeczywistości w świecie Trumpa?*

■ ■ WIARA

44 Kazanie czy śniadanie
KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ: *Jeśli mamy dziś mówić do ludzi, którzy odeszli z Kościoła, to nie przyciągniemy ich, używając tego samego co zawsze języka religijnego*

47 Kobieca cząstka

PAULINA MODEL

ROZMOWA Z MARIĄ MIDUCH, BIBLISTKĄ: *Jeśli postacie kobiece czynimy wzorem tylko dla kobiet, odbieramy mężczyznom bogactwo, z którego też mogliby skorzystać*

TEMAT TYGODNIKA

10 Papież ma coś do powiedzenia
PAULINA GUZIK
Rok temu Robert Prevost, augustianin z Chicago, został pierwszym papieżem z USA. Działania prezydenta tego kraju sprawiły, że słowa Leona XIV brzmią z nową mocą. Czego Donald Trump nie wie o prawdziwej sile religii?

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

■ STRONY SPECJALNE ■

26 KRAKÓW – WSPÓLNOTA KULTURY

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
53 ZUZANNA RADZIK
57 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

REDAKTORKA PROWADZĄCA: MONIKA OCHĘDOWSKA

50 Stany pobudzone
KATARZYNA KOSTECKA: *Stany Zjednoczone zawsze były krajem ekstrawaganckich duchownych*

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Za cenę życia
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *Historia jednego z tych, którzy podczas II wojny światowej byli „oczami aliantów"*

■ ■ NAUKA

58 Język przodków
ROZMOWA Z LAURĄ SPINNEY, POPULARYZATORKĄ NAUKI: *Język ewoluuje zawsze, choćby poprzez błędy*

■ ■ KULTURA

62 W poszukiwaniu siły

MAREK SZCZEPAŃSKI

ALEKSANDER HUDZIK: *Umieszczając na Wawelu swoje najnowsze instalacje, Joanna Rajkowska musiała na nowo przemyśleć, kim jest i co robi jako artystka*

66 Ostatnie chwile szczęścia
OLGA ŻYMINKOWSKA: *Michel Houellebecq wrócił na scenę*

68 Co znaczy czas
ROZMOWA Z HELLE HELLE, PISARKĄ: *Łatwo pomyśleć, że literatura, by była czymś wyjątkowym, musi opowiadać o czymś wyjątkowym. A jest wręcz odwrotnie*

70 Pamięć do złych słów
ADAM WOŹNIAK *o książce „Dadzieja" Anny Jadowskiej*

72 Polecamy

73 Pisarze nie mogą podsycać wojny
JAKUB SZYMCZAK *o powieści Irańczyka Mahmuda Doulatabadiego*

74 Naprawdę zły
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Michael" Antoine'a Fuqua*

75 Niepokój
LEKTOR *o książce „Pobożny taniec" Klausa Manna*

■ ■ ZMYSŁY

78 Attenborozaur
ADAM ROBIŃSKI: *Czego życzyć na setne urodziny najsłynniejszemu popularyzatorowi przyrody na świecie?*

eprasa.pl c7a4904b88

KS. ADAM

Boniecki: *Człowiek wiary*

Rocznica przypada 8 maja. Wieczorem tego dnia 2025 r. kard. Dominique Mamberti ogłosił „Annuntio gaudium magnum...". Wybrany następcą zmarłego Franciszka kardynał Robert Prevost przyjął imię Leon XIV.

Jak to się często zdarza przy takich okazjach, mało kto na placu wiedział, kim jest nowy papież. Amerykanin, którego dziadkowie byli migrantami, i który oprócz amerykańskiego ma także obywatelstwo Peru, bo spędził tam na misjach wiele lat – jest z pewnością kimś, kto widział realny świat z bliska. Pełniąc funkcje przełożonego zakonnego (augustianów), poznał wiele krajów (m.in. Polskę). Jest człowiekiem dokładnym i spokojnym. Skończył studia (oprócz teologii matematykę!), zna kilka języków. Wszystko to oczywiście jest ważne, ale nie jest specyfiką tego człowieka, którego nie przypadkiem papież Franciszek doprowadził do ważnych urzędów w Kurii Rzymskiej i kardynalskiej godności.

Niezwykła jest wiara Leona XIV, a jednocześnie solidność tego, co robi, błyskotliwa wiedza, a jednocześnie autentyczna skromność, ofiarność w służbie Kościołowi i osobista kultura, poddawanie się nakładanym przez urząd obowiązkom i wewnętrzna wolność, a zapewne także osobisty urok – to cechy, które nawet z odległości można wyczytać. Może papież Leon XIV jest ostatnim darem papieża Franciszka dla Kościoła?

W sprawach moralnych papież bywa jednoznaczny, tak jak jednoznaczna jest etyka chrześcijańska.

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA

MONIKA

Ochędowska: *Antagoniści*

Jeden ze świętych amerykańskiego kina, reżyser Martin Scorsese, określił papieża Leona XIV „punktem zwrotnym w historii Kościoła". A Scorsese to gość, który w swojej karierze nakręcił zarówno „Ostatnie kuszenie Chrystusa", jak i „Wilka z Wall Street". Równie mocno interesowało go życie Dalajlamy („Kundun"), jak i pięściarza Jake'a LaMotty („Wściekły Byk").

Pisaliśmy kiedyś na tych łamach, że przez wiele lat pracy nowojorski artysta rozdarty był między duchowymi potrzebami wynikającymi z katolickiego wychowania a gwałtownym, obsesyjnym usposobieniem, które sprezentowały mu sycylijskie geny. To usposobienie kieruje go prawdopodobnie w stronę polityków, gangsterów i chłopców z ferajny (pamiętacie, że to Scorsese zrobił teledysk do piosenki „Bad" Michaela Jacksona?). Nawet dziś, chwaląc słowa i gesty papieża, reżyser pracuje jednocześnie nad filmem o prezydencie Stanów Zjednoczonych Teodorze Roosevelcie (premiera w przyszłym roku).

Wewnętrzne rozdarcie Scorsesego jest skądinąd bardzo

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 83
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl c7a4904b88

Jest przeciwny eutanazji i zabijaniu nienarodzonych dzieci, występował też jasno przeciw małżeństwom jednopłciowym. Nie byłoby jednak w porządku postawić tu kropkę, bo do stania na straży doktryny należy dodać także dobroć i takt. Nie gromi grzeszników, przybliża im Pana Jezusa.

To właśnie w osobowości Leona wydaje się szczególnie ważne. Kiedy się czyta jego kazania, uderza obecność w każdym Jezusa. Trudno oprzeć się wrażeniu, że sam autor stale z Nim obcuje, że Jezus jest dla niego kimś żywym i obecnym. Jasne: mówimy o człowieku bardzo zdolnym, wykształconym i pracowitym, o świetnym organizatorze, który poznał wiele miejsc w świecie i w Kościele, lecz przy tym wszystkim mówimy o człowieku wiary. Wiara obecnego papieża, obecność we wszystkim, co robi, Pana Jezusa, jest widoczna w jego stylu, w jego spokoju, pokorze i uśmiechu. I oczywiście w jego słowach.

7 września 2025 r. papież Leon XIV dokonał pierwszej kanonizacji. Ogłosił (nieomylnie) świętych Carlosa Acutisa, niezwykłego chłopca nam współczesnego, i Piera Giorgio Frassatiego, o którym wielokrotnie w „Tygodniku" pisaliśmy i którego najbliższą rodzinę dobrze znaliśmy. Pier Giorgio był człowiekiem jak inni – pełnym humoru zapalonym alpinistą i palaczem fajki – a jednocześnie był człowiekiem świętym. Ten pontyfikat, ta kanonizacja może być dla nas jakimś znakiem. Jakim? To się jeszcze okaże. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

filmowe. Wiadomo, że dobrana para antagonistów to podstawa wciągającej historii. A w historii potyczek Leona XIV i Donalda Trumpa mamy przecież wszystko, czego potrzebuje kino. Z jednej strony postać pragnąca władzy, która wierzy, że bez jej kontroli świat pogrąży się w chaosie. Jej działania bywają brutalne, ale wynikają z logiki, która w pewnych momentach wydaje się rozsądna. Z drugiej strony postać uosabiająca mądrość, której siła leży w ideach. Między nimi rodzi się konflikt wykraczający poza trywialną rywalizację. To spór o to, czym w ogóle powinien być pokój i porządek – czy należy go narzucać siłą, czy budować poprzez odwołanie do wspólnych wartości.

Hollywoodzki scenarzysta zwróciłby uwagę, że takie postaci zawsze są od siebie zależne: władza potrzebuje uzasadnienia, które daje mądrość, a mądrość bez narzędzi wpływu pozostaje bezsilna. Ale w każdej dobrze skonstruowanej historii nadchodzi też moment, w którym równowaga się rozpada. Konflikt przybiera wówczas formę otwartego starcia, a bohaterowie historii zmuszeni są wybrać – nie między dobrem a złem, ale między wizjami świata, z których żadna nie jest całkowicie bezpieczna.

I to my jesteśmy bohaterami tej historii. ©℗

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

JACEK PAWŁOWSKI
Patrzyli władzy samorządowej na ręce i zapłacili za to ogromną cenę. Polska oczami lokalnych dziennikarzy wygląda zupełnie inaczej niż wielu z nas myśli.

MONIKA OCHĘDOWSKA
Jeden z klasycznych myślicieli miał powiedzieć, że jeśli masz dostęp do ogrodu i biblioteki, to tak naprawdę masz w życiu wszystko. Jego słowa stały się dziś bardzo aktualne.

FILIP SPRINGER
W ochronie środowiska byliśmy pionierami. Dlaczego ostatnio o tym zapomnieliśmy?

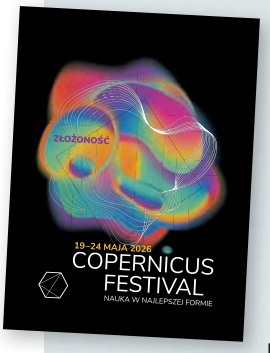

KATALOG COPERNICUS FESTIVAL 2026: ZŁOŻONOŚĆ
Wyjaśniamy, czym jest złożoność i jak nauka próbuje się z nią mierzyć. Przedstawiamy naszych gości: teoretyka złożoności Davida Krakauera, biofizyczkę Ewę Paluch, neuropsychologa Anila Setha, kosmolożkę Hiranyę Peiris i paleoantropologa Johna Hawksa.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl c7a4904b88

OBRAZ TYGODNIA

25 KWIETNIA – 3 MAJA 2026

ANDRZEJ POCZOBUT, po pięciu latach pobytu w białoruskich więzieniach i koloniach karnych, odzyskał wolność. Po przyjeździe do Polski z dziennikarzem i działaczem mniejszości polskiej – wymienionym przez polskie służby przy współpracy amerykańskich, mołdawskich i rumuńskich – spotkał się premier Tusk, a prezydent Nawrocki odznaczył go Orderem Orła Białego. ▪▪▪ **ODGŁOSY STRZAŁÓW** zakłóciły galę korespondentów z udziałem Donalda Trumpa w hotelu Washington Hilton. Secret Service zatrzymało uzbrojonego mężczyznę, który podczas konfrontacji z agentami postrzelił jednego z nich. Wokół niedoszłego zamachu mnożą się teorie spiskowe. ▪▪▪ **LICZBA ŻOŁNIERZY USA** w Niemczech stopnieje o ok. 5 tys. (z ok. 36 tys.). Operacja wycofywania wojsk ma potrwać 6-12 miesięcy, a rzeczniczka NATO Allison Hart mówi, że „Sojusz współpracuje ze Stanami w celu zrozumienia szczegółów decyzji administracji w Waszyngtonie". ▪▪▪ **USA ZAPOWIEDZIAŁY** podwyższenie ceł na samochody z UE o 25 proc. ▪▪▪ **KRÓL KAROL III** w przemówieniu do połączonych izb Kongresu USA wezwał do wzmocnienia sojuszu Ameryki z Europą i przypominał o konieczności dalszej obrony Ukrainy. ▪▪▪ **MIĘDZY IRANEM A USA** wciąż bez porozumienia: Donald Trump nie zgodził się na propozycję otwarcia cieśniny Ormuz (jej blokada spowodowała drastyczny wzrost cen ropy) i odłożenia rozmów o irańskim programie jądrowym na później. ▪▪▪ **WŁADZE TEKSASU** przeprowadziły egzekucję Jamesa Garfielda Broadnaksa, skazanego za morderstwo z 2008 r. Wyrok wykonano mimo zeznań krewnego mężczyzny, który przyznał się do oddania strzałów, i zastrzeżeń związanych z możliwymi uprzedzeniami rasowymi podczas przewodu sądowego. ▪▪▪ **NA WOŁYNIU IPN** zakończył kolejny etap prac poszukiwawczych, w trakcie których odkryto dwie mogiły zbiorowe ofiar rzezi z 1943 r. ▪▪▪ **W SOSNOWCU** pochowano Łukasza Litewkę, a w trakcie pogrzebu tragicznie zmarłego posła bp Artur Ważny poprosił o przebaczenie za „brak uważności, pychę czy arogancję", która wielu uczestników ceremonii na co dzień trzyma z dala od kościołów. ▪▪▪ **ZMARŁ ABP JÓZEF MICHALIK.** Wieloletni przewodniczący Episkopatu miał 85 lat. ▪▪▪ **KOALICJA TRWA:** Sejm odrzucił wnioski o odwołanie ministry klimatu i środowiska oraz ministry zdrowia; wcześniej wśród posłów Polski 2050 pojawiały się głosy o możliwości zagłosowania za odwołaniem min. Hennig-Kloski, która kilka miesięcy wcześniej opuściła ugrupowanie. ▪▪▪ **MACIEREWICZ BEZ IMMUNITETU** (ma zarzut publicznego znieważenia kierownictwa Służby Kontrwywiadu Wojskowego), a posłowie Mejza i Kowalski poza klubem PiS. ▪▪▪ **PREZYDENT ZAWETOWAŁ** nowelizację Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, wprowadzającą możliwość pozasądowego (przed kierownikiem USC) rozwiązania małżeństwa. ▪▪▪ **RADA NOWEJ KONSTYTUCJI,** powołana przez Karola Nawrockiego do przygotowania projektu ustawy zasadniczej, ma w składzie Julię Przyłębską. Donald Tusk apeluje do prezydenta i opozycji o przestrzeganie konstytucji, „zanim zabiorą się za majstrowanie nowej".

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

POWYŻEJ: Andrzej Poczobut podczas uroczystości wręczenia Orderu Orła Białego. Warszawa, 3 maja 2026 r.

ILUZJA ZMIAN

Miejmy nadzieję, że Zachód nie da się nabrać na kolejną pseudowoltę Łukaszenki. Lekcje z poprzednich lat są jasne: po każdej „odwilży" następuje tu jeszcze bardziej sroga zima.

PIOTR POGORZELSKI

Pisanie o zwolnieniu Andrzeja Poczobuta z białoruskiej kolonii karnej nie jest wdzięcznym zadaniem. Odczucie pierwsze i oczywiste to radość, że wreszcie ten działacz polski i dziennikarz jest na wolności, po pięciu latach za kratami. Druga pojawia się myśl o cynizmie, z jakim białoruskie władze traktują więźniów politycznych.

CZŁOWIEK ZASAD | 53-letni dziś Poczobut został zatrzymany w 2021 r., a na początku 2023 r. został skazany na 8 lat kolonii karnej – za „podżeganie do nienawiści", „rehabilitację nazizmu" i „wzywanie

eprasa.pl c7a4904b88

Sprawa Butiagina

POLSKA–UKRAINA ▪ Uwolnienie Butiagina zaskoczyło Ukraińców. Stawiając go przed sądem, chcieli dowieść, że Rosjanie łamiący prawo międzynarodowe na Ukrainie nie mogą czuć się w UE bezkarni. Możliwe, że włączając go do wymiany, Moskwa liczyła na zaostrzenie relacji Polski i Ukrainy.

O ile władze w Kijowie reagowały ze skrywaną irytacją, o tyle Ukraińcy w sieci nie kryli, że czują się zdradzeni przez Warszawę. Lekcja na przyszłość jest taka, jak w przypadku innych spornych kwestii: warto szanować wrażliwość drugiej strony i dbać o informację. Tak jak dla większości Polaków Butiagin to jakiś Rosjanin, który naraził się Ukrainie, tak dla większości Ukraińców Poczobut to jakiś Polak, którego Łukaszenka więził. Nie ma wiedzy, a więc i zrozumienia, jak ważny jest on dla zwykłych Polaków i polskich polityków, niezależnie od obozu.

Po uwolnieniu Butiagin żalił się na „spartańskie warunki" w polskim więzieniu: mógł chodzić na spacer raz dziennie i nie dostawał ukochanych cytrusów. Być może nie wie albo raczej udaje, że nie wie, jakie są warunki w rosyjskich i białoruskich koloniach karnych. Np. Poczobut był ciągle karany karcerem bez spaceru.

do działań na szkodę Białorusi". Chodziło m.in. o jego słowa, że sowiecki atak na Polskę w 1939 r. był agresją. Szerzej: o krytykę reżimu Alaksandra Łukaszenki. A jeszcze szerzej: o prześladowanie mniejszości polskiej, którą dyktator stara się kontrolować.

Według nieoficjalnych informacji, Poczobutowi wielokrotnie proponowano wyjście na wolność w zamian za zwrócenie się do Łukaszenki o ułaskawienie. Odmawiał, bo wiedział, że taka prośba oznacza przyznanie się do winy, a on przecież nic złego nie zrobił. Jest on niewątpliwie człowiekiem z zasadami i człowiekiem honoru.

Jego wyjście na wolność rodzi jednak wiele pytań (ich adresatem nie jest sam zwolniony). Czy polityka Mińska się zmienia? Nie. Ona pozostaje taka sama, choć trzeba przyznać, że liczba więźniów politycznych spada. Wprawdzie systematycznie nabierani są kolejni, ale na mniejszą skalę niż w poprzednich latach.

Motywacja Łukaszenki jest prosta: w zamian za ich zwalnianie oczekuje zniesienia sankcji, nałożonych po sfałszowanych wyborach w 2020 r. i następujących po nich represjach, a także za pomoc Rosji w wojnie z Ukrainą.

PIĘCIU NA PIĘCIU | Poczobut został zwolniony na innych zasadach niż poprzedni więźniowie. Tamci opuszczali kolonie karne i byli deportowani z Białorusi, najczęściej bez dokumentów i możliwości powrotu. Polski dziennikarz wyszedł na wolność na zasadzie wymiany „pięciu na pięciu", w ramach której na Białoruś trafili szpiedzy pracujący dla Mińska i dla Moskwy, a także rosyjski archeolog Aleksander Butiagin, ścigany przez Kijów za prowadzenie prac na okupowanym Krymie. Na podstawie decyzji polskiego sądu miał on być deportowany na Ukrainę.

Poczobut został zatem przyrównany do agentów. Co prawda miał białoruski paszport w ręku (nie ma polskiego obywatelstwa), ale reżim może go w każdym momencie anulować.

Uwolnienie Poczobuta budzi w Mińsku nadzieję na normalizację stosunków z Warszawą. Był on najważniejszym „aktywem" Łukaszenki w negocjacjach z Polską i dyktator postanowił użyć tej karty dopiero teraz. O tym, że Łukaszenka liczy na coś więcej, świadczy także fakt, że w ostatnim czasie nielegalni migranci, których ruch na granicach Białorusi z państwami Unii Europejskiej kontrolują białoruskie służby, zaczęli omijać Polskę. Omijają nas też balony, za pomocą których szmuglowane są papierosy.

CZEGO CHCE MIŃSK | Nadzieje Łukaszenki opierają się na prostej logice: jeśli Warszawa w odpowiedzi na wcześniejsze działania Mińska zamykała przejścia graniczne (m.in. dwa dni po wyroku na Poczobuta Polska zamknęła jedno z kluczowych przejść w Bobrownikach), to teraz przejścia graniczne powinny zostać otwarte.

Otwarte granice są potrzebne Łukaszence z co najmniej dwóch powodów. Jeden to zapewnienie transportu chińskich towarów do państw Unii Europejskiej drogą lądową. Jest to istotny czynnik, ponieważ białoruskie władze chcą mieć dobre układy z Pekinem. Oczywiście dochody z tranzytu też nie są bez znaczenia.

Drugi czynnik, moim zdaniem o wiele ważniejszy, to zapewnienie szlaku transportu dla nawozów potasowych, na którym zależy też Waszyngtonowi (Litwa zablokowała ich transport przez swój port w Kłajpedzie w lutym 2022 r., tuż przed rosyjską agresją na pełną skalę). Donald Trump wie, że nawozów tych potrzebują amerykańscy farmerzy, a ich ceny wzrosły po ataku Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran. Tymczasem zbliżają się wybory uzupełniające do Kongresu.

„ODWILŻ" POZORNA | Nawozy to bynajmniej nie jest banalny produkt dla Białorusi. Do czasu inwazji na Ukrainę na pełną skalę Mińsk kontrolował 20 proc. światowego rynku tej produkcji. W 2019 r. dochody z eksportu nawozów potasowych stanowiły 7 proc. całkowitego eksportu i dawały ponad 4 proc. PKB. Na skutek sankcji eksport w 2022 r. spadł czterokrotnie, do 3 mln ton.

Łukaszenka zdaje sobie sprawę, że zasoby gospodarcze Rosji się kończą, a na wojnie nie widać przełomu, więc musi jak najszybciej znaleźć inne źródła finansowania swojego reżimu. W dodatku niemal połowa białoruskiej gospodarki jest objęta sankcjami (pierwotnymi i wtórnymi); część z nich to odpowiedź na wsparcie Mińska dla wojny prowadzonej przez Moskwę.

Pozostaje nadzieja, że Zachód nie da się nabrać na kolejną pseudowoltę Łukaszenki, który znów wyczuł, że trochę za bardzo zbliżył się do Rosji. Lekcje z poprzednich lat są jasne: po każdej „odwilży" w kraju rządzonym przez Łukaszenkę następuje jeszcze bardziej sroga zima niż poprzednia. ©

Autor jest wicedyrektorem Polskiego Radia dla Zagranicy, prowadzi podkast „Po prostu Wschód".

eprasa.pl c7a4904b88

Meta traci alibi

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Kolejny polski sąd uznał, że Meta odpowiada za reklamy, które publikuje i na których zarabia. Z perspektywy Big Techu to herezja, bo jego model opiera się na wygodnej fikcji „neutralnego pośrednika".

Tocząca się w Polsce sprawa dotyczy deepfake'ów publikowanych na Facebooku i Instagramie, w których bez ich zgody wykorzystywano wizerunki Rafała Brzoski i jego żony Omeny Mensah do reklamowania fałszywych ofert finansowych. W 2024 r. Urząd Ochrony Danych Osobowych nakazał Mecie ograniczyć przetwarzanie ich danych w reklamach na trzy miesiące, a firma zaskarżyła decyzję do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Równolegle Brzoska i Mensah pozwali koncern. Sąd Okręgowy w Warszawie nakazał wstrzymać emisję takich reklam i blokować kolejne. Teraz Sąd Apelacyjny podtrzymał tę decyzję.

„Jeżeli platforma decyduje, które reklamy są publikowane, weryfikuje je przed emisją, targetuje odbiorców i zarabia na tym miliardy, to nie jest neutralnym obserwatorem. To aktywny uczestnik systemu, który musi ponosić aktywną odpowiedzialność" – napisał Brzoska na LinkedIn, dodając, że „to nie jest koniec tej walki. To jest moment, w którym zaczyna pękać model bezkarności wielkich platform!".

Platformy społecznościowe od lat powtarzają, że odpowiedzialność za treść reklam spoczywa na reklamodawcach. Meta powołuje się nawet na status „bezpiecznej przystani", wynikający z unijnego Aktu o usługach cyfrowych, który ogranicza jej odpowiedzialność, jeśli nie wie o nielegalnych treściach, a gdy się dowie, szybko je usuwa. Tyle że Mensah i Brzoska nielegalne reklamy zgłaszali. I publicznie skarżyli się, że Meta reaguje opieszale albo wcale.

Szerszy obraz wyłania się z wewnętrznych dokumentów koncernu, ujawnionych przez Reutersa. Wynika z nich, że już w 2024 r. firma zakładała, iż ok. 10 proc. jej przychodów, czyli mniej więcej 16 mld dolarów, może pochodzić z oszukańczych reklam i zakazanych towarów, a użytkownicy widzą średnio 15 mld reklam „podwyższonego ryzyka" dziennie. Fałszywe reklamy blokowano dopiero przy co najmniej 95 proc. pewności oszustwa. Przy niższej, ale wciąż wysokiej, po prostu drożały. Meta zaprzeczyła ustaleniom Reutersa, podkreślając, że usunęła ponad 134 mln scamowych reklam.

Sprawa Mensah i Brzoski to dopiero początek. W zeszłym miesiącu Consumer Federation of America złożyła pozew zbiorowy przeciwko Mecie, zarzucając jej naruszenie przepisów o ochronie konsumentów przez sposób radzenia sobie z oszustwami. Postępowanie prowadzi też brytyjski nadzór finansowy. Mimo wielokrotnych zapowiedzi walki z wyłudzeniami, tylko w listopadzie zeszłego roku – w trakcie kontroli – na platformach Mety w Wielkiej Brytanii pojawiało się ponad tysiąc takich reklam tygodniowo. ©

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

Mark Zuckerberg zmierza na spotkanie z senatorami w Kapitolu. Waszyngton, 26 marca 2026 r.

Pat w Zatoce

MAREK KĘSKRAWIEC

Bombardowania i blokada morska doprowadziły do ruiny tysiące irańskich przedsiębiorstw, pozbawiając pracy ponad dwa miliony ludzi. Zdaniem amerykańskiego sekretarza skarbu Scotta Bessenta, władze w Teheranie już zaczęły przygotowywać się do upadku reżimu i wyprowadzają ogromne sumy za granicę. Ich sytuację przyrównał do losu szczurów zamkniętych w rurze kanalizacyjnej.

Pomijając odczłowieczający język, jaki stosuje administracja Trumpa, wciąż nie wiadomo, ile jest w stanie wytrzymać islamska republika. Ma ona doświadczenie w radzeniu sobie z ekonomiczną presją, podobnie jak społeczeństwo, które po amerykańsko-izraelskich atakach na infrastrukturę cywilną i zbrodniczym nalocie na szkołę w Minab nie ma już ochoty na bunt przeciw władzy. Nie dojdzie też do eksplozji przeciążonych szybów naftowych, jak twierdził ostatnio prezydent USA, bo Irańczycy potrafią w miarę bezpiecznie wygaszać produkcję i zamykać odwierty, zanim skończą się im zdolności magazynowania nadmiaru ropy.

Najnowszy pomysł Trumpa, by poprzez zbrojne konwoje uwolnić setki statków z Zatoki Perskiej, może oznaczać koniec kruchego rozejmu. Bo dla przyduszonego Iranu skuteczna blokada cieśniny Ormuz to najważniejsza karta w rękawie i na pewno odpowie ogniem na amerykańskie okręty z 15 tysiącami żołnierzy.

Trump musi jednak działać, bo mimo zwiększenia eksportu ropy z USA, martwi go obecny impas, dwukrotny wzrost ceny za baryłkę, gniew Chin oraz problemy z sojusznikami – państwami arabskimi Zatoki Perskiej, którym Stany nie potrafią zapewnić bezpieczeństwa po tym, jak Iran mocno uszkodził 16 baz USA w regionie, niszcząc kosztowne radary, systemy rakietowe i samoloty. Gospodarki krajów Zatoki, oparte na eksporcie ropy i gazu oraz turystyce i tworzeniu warunków dla cyfrowych biznesów, są dziś bliskie załamania. Jeśli nastąpi kolejna eskalacja, a Iran nie zostanie od razu rzucony na kolana, może dojść do całkowitej ruiny państw arabskich, gdy ich szyby naftowe i odsalarnie wody staną się celem irańskiego odwetu.

Według amerykańskiego prawa, po 60 dniach wojny Trump powinien uzyskać zgodę Kongresu na dalsze działania zbrojne. Ale się tym nie przejmuje. Dla niego większy problem to wyczyszczone niemal do połowy magazyny nowoczesnej broni rakietowej. Może to oznaczać, że sojusznicy USA, w tym Polska, bardzo długo poczekają na realizację swoich kontraktów, m.in. na Patrioty. ©℗

eprasa.pl c7a4904b88

Reprografia i reprodukcja

ROBERT KNESCHKE / ADOBE STOCK

KULTURA ▪ Mało istotne podwyżki danin publicznych najlepiej wprowadzać przy okazji innych, poważniejszych zmian. Końcówka rozliczeń podatkowych, gdy cała Polska siedzi z nosem w PIT-ach, też nadaje się do takich pozoracji wyśmienicie. Zapewne dlatego rząd tuż przed majówką zdecydował się wprowadzić dawno zapowiadane rozszerzenie obowiązującej od ponad 30 lat opłaty reprograficznej o urządzenia wyposażone w pamięć, na której można zapisać lub reprodukować dane.

Od nowego roku kupując nowy smartfon, laptop, telewizor z twardym dyskiem, skaner – w zasadzie wszystko, co działa na prąd i pozwala na dostęp do dóbr kultury – zapłacimy 1-2 proc. więcej. Pieniądze z tej opłaty nie trafią do budżetu, lecz do organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, takimi jak ZAiKS czy ZPAV. Dzięki nowej opłacie do twórców kultury trafi rocznie ok. 190–200 mln zł.

Kto zapłaci? Wiadomo, że klienci. Przy kasie podwyżka będzie praktycznie niezauważalna: dość wspomnieć, że w ubiegłym roku ceny urządzeń elektronicznych w Polsce rosły w tempie niemal dwukrotnie wyższym od inflacji. Dodatkowy jeden procent, czyli kilkanaście-kilkadziesiąt złotych, zrobi niedużą różnicę, ale na opłacie reprograficznej rząd na pewno nie zyska popularności.

Organizacje przedsiębiorców od dawna krytykują ten pomysł, ale to akurat nie dziwi. Ze zrozumiałych powodów opłata nie cieszy się też wielkim poparciem społecznym. Polska, jak wynika z raportu Urzędu ds. Własności Intelektualnej z 2024 r., zajmuje czwarte miejsce od końca pod względem częstotliwości korzystania z nielegalnych treści. W 2023 r. przeciętny Polak sięgał po nie ok. 8,3 razy w miesiącu – rzadziej robili to jedynie mieszkańcy Rumunii, Niemiec i Włoch.

Problem w tym, że opłata nie poprawi sytuacji twórców. Można wręcz odnieść wrażenie, że nową daninę rząd wprowadza dla zamaskowania własnej bezsilności w potyczce o podatek cyfrowy. Amerykańskie Big Techy co roku zarabiają w Polsce miliardy złotych na reklamie, korzystając wciąż bezpłatnie z dorobku i pracy tysięcy twórców.

© MAREK RABIJ

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl c7a4904b88

TEMAT TYGODNIKA

PAPIEŻ MA COŚ DO POWIEDZENIA

Rok temu Robert Prevost, augustianin z Chicago, został pierwszym papieżem z USA. Działania prezydenta tego kraju sprawiły, że słowa Leona XIV brzmią z nową mocą. Czego Donald Trump nie wie o prawdziwej sile religii?

TEKST PAULINA GUZIK
ILUSTRACJA NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

eprasa.pl c7a4904b88

Nie uważam, by moim głównym zadaniem było rozwiązywanie problemów świata, choć uważam, że Kościół ma głos i przesłanie, które musi być głoszone" – powiedział Leon XIV w pierwszym i, jak dotąd, jedynym wywiadzie, udzielonym latem 2025 r. dziennikarce portalu Crux, Elise Anne Allen. Po burzy, jaką wywołał Donald Trump, otwarcie krytykując papieża w czasie nasilenia konfliktu z Iranem, słowa papieża brzmią wręcz programowo.

Wiatr od Chiclayo

Wybór 69-letniego augustianina, kard. Roberta Prevosta, zaskoczył wielu. „Kim on jest?" – pytali ludzie 8 maja 2025 r., patrząc na centralną loggię Bazyliki Świętego Piotra, z której wybrzmiewało właśnie „*Habemus papam*".

Nowy papież odpowiedział nie tyle znanym powszechnie życiorysem, ile słowem. „Pokój z wami wszystkimi" – rozpoczął pierwsze wystąpienie. Chwilę później określił się jako syn św. Augustyna i zacytował jego frazę: „Z wami jestem chrześcijaninem, a dla was biskupem". Już w tamtym przemówieniu ujawnił się styl kolejnych miesięcy: przesunięcie akcentu z osoby papieża na wspólnotę i zakorzenienie w tradycji. A dziennikarze, wyszukujący gorączkowo informacji o następcy Franciszka, trafiali na zdanie, które Prevost wypowiedział raptem dwa lata wcześniej, we wrześniu 2023 r., gdy zostawał kardynałem: „Ponad wszystko biskup musi głosić Jezusa Chrystusa". Nie miał wtedy ochoty opuszczać peruwiańskiego Chiclayo, by objąć urząd prefekta Dykasterii ds. Biskupów. Uczynił to z posłuszeństwa – bo „fundamentalną rzeczą dla każdego apostoła Chrystusa jest pokora".

W Watykanie, przez 13 lat próbującym nadążyć za tempem Franciszka – który realizował pomysły, zanim do końca je zwerbalizował – zapanował spokój. Trzy miesiące po konklawe Frank Rocca, jeden z czołowych amerykańskich watykanistów, pisał w „National Catholic Register": „Leon XIV pojawiał się w wiadomościach tak rzadko, jak tylko nowy papież może".

Ale dziś „ten obraz jest już nieaktualny" – zauważa Rocca na łamach „The Atlantic".

Truth Social i Ewangelia

Odpowiedź na pytanie, dlaczego oczy świata znów zwrócone są na Watykan, jest złożona. Owszem, przyczyniły się do tego zarówno konfrontacyjny styl Trumpa, jak i medialna dynamika. Ale kryjące się za nimi napięcie jest dużo głębsze.

Przypomnijmy kolejność zdarzeń, zaczynając od najświeższych. Operacja „Epicka furia" rozpoczęła się 28 lutego 2026 r., a uzasadniając ataki na Iran, amerykańscy przywódcy chętnie sięgali po język i ikonografię religijną. W Niedzielę Palmową, po miesiącu bombardowań (rozszerzonych przez Izrael na terytorium Libanu), papież apelował więc: „Odłóżcie broń, pamiętajcie, że jesteście braćmi!". I cytując słowa proroka Izajasza – „Ręce wasze pełne są krwi!" – tłumaczył, że Bóg nie słucha modlitw tych, którzy toczą wojny.

Kiedy tuż po Wielkanocy Trump zagroził, że zniszczy całą irańską cywilizację, Leon – nie wymieniając jeszcze nazwiska prezydenta – wyszedł do dziennikarzy w Castel Gandolfo, by przypomnieć, że ataki na infrastrukturę cywilną są niedopuszczalne i sprzeczne z prawem międzynarodowym. A cztery dni później, 11 kwietnia, podczas modlitwy o pokój, wołał: „Dość epatowania siłą! Dość wojny! Prawdziwa siła objawia się w służbie życiu".

Po tych słowach amerykański prezydent napisał na portalu Truth Social, że papież jest „słaby w polityce zagranicznej" i jeszcze słabszy wobec przestępców. Leon, pytany o to przez dziennikarzy 13 kwietnia w samolocie do Algieru, odparł: „Nie jestem politykiem. Nie boję się ani administracji Trumpa, ani głośnego głoszenia przesłania Ewangelii. Właśnie po to tu jestem, po to jest Kościół".

Innymi słowy, papież nie wszedł w logikę konfliktu. Zamiast tego narzucił własne ramy rozmowy – ewangeliczne, nie polityczne.

Moralna siła

– Papież jest światowym przywódcą niejako z definicji. To głowa Kościoła liczącego 1,4 mld członków i reprezentant starożytnej tradycji religijnej, która ma wiele do powiedzenia także na temat XXI w. – mówi „Tygodnikowi" George Weigel, autor słynnej biografii Jana Pawła II („Świadek nadziei"), a zarazem konserwatywny komentator amerykańskich debat polityczno-intelektualnych.

– Tyle że jest to przywództwo szczególne – zastrzega. Dodając, że papież nie dysponuje narzędziami władzy politycznej – nie ma ani dywizji, ani lokalnej gospodarki – ale „ponieważ przemawia w imieniu tejże starożytnej tradycji, może wnieść do naszego świata moralną siłę, która nadal się liczy".

Weigel uważa jednak, że burza wokół polemiki Leona XIV z prezydentem USA jest efektem „medialnej obsesji wokół Donalda Trumpa". I żałuje, że przesłoniła ona przełomową, jego zdaniem, papieską podróż do Afryki: – Nie sądzę, żeby którykolwiek papież w Afryce kiedykolwiek wskazał – i to mówiąc wprost do tamtejszych elit – korupcję polityczną i gospodarczą jako główny czynnik ubóstwa. A przecież od dawna wiemy, że to prawda.

Faktycznie, przesłanie papieża w Afryce brzmiało mocno. W ogarniętym separatystycznym konfliktem Kamerunie mówił, że „świat jest niszczony przez garstkę trzymających władzę". Przywódcom Gwinei Równikowej przypominał, że „w świecie zranionym przez butę narody łakną i pragną sprawiedliwości".

Jednocześnie sam zauważył problem uproszczonych narracji, towarzyszących jego podróży od dnia wylotu z Włoch. „Wiele z tego, co napisano od tego czasu, to raczej komentarze do komentarzy, mające na celu interpretację tego, co zostało powiedziane" – mówił dziennikarzom w samolocie z Kamerunu do Angoli. Rzeczywiście, niektórzy z nich, szczególnie przedstawiciele mainstreamowych mediów z USA, każdą wypowiedź Leona, nawet ewidentnie odnoszącą się do problemów Afryki, interpretowali jako odpowiedź Trumpowi.

Głos rozsądku

Słowa papieża w samolocie były jednak czymś więcej niż tylko krytyką mediów. Pokazały, jak trudne do uchwycenia staje się stanowisko Kościoła, gdy nie wpisuje się w dominujące schematy interpretacyjne.

– W świecie gigantycznego chaosu – mówi „Tygodnikowi" Massimo Faggioli, historyk Kościoła i profesor eklezjologii w Trinity College w Dublinie – Watykan pozostał jednym z niewielu głosów globalnego rozsądku.

Głos ten, według włoskiego intelektualisty, nie jest jednak budowany na osobistej charyzmie przywódcy Kościoła, ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ jak to było w przypadku Jana Pawła II czy Franciszka. – Leon zaczął w innym tonie – mówi nasz rozmówca, zauważając, że ten papież przesuwa akcenty „na jedność i kolegialność".

Papież Prevost – dodaje Faggioli – zdaje sobie sprawę z „ryzyka charyzmy", które można określić jako skupienie się świata na każdej opinii, jaką następca św. Piotra wyda. Dlatego pozostaje ostrożny: „nie trafia każdego dnia na pierwsze strony gazet" z powodu narracji o LGBT, diakonatu kobiet czy celibatu, jak zdarzało się Franciszkowi, ale jednocześnie „nie boi się mówić, gdy sytuacja tego wymaga".

Chicago vibes

Może dlatego w samolocie do Algierii papież – przy wyraźnym braku entuzjazmu służb prasowych Watykanu – chodził od dziennikarza do dziennikarza, odpowiadając na pytania o ataki Trumpa. Jakby wiedział, że albo zamknie temat, albo konfrontacja z Trumpem przysłoni wagę jego podróży. A zamykając temat, robił to w bardzo amerykański sposób.

Frank Rocca zauważa, że Prevost to „chłopak z Chicago", które ma „reputację miasta wielkiej polityki". „Gdybym nie był polityczny, nie byłbym człowiekiem" – cytuje w tym kontekście Arystotelesa i zaznacza, że w medialnych interakcjach Leon wręcz strategicznie odwołuje się do swoich korzeni. Gdy z chicagowskim akcentem używa kolokwialnych zwrotów (np. popularnego „off-ramp", określenia na zjazd z autostrady, w kontekście deeskalacji irańskiego konfliktu), zyskuje „dodatkową siłę oddziaływania, szczególnie w USA".

– Chicago to bardzo polityczne miasto – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem" Gretchen R. Crowe, szefowa amerykańskiej agencji OSV News. – Nazywane jest Wietrznym Miastem wcale nie ze względu na warunki pogodowe, ale z powodu politycznej temperatury. Tam po 40 minutach jazdy taksówką poznasz poglądy wszystkich ostatnich burmistrzów. Ale ludzie są tam też bardziej bezpośredni i serdeczni niż w technokratycznym Waszyngtonie.

Taką właśnie chicagowską twarz obserwatora codziennej polityki kard. Prevost pokazywał już przed wyborem na papieża. Prowadził np. własne, prywatne konto na Twitterze (zostało zamknięte kilka dni po konklawe), gdzie podawał dalej polemiki z J.D. Vance'em, gdy ten w wywiadzie dla Fox News odwołał się do zasady „ordo amoris" („najpierw kochasz swoją rodzinę, potem swojego bliźniego, następnie swoją społeczność, potem współobywateli, a dopiero potem resztę świata"), co miało być argumentem na rzecz polityki migracyjnej obecnej administracji.

„J.D. Vance się myli: Jezus nie prosi nas, byśmy hierarchizowali naszą miłość wobec innych" – czytaliśmy na profilu przyszłego papieża komentarz z „National Catholic Reporter". Podobnie było w kilku innych przypadkach, zwłaszcza w kontekście polityki migracyjnej Trumpa, którą jako papież nazwie „ekstremalnie pozbawioną szacunku".

Pijany król i trzeźwy pasterz

Jedną z odpowiedzi na pytanie, dlaczego głos papieża zabrzmiał ostatnio z tak wielką siłą, sformułował w wywiadzie dla „Tygodnika" przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej bp Antonio Staglianò. „Zlaicyzowany świat odkrył, że nie ma odpowiedzi na śmierć. Technika przedłuża życie, ale nie nadaje mu sensu. Rynek dostarcza towarów, ale nie daje pocieszenia. Wobec tej pustki powraca się więc do dawnych bogów. Ale nie do Boga Jezusa Chrystusa, który jest zbyt wymagający, bo zbyt pokojowy" – odpowiedział na pytanie, dlaczego wojna, nacjonalizm i fanatyzm przebierają się dziś w religijne szaty.

Kiedy Trump zamieszcza w swoich mediach społecznościowych obraz siebie samego w mesjańskich szatach, papież przypomina, że „chrześcijaństwo zaczęło się od nagiego człowieka, przybitego do belki krzyża", który „wybaczał swoim oprawcom" i nie może „skończyć na kaznodziei w garniturze pod krawatem, błogosławiącym rakiety".

To może być kontekst świadectwa, jakie daje dziś Leon XIV: w interpretacji amerykańskiego ruchu MAGA (ale też rozmaitych guru Doliny Krzemowej, jak Peter Thiel) chrześcijaństwo to religijność, która – jak mówi bp Staglianò – „zamienia Ewangelię na hymn narodowy, wiarę na siłę, a nadzieję na lęk przed »innym«".

Filtry Leona

Leon XIV jest na antypodach takiej postawy. Gdy podczas jednej z pierwszych audiencji odmówił wspólnego *selfie*, nie była to nieuprzejmość, lecz konsekwencja wcześniejszych słów, by nie patrzeć na niego, a na Chrystusa.

– Myślę, że to kolejny powód, dla którego zwracamy na niego uwagę. W świecie krzykaczy jego głos jest cichy, spokojny i zawsze skupiony na Bogu – mówi Weigel.

Właśnie chrystocentryzm definiuje najmocniej ten pontyfikat. Papież wydaje się mówić: „Nie jestem sędzią w globalnym meczu piłkarskim. Nie jestem arbitrem. Moim przekazem jest Ewangelia" – zauważa nasz rozmówca.

Na tym tle wyłania się coś, co można nazwać „filtrem Leona": nie chodzi o program polityczny ani strategię komunikacyjną, lecz o sposób widzenia świata. To odpowiedź na czas chaosu: w zgiełku milionów zmieniających się w każdej minucie opinii, papież pokazuje to, co niezmienne.

– Gdy pojawił się na loggii bazyliki w wieczór konklawe i przedstawił się światu w tradycyjnym papieskim mucecie, zostałem zapytany w amerykańskiej telewizji: co to oznacza? – wspomina Weigel. – Powiedziałem, że najwyraźniej nowy papież rozumie, że ten urząd ma swoją własną integralność. Że nie chodzi w nim tylko o nowo wybraną osobę: ona jest sługą tradycji papiestwa, nie jej panem.

W tej stałości na czas chaosu jest jeszcze jeden ważny aspekt: Leon XIV napisał we wrześniu 2025 r., że „religie są źródłem uzdrowienia, a nie źródłem podziałów". Brzmi to jak odtrutka nie tylko na polityczną instrumentalizację religii, ale także wszechobecną polaryzację.

Kim jest człowiek

W obliczu rewolucji technologicznej, z którą świat dziś się mierzy, tak jak 150 lat temu mierzył się z rewolucją przemysłową (skądinąd za czasów jego poprzednika, noszącego to samo imię), Leon XIV wraca do pytania: kim jest człowiek? Podkreślając, że w świecie algorytmów nie można poprzestawać na odpowiedzi technicznej. Musi być egzystencjalna.

„Technologia cyfrowa może radykalnie zmienić niektóre z fundamentalnych filarów cywilizacji ludzkiej" – ostrzegał papież w swoim pierwszym orędziu na Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu. W Watykanie mówi się, że jego

eprasa.pl c7a4904b88

encyklika o sztucznej inteligencji ukaże się w ciągu najbliższych tygodni. „Symulując ludzkie głosy i twarze, mądrość i wiedzę, świadomość i odpowiedzialność, empatię i przyjaźń, systemy znane jako sztuczna inteligencja nie tylko ingerują w ekosystemy informacyjne, ale także wkraczają na najgłębszy poziom komunikacji, czyli ten dotyczący relacji międzyludzkich" – mówił Leon we wspomnianym orędziu.

Kiedy Leon XIII pisał „Rerum Novarum", w fabrykach Manchesteru, Mediolanu i Łodzi ginęli w wypadkach robotnicy – niewidoczne ofiary tamtej rewolucji, których rodzin nie było nawet stać na ich godny pochówek. Dziś ziemią obiecaną staje się Dolina Krzemowa, z tą różnicą, że matki płaczące nad grobami dzieci tej rewolucji mogłyby napisać na nagrobkach: „zabite przez algorytmy".

Czy encyklika Leona ma potencjał, by stać się punktem odniesienia dla owładniętego fantazjami zysku i władzy świata?

– Ten papież, podobnie jak Jan Paweł II, rozumie, że Chrystus objawia prawdę o człowieku: kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jakie jest nasze przeznaczenie. Dotyka to wielu kwestii: relacji międzynarodowych, wolności religijnej, organizacji gospodarki, etyki medycznej, relacji międzyludzkich. Chrystus w centrum – myślę, że będzie to jeden z głównych tematów całego pontyfikatu – mówi George Weigel.

Wpływowa prostota

Według Leona fundamentalną relacją człowieka jest jednak relacja z Bogiem.

„Całą etykę chrześcijańską można w istocie streścić w tym ciągłym przypominaniu sobie, że Bóg jest obecny: On jest tutaj" – napisał we wstępie do nowego wydania jednej ze swych ulubionych książek – „O praktykowaniu Bożej obecności" Brata Wawrzyńca od Zmartwychwstania, XVII-wiecznego francuskiego karmelity.

W grudniu 2025 r. papież powiedział, że książka ta jest jednym z tekstów, które najbardziej ukształtowały jego życie duchowe. A na prostotę jego rekomendacji zwrócił uwagę amerykański reżyser Martin Scorsese, pisząc laudację dla Leona, który znalazł się w kwietniu na okładce magazynu „Time" jako jeden ze 100 najbardziej wpływowych ludzi świata.

> Nie chodzi o program polityczny ani strategię komunikacyjną, lecz o sposób widzenia świata. W zgiełku milionów zmieniających się opinii papież pokazuje to, co niezmienne.

„Dobrze znam tę książkę" – pisał Scorsese o maleńkim dziele Brata Wawrzyńca. „Przyjaciel dał mi egzemplarz kilka lat temu, a ja od tamtej pory przekazałem go wielu innym. Oferuje ona wzór odnajdywania Boga w życiu codziennym i wyprowadzania Kościoła z budynków, choćby najbardziej majestatycznych, w codzienność".

Swoją codzienność papież łączy z jeszcze jednym filtrem – słuchania.

– Jest bardzo dobrym liderem i bardzo uważnym słuchaczem – mówi „Tygodnikowi" kard. Jean-Claude Hollerich, arcybiskup Luksemburga i relator generalny synodu biskupów. – Słucha każdego, co nie oznacza, że zgadza się z każdym – zauważa kardynał, dodając, że papież „rozmyśla i modli się nad tym, co słyszy, a kiedy nadchodzi czas, podejmuje decyzje".

Budowanie jedności zaczął od kolegium kardynalskiego, a „poczynił kroki, by te wartości wprowadzać również w całej kurii rzymskiej" – dodaje Faggioli, zaznaczając, że z tym gremium Leon ma lepsze stosunki niż Franciszek. Choć paradoksalnie kardynałowie chętniej wspominają poprzednika: mówiąc o nowym „szefie", ważą każde słowo, jakby wciąż jeszcze się go uczyli. Nawet jeśli w tej nauce stylu Leona nie trzeba wcale sięgać daleko.

Bo przecież kluczem do zrozumienia pontyfikatu pozostaje augustiańska tożsamość Roberta Prevosta.

Augustyńskie ordo

Papież często się wzrusza. Emocje odbijają się na jego twarzy, nie ukrywa ich. Ostatnio widać to było, gdy stał wśród ruin starożytnej Hippony, miasta, którego biskupem był założyciel jego zakonnego zgromadzenia.

– Myślę, że najsłynniejsze zdanie napisane przez Augustyna pochodzi z Księgi Dziesiątej „Wyznań": „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie" – zauważa Weigel w rozmowie z „Tygodnikiem". – W tym zdaniu zawiera się antropologia, która kształtuje myślenie Leona. Człowiek jest istotą niespokojną, a ten niepokój prowadzi go ku Bogu.

– Jeśli wrócimy do św. Augustyna, to będzie to ten biskup, który stanął wobec barbarzyńców i wandalów – mówi z kolei Faggioli, widząc w tym również styl, w jakim Leon odpowiada na współczesny chaos. Augustyńskie „ordo" oznacza nie tylko porządek świata, lecz także porządek wewnętrzny. Pokój zaczyna się od panowania nad własnym wnętrzem, a wewnętrzna dyscyplina prowadzi do „harmonii, zgody i komunii".

Na tym tle Leon znów jawi się jako zaprzeczenie politycznego mesjanizmu. – Jest właściwie przeciwieństwem Trumpa – podkreśla Faggioli, wskazując, że podczas gdy Trump jest „człowiekiem zdominowanym przez swoje namiętności", Leon, jako augustianin, wierzy, że „bycie człowiekiem to przede wszystkim panowanie nad własnymi namiętnościami". – To biegunowo przeciwstawne stanowiska – mówi nasz rozmówca.

Jest jeszcze jeden element, który dla augustianina staje się kategorią fundamentalną – to modlitwa. Augustyn pisał o niej jako o nieustannym ruchu serca ku Bogu. W rozmowie z korespondentką OSV News na pokładzie samolotu do Algierii papież wskazał „List do Proby" ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ św. Augustyna jako inspirującą lekturę, mówiąc, że biskup Hippony daje w nim „wspaniałe wskazówki i podpowiedzi, jak nasza modlitwa może być naprawdę znacząca”.

Sprawdźmy: Augustyn opisuje tam modlitwę nie tylko jako mowę skierowaną do Boga, ale jako pragnienie. Prawdziwa modlitwa, pisze, polega nie tyle na słowach, co na nieustannym pragnieniu serca.

Ten rytm – cichy, powściągliwy, a zarazem wytrwały – wyznacza pontyfikat Leona XIV.

Sprawiedliwa wojna

I znów: augustyńskie uporządkowanie może być szczególnie przydatne w wojennych czasach. Np. w powracających stale dyskusjach o wojnie sprawiedliwej.

„Teoria wojny sprawiedliwej może być inteligentnie omawiana tylko w ramach szerszej dyskusji o katolickim pojęciu pokoju jako tym, co św. Augustyn nazwał »tranquillitas ordinis« – pokojem złożonym z bezpieczeństwa, sprawiedliwości i wolności” – napisał ostatnio Weigel, podkreślając, że jako wychowanek Augustyna papież może mieć wiele do powiedzenia w kwestii sprawiedliwego pokoju na Ukrainie, polegającego nie tylko na zaprzestaniu działań wojennych, ale i odbudowie zniszczonego kraju.

Kiedy zobaczymy Leona wysiadającego z pociągu w Kijowie? Na to pytanie trudno odpowiedzieć, ale skoro pojechał do strefy otwartego konfliktu w kameruńskiej Bamendzie, to taki scenariusz nie jest niemożliwy. Na razie wydaje się, że Leon chce przywrócić równowagę papieskich pielgrzymek do krajów tradycyjnie katolickich, przede wszystkim europejskich, gdzie problemem jest inny front – pędzącego sekularyzmu. Taka będzie pielgrzymka do Hiszpanii – i kolejna, do Francji, o której mówi się w kontekście jesieni.

Antropologia Leona wywodzi się z myśli św. Augustyna: człowiek jest istotą niespokojną, a niepokój prowadzi go ku Bogu.

Siła ciszy

We wspomnianym wywiadzie rzece, który ukazuje się właśnie w USA jako jego biografia, papież mówi Elise Anne Allen: „Musimy nieustannie przypominać sobie o potencjale ludzkości, aby przezwyciężyć przemoc i nienawiść”. Żyjemy w czasach, kontynuuje, „w których polaryzacja wydaje się być jednym z najpopularniejszych słów, ale nikomu nie pomaga. A jeśli już komuś pomaga, to bardzo niewielu, podczas gdy wszyscy inni cierpią. Myślę, że ważne, aby nadal podnosić te pytania”.

Słowo „pytanie” jest tu istotne, bo domaga się odpowiedzi, a ta – jeśli ma być przemyślana – rodzi się w ciszy.

W świecie, który nagradza lajkami krzyk i medialne „ja”, Leon XIV wybiera ciszę. Dlatego jego głos, gdy już go zabiera, brzmi dobitnie i jest zauważany.

© PAULINA GUZIK

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl c7a4904b88

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ! PŁATNOŚCI POWTARZALNE BLIK

Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Erste Bank Polska S.A., ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c7a4904b88

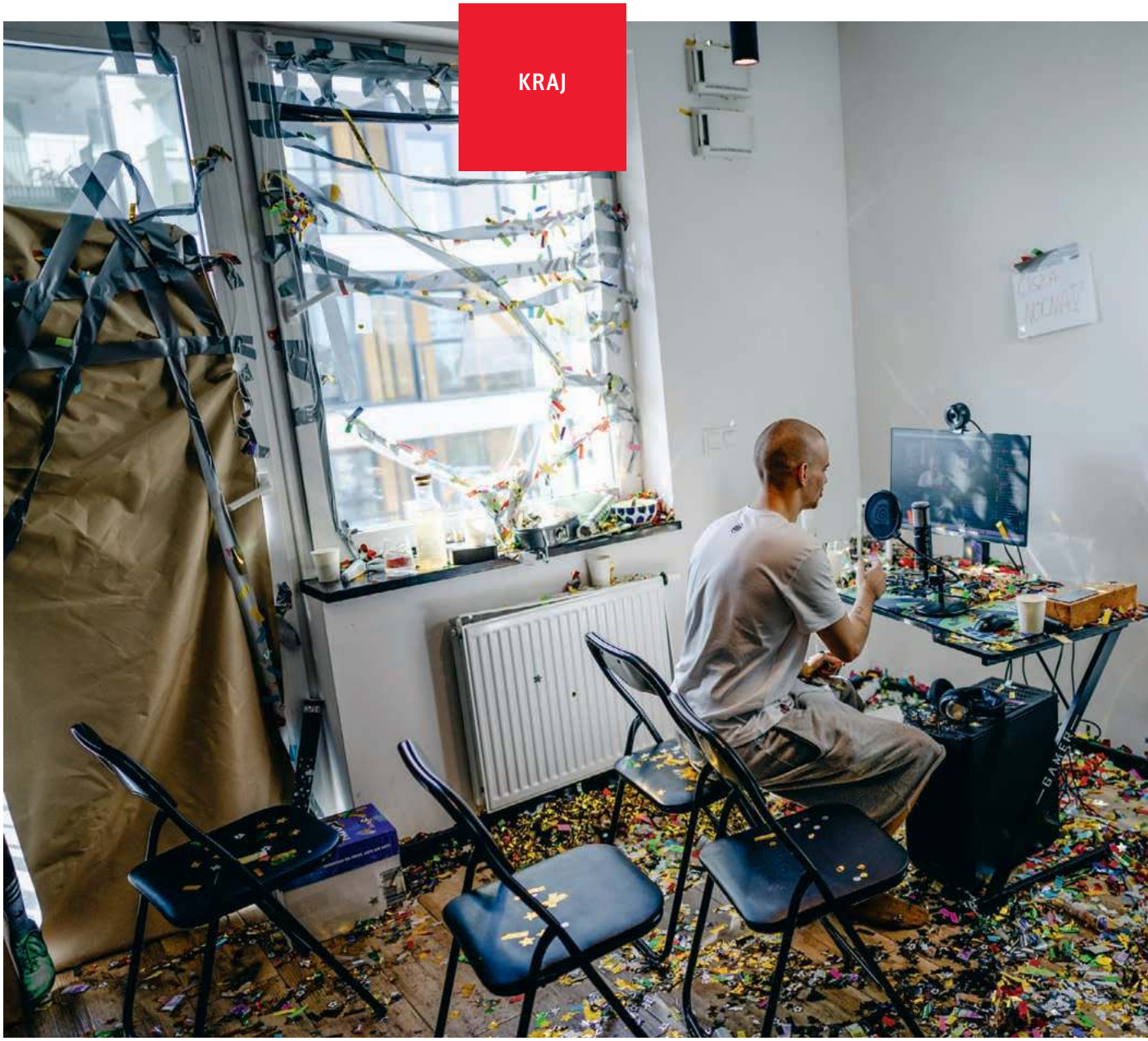

Piotr Garkowski alias Łatwogang podczas swojej rekordowej zbiórki. Warszawa, 26 kwietnia 2026 r.

MAŁA ORKIESTRA WIELKIEJ POMOCY

W świecie boomersów, iksów i igreków szok i niedowierzanie: oto bliżej nieznani ponad połowie społeczeństwa influencerzy przebili w dwa tygodnie tkany latami dobroczynny sukces Jerzego Owsiaka. Co tu się stało?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

eprasa.pl c7a4904b88

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Zdziwienie. To ono musiało dominować i – niczym zmieniające się jak szalone cyferki licznika pieniędzy – narastać z każdym dniem zbiórki influencera Łatwoganga na chore onkologicznie dzieci. Wraz z pytaniem życzliwie zdumionej „Polski 40 plus": jak to w ogóle możliwe?

Jakim to socjologicznym prawem dwaj młodzi ludzie – raper i influencer – o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia, porwali do ponadpokoleniowego działania Polaków, zbierając ćwierć miliarda złotych? Jak to się stało, że zrobili to bez konsultacji z „uznanymi autorytetami"? W małym pokoiku z kamerką, który w niczym nie przypomina naszych stacji telewizyjnych? Bez przygotowań? Akcji promocyjnych? Armii wolontariuszy? Udziału powszechnie rozpoznawalnej organizacji dobroczynnej?

Właśnie od tego zdziwienia zaczynam rozmowę z dr Kingą Wojtas, prezeską Fundacji Stan, zajmującej się m.in. zaangażowaniem młodych pokoleń w życie publiczne. Rozmawiamy, bo dr Wojtas, politolożka z UKSW, badała niedawno zachowania – także te dobroczynne – najmłodszych Polaków. Ale szybko znajdujemy też wspólny generacyjny język (oboje jesteśmy w tzw. średnim wieku, a zetki i jeszcze młodsze od nich alfy to pokolenia naszych dzieci), którego częścią w ostatnich dniach stało się właśnie westchnienie zdziwienia.

– Tak, właśnie zdziwienia, bo przecież większość z nas nie miała pojęcia, kim jest autor zbiórki youtuber Łatwogang, i kto to jest stojący za całą historią raper Bedoes, który nagrał stanowiący początek wszystkiego utwór – mówi dr Wojtas. – Nagle się okazało, że istnieje świat, w którym my nie uczestniczymy, i życie, bardzo angażujące życie, które było dla nas kompletnie niedostępne. Ci dwaj nieznani nam młodzi ludzie robią w dziewięć dni zbiórkę, która przynosi więcej środków niż WOŚP, będąca historią naszego pokolenia. O ile jednak fenomen Orkiestry jest dla nas łatwy do wytłumaczenia, tutaj reagujemy zaskoczeniem.

Porwijmy się więc na to pytanie – co tu się właściwie stało? – śledząc kolejne etapy tej historii. Na czele z pierwszym jej rozdziałem: losami pewnej dziewczynki.

Ciągle tutaj jestem

– Co zapamiętasz z tych dwóch tygodni? – pytam już po zakończeniu zbiórki Tomasza Zająca, Przemyślanina, tatę dwójki dzieci, w tym nastolatki Renaty, od lat zmagającej się z powikłaniami po onkologicznym leczeniu guza rdzenia kręgowego. – Refren – odpowiada Zając bez nawet sekundy zawahania. – Refren, a przede wszystkim pojawiające się w nim tytułowe słowa: „Ciągle tutaj jestem". Te słowa zapamiętałem, bo przecież dotykają też naszego życia. I to na wielu poziomach.

„Ciągle tutaj jestem (diss na raka)" to trwający ledwie dwie minuty i czterdzieści sześć sekund utwór, który obejrzało i wysłuchało już ponad 7 mln Polaków. Nagrany przez rapera Bedoesa (Borysa Piotra Przybylskiego) i 11-letnią Maję Mecan, wyciska łzy, ani przez sekundę nadmiernie nie epatując cierpieniem. „Jeśli tak samo chorujesz na raka jak ja, ten utwór jest dla ciebie" – rapuje ogolona niemal na zero dziewczynka, by w refrenie wykrzyczeć wspomniane przez Tomasza Zająca credo: „Ciągle tutaj jestem / Myślałeś, że mnie masz? / Ciągle tutaj jestem / Śmiejemy ci się w twarz".

To właśnie od tego utworu, wypuszczonego na YouTubie 14 kwietnia, rozpocznie się po kilku dobach dziewięciodniowy dobroczynny maraton, czyli prowadzona non stop charytatywna transmisja Łatwoganga. Przyciągająca przed ekrany telefonów i laptopów tłumy Polek i Polaków, notując w piku rekordowe 1,6 mln widzów. Transmitowana w apogeum rozgłosu przez tradycyjne stacje telewizyjne z różnych ideowych galaktyk (TVN24 i TV Republika). Zagarniająca do udziału i hojnego opróżniania portfeli wszystkie możliwe – celebryckie, sportowe, artystyczne – znane twarze, włącznie z Robertem Lewandowskim, Wojtkiem Szczęsnym, Sanah czy Marylą Rodowicz (a nawet Ronaldinho czy liderem Coldplay Chrisem Martinem). Z gnającym licznikiem zbiórki, który zatrzyma się poza granicą 280 mln złotych, co uczyni akcję Łatwoganga nie tylko większą od tej Owsiaka, ale ponoć także największym dobroczynnym eventem w historii światowego internetu.

W jej centrum będzie od początku do końca historia rapującej Mai. Wpierw wyczerpujące leczenie ostrej białaczki szpikowej: przeszczep szpiku, chemioterapia, dochodzenie do siebie. Później dwie wznowy, które zaatakują – poza szpikiem – także płuca, jelita i oko dziewczynki, przybierając wyjątkowo ciężką postać.

– Nawet nie wiesz, jak słowa „Ciągle tutaj jestem" Mai współgrają z naszym i Renaty życiem, a pewnie też z życiem innych rodzin, w których jest chorujące onkologicznie dziecko – opowiada Tomasz Zając, razem z żoną Iwoną twórca popularnego profilu „Renia walczy z rakiem".

– „Ciągle tutaj jestem", jakby wbrew słowom neurochirurga, który, przesuwając się powoli ku windzie, powiedział nam w szpitalu lata temu, że Reni „zostały jakieś trzy miesiące". „Ciągle tutaj jestem" na przekór społecznemu stereotypowi, że rak to wyrok. „Ciągle tutaj ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ jestem", tzn. wciąż potrzebuję wsparcia, pomimo wyleczenia samego guza, bo w przypadku tego nowotworu najtrudniejsze są powikłania: neurologiczne, okulistyczne i inne. „Ciągle tutaj jesteśmy" jako rodzina, przeżywająca przez te lata strach, nadzieję, szczęście, doświadczająca opuszczenia przez niektórych znajomych, lęku innych. Z nieprzespanymi nocami, chemiami, rehabilitacją, powikłaniami, rezygnacją i powrotem nadziei. „Ciągle tutaj jestem" – to mocne i wieloznaczne hasło, które musiało trafić nie tylko do rodzin takich jak nasza, ale też do pozostałych Polaków – dodaje Zając.

Solidarność nasza i ich

Trafiło błyskawicznie zwłaszcza do młodych, bo poza uniwersalną siłą historii Mai i rozpoznawalnością w tej grupie wiekowej frontmanów akcji, także jej format wpisał się w generacyjne gusta. – Dla pokoleń zet i alfa, urodzonych w drugiej połowie lat 90. i latach dwutysięcznych, solidarność jest czymś innym niż dla starszych generacji – mówi dr Kinga Wojtas, która w ramach projektu Stowarzyszenia 61 badała ostatnio różne aspekty funkcjonowania alf. – U nas przejawiała się ona często przynależnością do wspólnot, organizacji, czasami partii, u nich znacznie częściej jest emocjonalnym odruchem w reakcji na konkretną potrzebę ludzką. Zetki i alfy lubią działać nieformalnie, najchętniej poza instytucjami, które są dla nich albo nieistotne, albo podejrzane. Nie mają tradycyjnych autorytetów, nie oglądają telewizji, a tym bardziej nie czytają, z szacunkiem dla „Tygodnika", prasy drukowanej – uśmiecha się dr Wojtas.

I dodaje, że dla pokoleń młodszych ważne jest też w podobnych akcjach błyskawiczne doświadczenie poczucia sprawczości. – To dlatego tak bardzo zadziałała tu historia Mai, ale też formuła zbiórki Łatwoganga – mówi prezeska Fundacji Stan. – Wpłacam te moje 20 złotych i chcę już na ekranie, w trakcie transmisji zobaczyć, że „Buziaczek185", czyli właśnie ja, dołożył do akcji swoją część. Istotny jest też widoczny w takim spontanicznym internetowym streamie egalitaryzm: 20 złotych „Buziaczka" ma szansę zaistnieć online na równi z 6,3 mln zł wpłaconymi przez firmy-rekordzistki. Tego akurat elementu nie ma w porównywanej często do zbiórki Łatwoganga Orkiestrze Owsiaka: nasze 20 złotych ląduje zwykle anonimowo na dnie puszki albo na koncie.

Zbiórka Łatwoganga jest jak pokoleniowy pas transmisyjny,
dzięki któremu starsze generacje przyjrzały się bliżej własnym dzieciom i wnukom.

Co jeszcze w zrzutce Łatwoganga zadziałało na Polaków, że zebrali tak niewyobrażalną sumę? Rzut oka na kluczowe wnioski i dane z opublikowanego niedawno przez Fundację Pomagam.pl raportu „Jak i dlaczego pomagam? Portret darczyńców w Polsce" pozwala na wniosek, że ta akcja była jak skrojona pod charytatywne upodobania Polaka AD 2026. „Cenimy proste płatności online bez zobowiązań" – donoszą autorzy dokumentu. 56 proc. z nas „woli pomagać konkretnym osobom niż NGO". Aż 61 proc. respondentów „ocenia swoje wsparcie jako spontaniczne i emocjonalne". Do tego dodajmy podawaną przez wszystkie możliwe raporty triadę celów, które dla Polaków – w odróżnieniu od „abstrakcji" takich jak równość czy demokracja – godne są opróżnienia portfela. To zdrowie (w raporcie Pomagam.pl na pierwszym miejscu z 56 proc. wskazań), zwierzęta i pomoc społeczna.

Dodajmy do tej listy koniecznych warunków charytatywnego sukcesu jeszcze jedno: charyzmę lidera.

Gdzie Owsiak, a gdzie Łatwogang

Ci dwaj faceci, odtwarzani przeze mnie jeden po drugim na YouTubie, różnią się bardziej tłem niż temperamentem i stylem: inna jest jakość obrazu, inny ubiór epoki i dekoracje.

Ale Owsiak jako 40-latek w żółtej koszuli oraz krótko ścięty Łatwogang, patykowaty 23-latek, na którym wisi jasny t-shirt z napisem „Cancer Fighters" – krzyczą z podobnym zaangażowaniem i charyzmą, obaj doprowadzając się do chrypy i na skraj wyczerpania. Obaj też mają kondycję telewizyjnych (internetowych) maratończyków, obaj potrafią porwać tłumy i wzruszyć – siebie samych i innych.

Można ich porównać w jeszcze inny sposób. Zapytani na starcie swojej przygody, kim właściwie są i co robią, mogliby mieć problem z odpowiedzią. Jerzy Owsiak z przełomu PRL-u i III RP to przecież nadal i witrażysta, i gitarzysta, i organizator koncertów muzyki alternatywnej, i dziennikarz, i autor absurdalnych pogadanek tak radiowych, jak i telewizyjnych. A wreszcie organizator zyskującej dopiero na popularności akcji, której dalsze losy po niepewnych początkach były zagadką.

Urodzony w Warszawie Piotr Garkowski alias Łatwogang mógłby konkurować dziś z pokręconym prawie cztery dekady temu życiorysem Owsiaka. Niedoszły magister zarządzania został influencerem, twórcą internetowym, youtuberem i tiktokerem, który popularność zyskiwał kolejnymi, coraz to bardziej abstrakcyjnymi przedsięwzięciami. Wymieńmy tylko kilka z tych najczęściej opiewanych, jak publikacja na Instagramie zdjęcia swojej stopy, które zyskało rekordowe 1,2 mln polubień, piesza wyprawa z Gdyni do Krakowa, rowerowa jazda do Afryki czy też rozliczne tiktokowe tzw. wyzwania.

Według działaczki społecznej i ekspertki od trzeciego sektora Róży Rzeplińskiej analogie między Owsiakiem a Łatwogangiem nie kończą się na charyzmie i spontanicznych szaleństwach w – trzy dekady temu telewizyjnym, a teraz domowym – prowizorycznym studio. – Oczywiście: wtedy też była niesłychana energia, hałas, koła gospodyń wiejskich, muzyka i szaleństwo. Ale ludzi porwała też zapewne – i wtedy, i teraz – ekstaza, która przynajmniej początkowo nic nie miała wspólnego z żadną instytucją. I jeszcze jedno: to WOŚP nauczył Polaków modelu ogólnonarodowej zrzutki, z którego Łatwogang teraz korzysta. Zwłaszcza że po trzech dekadach jesteśmy jako społeczeństwo bogatsi i bardziej skłonni do dzielenia się – podkreśla Rzeplińska.

Z dala od polityki

Ale wszelkie analogie mogą zadziałać tylko wtedy, gdy porównujemy z Łatwogangiem ówczesnego Owsiaka. Bo ten dzisiejszy to jednak postać z innej bajki

eprasa.pl c7a4904b88

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Jerzy Owsiak podczas 34. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Warszawa, 25 stycznia 2026 r.

i epoki – z wszelkimi tego zaletami i wadami. Zaletami, bo szef Orkiestry poza milionami zebranymi na zdrowie Polaków budował przecież mozolnie dzieło znacznie trwalsze: rozpoznawalną fundację, szanowaną pomocową markę, a nade wszystko kulturę pomagania nad Wisłą. I wadami, bo po drodze dał sobie poprzyklejać etykiety ulubieńca salonów i pupila jednej opcji politycznej (na ile z własnej winy, to zupełnie inny spór).

Tego wszystkiego unika na razie jak ognia Łatwogang. Pogonił w trakcie zbiórki polityków, nie wpuszczając na antenę prezydenta Nawrockiego (nieliczni działacze prawicy, którzy próbowali przeciwstawić zbiórkę Łatwoganga „państwu Tuska" i „nieprzejrzystej zbiórce Owsiaka", narazili się wyłącznie na śmieszność), o ile nie przyjdzie do niego razem z Tuskiem. I choć przez studio Garkowskiego na przestrzeni tych dziewięciu dni przewinął się tabun tzw. autorytetów starszych generacji, to jednak Łatwogang ugościł ich na własnych – i własnego pokolenia – warunkach.

– Proszę zwrócić uwagę, że gdy w tym streamie pojawiała się np. dziennikarka kojarzona z jedną opcją polityczną, to w komentarzach widzieliśmy od razu gremialne „buuuuu" – zauważa dr Kinga Wojtas. – Młodsze pokolenia, co też widać w naszych badaniach, interesując się często polityką, gardzą równocześnie i politykami, i wszystkim, co się z nimi instytucjonalnie kojarzy. Nie lubią np. tradycyjnych, wielkich telewizji. Nie oznacza to, że są poza debatą publiczną: po prostu dla alf źródłem kontaktu ze światem jest najczęściej TikTok, a dla zetek Instagram. Trudno się więc dziwić, że gdy w streamie pojawiła się osoba prowadząca popularny program telewizyjny, w ramach którego remontuje się ludziom domy, i zaproponowała taki remont w kawalerce Łatwoganga, została sprowadzona na ziemię.

Od Szpakowskiego do Nosowskiej

To wszystko jednak, dodaje politolożka, nie oznacza, że alfy i zetki czują z definicji niechęć do starszych autorytetów, co również pokazała dziewięciodniowa impreza Łatwoganga. – Wielu z nich np. kocha komentarze Dariusza Szpakowskiego: sport to zresztą jedyne, co najmłodsi oglądają wspólnie z 40-, 50-letnimi rodzicami – mówi dr Wojtas. – Moniki Olejnik młodzi nie zaakceptują politycznie, ale uważają ją za bohaterkę lajfstajlu i mody. Nie obejrzą jej programu, ale zobaczą rolkę. Z kolei Kasia Nosowska, która u Łatwoganga ogoliła się solidarnościowo na łyso, funkcjonuje w młodszych pokoleniach jako uznana artystka, bo nagrywa piosenki z młodszymi wykonawcami.

Wniosek z tego wszystkiego dla pokoleń starszych, które zresztą też masowo włączyły się w zbiórkę, może być dość zaskakujący. To alfy i zetki mają znacznie lepiej rozpoznany – i przerobiony na własne potrzeby oraz gusta – świat swoich rodziców, niż odwrotnie. Akcja Łatwoganga zaciągnęła do małej warszawskiej kawalerki kawał znanej nam Polski – nawet jeśli czasami przerobionej na mema. Z drugiej strony było wspomniane zdziwienie: że istnieje obok nas jakiś nieznany nurt życia.

W tym sensie zbiórkę Łatwoganga można potraktować jako pokoleniowy pas transmisyjny, dzięki któremu starsze generacje przyjrzały się bliżej własnym dzieciom i wnukom.

Rozliczenia

Ale dopiero na końcu tej historii może się zrobić swojsko – i niekoniecznie tak karnawałowo. Bo gdy opadł już pierwszy kurz po rewelacyjnej zbiórce, zaczęły wychodzić zastrzeżenia: i te toksyczne, i te warte rozważenia. Że takie zbiórki jak Owsiaka czy Łatwoganga rozleniwiają polskie państwo, skąpiące na ważne cele, zwłaszcza na ochronę zdrowia. Że bogacze robią sobie na zbiórkach dobry „piar". Że musimy przyglądać się fundacji, która będzie teraz rozdzielać zebrane środki – by zrobiła to sensownie.

Puenta tej historii może być przewrotna: dopiero teraz lądujemy w świecie bezpieczniejszym dla generacji starszych. Bo na koniec musimy zaufać instytucji – w tym przypadku Cancer Fighters, która zapowiedziała drobiazgowe informacje na temat losu każdej złotówki zebranej w zrzutce. A także zaufać autorytetom: fundacja zapowiedziała, że powoła radę niezależnych ekspertów z dziedziny onkologii, którzy mają pomóc rozsądnie rozdysponować środki.

Typowo polski – w najlepszym tego słowa znaczeniu – zryw mamy już za sobą: tu znowu wracamy ze złotym medalem. Przed nami udział w konkurencjach, które nad Wisłą wychodzą średnio. Chodzi o współpracę i zaufanie, także ponadpokoleniowe i ponadpolityczne. Jeśli Łatwogang wraz z Cancer Fighters i ten etap przejdą z powodzeniem, mała kawalerka na warszawskiej Pradze zasłuży już nie tylko na miejsce w gazetach i na portalach, ale też w książkach do historii.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

eprasa.pl c7a4904b88

LEUNGCHOPAN / SHUTTERSTOCK

Kobiety na dwa etaty

MAŁGORZATA NOCUŃ

SPOŁECZEŃSTWO | Luka płacowa pomiędzy polskimi mężczyznami i kobietami jest jedną z najniższych w Europie. Czy na naszym rynku pracy naprawdę doszło do równouprawnienia płci?

Chirurżka Małgorzata Nowosad kształciła się i pracowała z córeczką u boku. Kiedy w nocy słyszała w telefonie: „Musi pani natychmiast stawić się w szpitalu", zdarzało się, że zrywała z łóżka dziecko i jechała z półśpiącą dziewczynką na oddział. A kiedy stała przy stole operacyjnym, córką godzinami zajmowały się pielęgniarki.

Ludwika Włodek, pisarka, autorka znakomitych reportaży i zarazem wykładowczyni akademicka, podkreśla, że wciąż towarzyszy jej uczucie, iż nie jest wystarczająco dobrą matką, ponieważ zbyt mało uwagi poświęca synom. Ma też wyrzuty sumienia – zdarza się, że życie zawodowe przynosi jej więcej satysfakcji niż rodzinne. – Ktoś cię pochwali za dobry tekst czy ciekawą audycję, ktoś nominuje książkę do nagrody. Natomiast matki, choć wychowują swoje potomstwo najlepiej jak potrafią, często słyszą tylko pretensje – mówi.

Bez przebaczenia

Rzadko który pracodawca zgodzi się, by matka pojawiła się z dzieckiem w firmie, niechętnie zapewnia się im również elastyczne godziny wykonywania obowiązków. Raport opublikowany w 2024 r. przez ZUS i fundację Share the Care na temat sytuacji matek na rynku pracy jest wręcz gorzki w wymowie.

Wskaźnik zatrudnienia kobiet bezdzietnych wynosi w Polsce 73 proc. W przypadku tych posiadających jedno dziecko w wieku przedszkolnym spada o 4 proc. Spośród matek mających troje lub więcej potomstwa – pracuje jedynie 56 proc. Choć posiadają one o wiele więcej przywilejów niż kobiety w PRL (wówczas po urodzeniu dziecka przysługiwał zaledwie trzymiesięczny urlop, nie było świadczeń socjalnych, takich jak 800 plus czy „babciowe"), to i tak z trudem łączą pracę zawodową i opiekuńczą.

Mimo trwającej od lat debaty na temat równouprawnienia mężczyzn i kobiet na rynku pracy, wielu szefom dziecko wciąż jawi się jako przeszkoda w wypełnianiu obowiązków służbowych. I choć w Polsce luka płacowa w zarobkach kobiet i mężczyzn należy do niższych w Europie (ok. 8-10 proc.), to raport ZUS i Share the Care jasno wskazuje, że po urodzeniu pierwszego dziecka kobiety zaczynają zarabiać jeszcze mniej niż mężczyźni na tym samym stanowisku. To na nie spada też więcej obowiązków domowych, a zwłaszcza (nie w pełni rekompensowana) opieka nad chorym dzieckiem.

W efekcie kobiety, które przechodzą o 5 lat szybciej od mężczyzn na emeryturę, mają o niemal 30 proc. niższe świadczenia emerytalne. Mało tego, aż 30 proc. matek posiadających dzieci w wieku 1-9 lat nie pracuje w ogóle.

– Ciąża przerwała moją karierę zawodową – mówi wprost 40-letnia Kamila, która tuż po studiach podjęła pracę w korporacji. W jej zespole zatrudnione były same kobiety, żadna nie miała dziecka. Po kilku latach Kamila awansowała na wysokie i dobrze opłacane stanowisko, ale gdy w wieku 33 lat zaszła w ciążę, ukrywała ją przez kilka pierwszych tygodni. Jednak złe samopoczucie – mdłości i senność – zmusiły ją do „przyznania się" przełożonej.

Ta stwierdziła: „No to otwarłaś puszkę Pandory. Teraz się zacznie, wszystkie będziecie rodzić". Zakomunikowała przy okazji, że jeśli po urodzeniu dziecka Kamila będzie chciała wrócić do pracy, to obejmie niższe stanowisko z niższym uposażeniem. Kamila początkowo przystała na ten warunek, ale szybko znalazła inną, mniej prestiżową posadę. Zarabia średnio, ale dziś godzi pracę z byciem dobrą matką.

Telefon dzwonił i dzwonił

Kobiety mawiają, że najgorzej jest w sezonie chorobowym między wrześniem a majem. W tym czasie jeden z rodziców (rzadko jest to ojciec) nie może wypełniać obowiązków zawodowych nawet przez kilka tygodni.

– Opowiem o moim haniebnym zachowaniu – mówi Wiktoria. Jako urzędniczka pracuje na kierowniczym stanowisku i w niektóre dni „po prostu nie może być nieobecna w pracy". Ale gdy miała wystąpić z ważnym raportem przed dyrekcją, rozchorował się jej syn.

eprasa.pl c7a4904b88

– Katar lał mu się z nosa, widziałam, jak się męczy, ale mimo to podałam mu lek przeciwgorączkowy w dużej dawce i odprowadziłam do przedszkola, bo mąż był akurat w delegacji. W te pędy pognałam do pracy – opowiada Wiktoria, która odliczała sekundy do końca zebrania, a podczas referowania raportu drżały jej ręce, bo w torebce wciąż wibrował telefon. Okazało się, że dzwoniono z przedszkola, by natychmiast przyjechała po chore dziecko.

– Wiedziałam, że wybierając pracę, zrobiłam źle. Skazałam syna na cierpienie, a inne dzieci naraziłam na zarażenie – przyznaje Wiktoria.

Wiele instytucji niechętnie zatrudnia matki na umowie o pracę. Coraz częściej świadczą one usługi w oparciu o umowy B2B. Ta forma zatrudnienia ma wiele plusów dla mikroprzedsiębiorcy – np. daje większą elastyczność w łączeniu spraw domowych z obowiązkami zawodowymi. Jednak wiąże się to również z niewielkimi przywilejami socjalnymi.

Magdalena jest filolożką, a jej firma zajmuje się tłumaczeniami. Dodatkowo kobieta wykłada na krakowskiej uczelni. Ubiegłej zimy kilka wieczorów pod rząd gotowała rosół i pomidorową oraz pierogi i sznycle – do zamrożenia. Chciała mieć potem kilka dni tylko na pracę, gdyż miała wystawić studentom oceny semestralne oraz zamknąć kwartał wraz z księgową. Dwójka synów Magdaleny miała w tym czasie uczęszczać do przedszkola, a po jego zamknięciu zostać pod opieką niani. Mąż Magdaleny (informatyk) codziennie siedzi po godzinach w pracy; inaczej może ją stracić.

– Pewnego wieczoru zauważyłam, że syn ma bardzo rozpalone czoło i jest osłabiony. Wtulił się we mnie, a ja zaczęłam płakać jak bóbr, bo wiedziałam, że moje plany zawodowe runęły – wspomina.

Nazajutrz, kiedy Magda czekała w długiej kolejce na przyjęcie syna przez pediatrę, jej telefon raz za razem dzwonił, choć powiadomiła szefostwo, iż będzie nieobecna z powodu choroby syna. Po wizycie przeczytała serię pełnych pretensji wiadomości, i miała z ich powodu wyrzuty sumienia, choć nie zrobiła nic złego.

Wynik testów był jednoznaczny: mononukleoza, która nieleczona bywa bardzo niebezpieczna. – Poczułam się, jakby zapadł wyrok. Wiedziałam, że przez najbliższe dni nie zajmę się pracą i że noce będą bezsenne, z powodu choroby dziecka i mojego stresu. Będą do mnie wydzwaniać studenci, kontrahenci i współpracownicy. A zaległości w pracy nadrobię, zarywając noce.

Czemu nie śpisz?

Zarywanie nocy nie jest jednak łatwe w przypadku notorycznie przemęczonych matek, które wychowywanie dzieci łączą z pracą. Wiele z nich z uwagi na długą ekspozycję na szkodliwe, niebieskie światło komputerowe cierpi na bezsenność.

Tak jest w przypadku Kamili (matki trójki dzieci), dla której nawet zamknięcie komputera nie oznacza odpoczynku. Kiedy tylko próbuje zmrużyć oczy, w głowie zaczyna się gonitwa myśli. „Jak pogodzić zebranie w szkole syna z zajęciami dodatkowymi córki?", „Co ugotować na obiad?", „W co przebrać dziecko na bal?".

Z kolei Maja (lekarka) mówi, że z braku czasu musiała stać się specjalistką od wielozadaniowości. Pracę w szpitalu łączy z nauką do egzaminu specjalizacyjnego i wychowywaniem dwójki dzieci. – Nie ma miejsc, w których nie dałoby się pracować. Bywało, że w jednej ręce trzymałam opasły podręcznik, a drugą mieszałam zupę. A kiedy dziecko zaczynało się niecierpliwić, brałam je na ręce, by po chwili odłożyć i wrócić do gotowania oraz nauki – wspomina.

Katarzyna (dziennikarka) swoje teksty nieraz kończyła pisać w samochodzie zaparkowanym przed supermarketem, w garażu (gdy jej córka zasnęła w aucie), w tramwaju, przed gabinetem lekarskim albo siedząc na brzegu piaskownicy.

Wiele kobiet nie jest w stanie pogodzić na dłuższą metę macierzyństwa z pracą i wypada z rynku – dlatego stanowią aż 78,7 proc. osób z najniższym świadczeniem emerytalnym. Z badania „State of Motherhood in Europe 2024" wynika, że niemal jedna trzecia kobiet twierdzi, iż macierzyństwo negatywnie wpłynęło na bieg ich kariery zawodowej. Przed przyjściem na świat pierwszego potomka aż 74 proc. z nich było zatrudnionych na pełen etat, po porodzie – jedynie 49 proc.

Dobrze, że jestem matką

Fundacje zajmujące się prawami kobiet uważają, że rynek pracy nie odpowiada na szczególne potrzeby matek. Nie zwraca się uwagi, że co dziesiąte dziecko rodzi się przedwcześnie i potrzebuje indywidualnej opieki. Dzieci mogą być też w spektrum autyzmu, cierpieć na ADHD, zmagać się z niepełnosprawnością.

Dotknęło to Jadwigę, lekarkę pracującą na oddziale intensywnej terapii. Czas ze swoją córeczką – urodzoną w szóstym miesiącu ciąży – spędzała na wizytach u specjalistów. Nocą wkładała małą do samochodu, obok siedzenia kierowcy kładła termos z kawą i jechała nawet setki kilometrów od miejsca zamieszkania na konsultację czy turnus rehabilitacyjny.

Ktoś jednak mógłby powiedzieć, że kobietom żyje się dziś łatwiej, bo kryzys demograficzny sprawił, iż zwiększyła się liczba miejsc w żłobkach i przedszkolach. Jeszcze kilka lat temu na drzwiach placówek wisiały listy nieprzyjętych dzieci, dziś zastąpiły je plakaty z adnotacją: „Dołącz do nas!".

Przez ostatnie dekady znacząco wzrosło także zaangażowanie mężczyzn w opiekę nad dziećmi: kiedyś widok ojca spacerującego z wózkiem był czymś wyjątkowym, współcześnie jest powszechny. Ojcowie wykonują dziś prace, które kilkanaście lat temu były „zarezerwowane" dla kobiet: przewijają, karmią, gotują obiady.

Wciąż jednak niezbyt chętnie biorą płatne urlopy tacierzyńskie: w 2024 roku korzystali z nich trzykrotnie rzadziej niż matki. Z raportu ZUS i Share the Care wynika też, że kobiety poświęcają trzy razy więcej czasu na opiekę nad potomstwem niż mężczyźni. To zaś odbija się na wynikach osiąganych w pracy.

Dorota była świadoma, że jej kariera zawodowa się nie powiedzie, jeśli po urodzeniu dziecka szybko nie wróci do pracy. Absolwentka dwóch kierunków, po specjalistycznych kursach z zarządzania – była jedną z kilku osób, które zarząd typował do objęcia kierowniczego stanowiska. Wróciła więc na pełen etat, a że jej mąż także pracował w pełnym wymiarze godzin – malutkim synem zajęła się niania. Rodzice widywali go wczesnym rankiem i późnym wieczorem. I choć Dorota czuła, że powinna być z małym, to wiedziała, że jeśli zrobi przerwę w pracy, nigdy już nie awansuje.

Ludwika Włodek: – Często miałam poczucie, że zawodowo mogłabym osiągnąć więcej, gdybym nie miała dzieci. Mimo to cieszę się, że jestem matką. Nie zamieniłabym swojego życia na inne. ©

eprasa.pl c7a4904b88

PSYCHE

NA PEŁNYCH OBROTACH

Praca, rodzina, obowiązki. Z zewnątrz wszystko wygląda normalnie. Jednak za fasadą kryje się życie podporządkowane jednemu: jak najszybciej się napić, żeby uciszyć napięcie, lęk i pustkę.

ANNA KORYTOWSKA

Wysoko funkcjonujące uzależnienie potrafi przez lata pozostawać niewidoczne, nawet dla osoby, która się z nim mierzy. – Pokerowa twarz i zakładanie maski. Każdego ranka ten sam rytuał, by oszukać świat, ale i siebie. Puder na twarz i specjalny krem pod oczy, żeby ukryć obrzęki. Oprócz tego miętówki i perfumy. Wszystko pod kontrolą. Tak, żeby nikt niczego nie zauważył. I przez długi czas naprawdę mi się to udawało – mówi 31-letni Radek, przedstawiciel handlowy z Warszawy, autor internetowego kanału „Alkoemocje".

Pierwszy raz sięgnął po alkohol w wieku trzynastu lat. Potem były imprezy; najpierw w gimnazjum, później w technikum. Kiedy w końcu wyprowadził się z domu, hamulce zupełnie puściły. – Piłem codziennie, ale do pracy chodziłem; musiałem mieć pieniądze – wspomina.

Przez lata niczego nie zawalił – wręcz przeciwnie, był cenionym pracownikiem. Jednak stopniowo zwiększał dawki alkoholu. – Czasem piłem aż do „odcinki", a rano dzwoniłem do szefa, że jestem chory albo idę na badania. A prawda była taka, że wciąż miałem wódkę we krwi i wyglądałem jak napompowany balon: czerwony i spocony – opowiada. Mimo to wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku. – Miałem narzeczoną, pracę. Ze zdrowiem też było nieźle.

Rano przychodził atak

Potem przyszło tąpnięcie. Zapalenia żołądka, wymioty z krwią. Do tego poranny wyrzut kortyzolu oraz paraliżujące ataki paniki. – Po którymś ciągu musiałem jechać na SOR. Cały się trząsłem. Byłem pewien, że dostanę zawału. Wtedy pomyślałem: kurde, to chyba już równia pochyła – opowiada.

Przestał pić na kilka tygodni, ale kiedy tylko poczuł się lepiej, uznał, że problem nie jest tak wielki. – Wróciłem do alkoholu, ale było coraz gorzej. Rano wstawałem i wiedziałem, że nie mogę już wziąć wolnego w pracy, więc wsiadałem do samochodu, choć miałem świadomość, że nie powinienem – przyznaje. – Nie dopuszczałem do siebie głębszych emocji i czułem się, jakbym nie miał władzy nad życiem. Wszystko się sypało. Nawet żeby pójść do kina, musiałem się napić.

Bliscy mówili mu, żeby szukał pomocy. Przytakiwał, ale nic nie robił. I wtedy przyszedł moment krytyczny. – Byłem sam, pijany do tego stopnia, że zacząłem się okaleczać. Nagrałem to i wysłałem rodzinie. Brat zadzwonił na 112, zawieźli mnie do szpitala psychiatrycznego, ale szybko wypuścili. Niedługo potem rodzina znowu zaproponowała ośrodek terapeutyczny – wspomina Radek.

Tym razem się zgodził, ale nie był przekonany. Myślał, że nauczy się tam pić w sposób kontrolowany; przerażała go myśl o abstynencji. W trakcie terapii dotarło jednak do niego, że istnieje tylko jedno wyjście: całkowita trzeźwość i spojrzenie z tej perspektywy na problemy. Dziś Radek nie pije już od blisko dwóch lat, także dzięki narzeczonej, która nigdy się od niego nie odwróciła.

– Założyłem w internecie kanał „Alkoemocje", to moja autoterapia. Opowiadam tam o uzależnieniu, o emocjach. Widzę, że to pomaga innym – tłumaczy. – Przez lata picia straciłem poczucie własnej wartości, ale ostatnio pomyślałem, że nie jestem beznadziejny, i że dałem radę – Radek podkreśla, że walka o trzeźwość to codzienna praca. – Nałóg tylko czeka, żeby się odezwać. Muszę być pokorny i pilnować siebie. Warto, bo życie jest naprawdę piękne.

Zburzona fasada

Wysoko funkcjonujący uzależniony żyje z pozoru prawidłowo. Dba o dom i relacje. Realizuje obowiązki zawodowe, a nawet odnosi sukcesy. – Uzależnienie nie musi oznaczać poważnych problemów finansowych czy całkowitej dezorganizacji życia. Niektórzy bardzo dobrze maskują swój problem – mówi Karolina Kownacka, psycholożka i psychoterapeutka uzależnień.

Takie osoby wiedzą, kiedy muszą wykonywać obowiązki, ale wiedzą też, kiedy mogą sobie „pozwolić", i kiedy nikt nie będzie ich obserwował. – Piją albo korzystają

eprasa.pl c7a4904b88

z innych substancji tylko wieczorami, jednocześnie zachowując wizerunek osoby odpowiedzialnej i zaradnej – tłumaczy ekspertka.

Magdalena Derucka (autorka instagramowego profilu pamplinek.trzezwiutko) z zewnątrz uchodziła właśnie za osobę, która ogarnia wszystko. – Zarabiałam, byłam w stanie zająć się domem, dzieckiem, jeździłam na wakacje. Wtedy wydawało mi się, że świetnie funkcjonuję – opowiada.

Była energiczna i skuteczna, podejmowała kolejne zawodowe wyzwania. A do tego uważano ją za duszę towarzystwa. – Wysoko funkcjonujący alkoholicy często są postrzegani jako osoby silne, sprawcze, ekstrawertyczne. Ja też taka byłam. Ale to tylko fasada – przyznaje Magdalena. – Wracałam do domu, zostawałam sama ze swoimi myślami i czułam, że do niczego się nie nadaję i z niczym sobie nie radzę. Towarzyszył mi wewnętrzny ból i poczucie, że to nie jest życie, jakiego oczekiwałam. Co z tego, że ogarniam tyle spraw, skoro tak naprawdę cały czas czegoś mi brakuje. Żeby to zagłuszyć, piłam i sięgałam po inne używki – wspomina.

Bez nich myśli nie dawały jej spokoju, przychodziły nawet te rezygnacyjne. Wtedy postanowiła poszukać pomocy. Była przekonana, że zmaga się z depresją. – O tym, że jestem wysoko funkcjonującą alkoholiczką, dowiedziałam się dopiero na terapii. Stereotypowo myślałam, że alkoholik to dno moralne. Ktoś, kto leży pijany na ławce w parku albo pod mostem. Ja taka nie byłam. A to, że piję? Wszyscy piją – relacjonuje dawny tryb myślenia.

JOANNA RUSINEK

Kluczowa jest pokora

Magdalena zdecydowała się na terapię w ośrodku zamkniętym. Tam uświadomiła sobie, że od okresu nastoletniego sięgała po alkohol i inne substancje, by zagłuszyć pustkę w środku.

Akceptacja takiego stanu rzeczy okazała się bolesna, ale też wyzwalająca. Bo czym innym jest dowiedzieć się o chorobie, a czym innym naprawdę to poczuć i zacząć żyć z jej świadomością. – Całkowicie zaufałam terapeutom. Założyłam, że cokolwiek mi zaproponują, nawet jeśli wyda mi się głupie, to spróbuję. Nie miałam nic do stracenia. Gorzej już być nie mogło – wspomina.

Od sześciu lat jest trzeźwa. – Samo odstawienie alkoholu to dopiero początek. Później zaczyna się prawdziwe spotkanie ze wszystkimi myślami, emocjami i problemami, które przez lata były zamiatane pod dywan. Kluczowa w tym procesie jest pokora – podkreśla i dodaje, że dziś jest pewna jednego: ani alkohol, ani inne używki nie uśmierzają bólu. Dokładają tylko kolejne problemy.

– W każdej chwili mogę się napić, nikt mi tego nie zabroni. Z całą pewnością mogę jednak powiedzieć, że po prostu już tego nie chcę – kwituje.

Odrzeć życie z iluzji

Izabela Rogozia również przez lata była przekonana, że jej życie wygląda normalnie. Pracowała, wychowywała dzieci, radziła sobie z codziennością.

↦

eprasa.pl c7a4904b88

Alkohol pojawiał się sporadycznie: przy okazji świąt, urodzin. – Mój tata był alkoholikiem. Wiedziałam o tym i zawsze mówiłam, że nigdy nie będę jak on – wspomina.

Kiedy poznała przyszłego męża, sądziła, że jej życie ułoży się pomyślnie. Nie ułożyło. – Też pił, a ja oczywiście żyłam w iluzji, że przy mnie się zmieni – opowiada Izabela, która wychowywała dzieci praktycznie bez wsparcia. – Syn urodził się z wadą serca, dużo czasu spędzaliśmy u lekarzy. Potrzebowałam wtedy pomocy męża, ale go nie było. Czułam się bardzo samotna i w końcu też zaczęłam pić – przyznaje.

Najpierw robiła to tylko w weekendy, potem doszedł jeden drink w tygodniu, potem kolejny. – Dbałam o to, by wcześniej zrobić wszystko, co konieczne. Zajmowałam się domem, próbowałam ratować męża. A kiedy wszystko miałam odhaczone, pojawiał się alkohol – wspomina.

Kiedy Izabela była już zupełnie wyczerpana, poszła do psychiatry. Usłyszała, że choruje na depresję. – Lekarz zapisał mi leki, a ja mimo tego piłam – przyznaje.

Bez czerwonej lampki

Kiedy syn miał dwa lata, przyjaciółka zaproponowała jej weekendową pracę w pizzerii, żeby trochę oderwała się od domu. Czasem zostawały dłużej, ale nigdy się nie upijały. Izabela zawsze wracała do domu we w miarę normalnym stanie. Dobrze się bawiła, odreagowywała stresy, więc długo była przekonana, że wszystko jest w porządku. Czerwona lampka nie zapalała się przez lata.

– Myślałam, że piję jak inni, ale brat zwrócił mi uwagę, że alkoholu jest w moim życiu za dużo. Wtedy zaczęłam ukrywać butelki i byłam w tym mistrzynią. Chowałam je w szufladach, w pufach, w koszu na pranie, głęboko – wspomina.

Mimo kaca wstawała rano do pracy, ale było coraz gorzej: i w pizzerii, i w kolejnej firmie. Doszło też ogromne rozczarowanie sobą. – Ciągle powtarzałam: „od jutra nie będę pić". A to jutro przychodziło i szybko zapominałam o obietnicy – przyznaje. – Potrafiłam wstać w nocy i iść na stację benzynową po alkohol, jeśli nie znalazłam nic w domu. Rano jeździłam autem na kacu. To cud, że nikomu krzywdy nie zrobiłam – wspomina.

W małej miejscowości, w której mieszka, trafiła w końcu na psycholożkę prowadzącą spotkania w klubie seniora. – Okazało się, że jest terapeutką uzależnień. Po rozmowie zaproponowała mi terapię zamkniętą. Stwierdziłam, że spróbuję, choć nie uważałam się za alkoholiczkę; zawsze ładnie ubrana, umalowana. Ale to było wyparcie – wspomina.

Dwumiesięczna terapia w ośrodku zmieniła dużo. – Najtrudniejsze było uświadomienie sobie, jak bardzo cierpiały moje dzieci, widząc mnie w takim stanie. I co czuła córka, gdy wylewała alkohol, który chowałam – wspomina.

IZABELA ROGOZIA:

Z każdym dniem jest lepiej. Wzięłam rozwód, mam nowego partnera, prawdziwego przyjaciela. Wreszcie kocham życie, które jeszcze kilka lat temu chciałam zakończyć.

Dzisiaj Izabela próbuje odbudować relacje z dziećmi. – Staram się być dla nich jak najlepszą mamą – zapewnia. Od ponad trzech lat jest trzeźwa, regularnie uczęszcza na mitingi Anonimowych Alkoholików. – Pierwsze dwa lata trzeźwości były trudne, ale z każdym dniem jest coraz lepiej. Wzięłam rozwód. Mam nowego partnera, prawdziwego przyjaciela. Wreszcie kocham moje życie, które jeszcze kilka lat temu chciałam zakończyć – dodaje.

Jak odzyskać kontrolę

Psychoterapeutka Karolina Kownacka uważa, że wysoko funkcjonujące uzależnienie często wiąże się z trudnościami w regulowaniu emocji, radzeniu sobie ze stresem czy też z poczuciem przeciążenia. Dotyka ono osób, które na co dzień funkcjonują pod ogromną presją i muszą podejmować odpowiedzialne decyzje. Dostarczana organizmowi substancja ma wówczas pełnić funkcję regulatora emocji, niestety zgubnego.

– Na co dzień tacy ludzie są postrzegani jako bardzo odpowiedzialni i skuteczni. Paradoksalnie właśnie te cechy mogą sprzyjać utrzymywaniu uzależnienia w ukryciu. To często są osoby przyzwyczajone do samokontroli, radzenia sobie z trudnościami i spełniania oczekiwań otoczenia. Dlatego przez długi czas mogą nie dopuszczać do siebie myśli, że ich relacja z substancją zaczyna być problematyczna – uważa.

Moment, w którym uzależnienie zaczyna wymykać się spod kontroli (żeby osiągnąć ten sam efekt, trzeba z czasem zwiększać dawki alkoholu czy narkotyków), często nie jest spektakularny. Objawia się raczej drobnymi zmianami. Pojawia się np. irytacja lub silne napięcie, gdy nie ma do danej substancji dostępu. Wtedy nie jest już ona dodatkiem do życia, a staje się jego centralnym punktem. Elementem, bez którego trudno wyobrazić sobie świat.

– Osoba uzależniona bywa mniej dostępna emocjonalnie, jest za to bardziej rozdrażniona lub wycofana, a jej relacje zaczynają podporządkowywać się rytmowi używania substancji. Pojawiają się też konsekwencje psychiczne. Przewlekłe zmęczenie, duży spadek satysfakcji z życia, trudności w relacjach czy poczucie pustki – wymienia ekspertka.

Pierwszy krok w procesie zdrowienia to zauważenie, że relacja z dostarczaną organizmowi substancją wymknęła się spod kontroli. – Warto wówczas skorzystać z profesjonalnej pomocy, psychoterapii lub terapii uzależnień – podkreśla Karolina Kownacka, dodając, że ogromną rolę odgrywać może również otoczenie. – Bliscy mogą pomóc, nazywając problem w spokojny sposób, pokazując swoją troskę i zachęcając do szukania pomocy.

Ważne jest jednak, aby nie wchodzić w rolę ciągłego kontrolera ani kogoś, kto bierze odpowiedzialność za zmianę drugiej osoby. To jest zadanie dla samego uzależnionego. To jego walka o życie.

© ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl c7a4904b88

OLGA

Drenda:
Nie ignoruj tego listu

Informacja o tym, że wzmożonym zainteresowaniem cieszy się ostatnio strona internetowa dla miłośników wymiany tradycyjnych pocztówek, przypomniała mi o pocztówkowym rekordzie, którego historia towarzyszyła mi przez znaczną część życia. Craig Shergold, zanim zmarł w czasie pandemii covidu, zdążył wyzdrowieć z rzadkiego nowotworu, zebrać 350 milionów pocztówek, zostać komikiem, a po drodze, choć zupełnie mimo woli, wciągnąć personel licznych polskich urzędów w łańcuszek cudu i groźby.

W latach 90. do skrzynki na listy na furtce mojego położonego daleko od wszystkiego domu od czasu do czasu wpadała zagadkowa koperta. Czasem była to po prostu umiejętnie złożona wielokrotnie i zaklejona kartka. Nie miała znaczka – w jego miejscu widniała zagadkowa odręczna inskrypcja WIDORT 18313 – a mimo to poczta dostarczała tę tajemniczą korespondencję, o czym świadczyły pieczątki. Nie wiadomo, skąd nadawcy mieli mój adres, być może było to późne i dalekie echo znajomości z sanatorium dziecięcego, może ktoś znalazł go w kąciku „poznajmy się" w telegazecie, a może podobnie jak i dziś kwitł handel danymi osobowymi, choć przecież wtedy w ogóle nie były one tajne.

Na pewno adresy musiały być pożądane, bo list znajdujący się w środku nakazywał wysłanie kopii do dziesięciu różnych osób. Tych, którzy tego poniechali, czekał smutny los niejakiego Dolana Maranili, który „otrzymał list, nie wysłał kopii i po 9 dniach zmarł". Kto jednak przypomniał sobie o wysłaniu, mógł nawet liczyć na niespodziewaną fortunę, jak Amelia Wiel i tajemniczy oficer RAF-u.

Moja ręka musiała była nawyknąć do kopiowania i wyryć w mózgu stosowne ścieżki, ponieważ fragmenty listu i nazwiska jego bohaterów potrafię wyrecytować do dziś. „Pocałuj kogoś, kogo kochasz, kiedy otrzymasz ten list". „PROSZĘ NIE WYSYŁAĆ PIENIĘDZY. PROSZĘ NIE IGNOROWAĆ TEGO LISTU. TO DZIAŁA!!!", przestrzegał. Przede wszystkim jednak list – ewidentnie sklejony z kilku innych łańcuszków – zaczynał się od prośby śmiertelnie chorego chłopca, który marzy o pobiciu rekordu Guinnessa w zebraniu pocztówek z życzeniami zdrowia. Wezwanie wraz z adresem musiała opublikować w 1989 r. któraś polska gazeta. Od tamtej pory żył swoim własnym życiem. Jestem też niemal pewna, że wspomniano o zasypanym pocztówkami chłopcu w którymś z podręczników do angielskiego. Zamiast do Craiga Shergolda, list zalecano wysłać do jak największej liczby osób i instytucji. Zresztą, kiedy ja zamiast odrabiać lekcje albo odpowiadać na pytania ze „złotych myśli" znajomych z klasy przepisywałam zagadkowe listy drżąc, by nie podzielić losu Dolana Maranili, Craig był już dawno zdrowy. Nie znaczyło to, że przestały napływać do niego pocztówki. Mimo licznych apeli o zaprzestanie, otrzymał ich 350 milionów.

Być może i tu wpadł WIDORT 18313

OLGA DRENDA

Wiele lat i wysłanych pocztówek później łańcuszek doczekał się reaktywacji, blokując kserokopiarki w licznych szkołach i urzędach gmin całej Polski. Główny inicjator został w międzyczasie przemianowany na Harolda Sarida, zapewne drogą licznych deformacji niewyraźnego pisma ręcznego. Być może nazwisko brzmiące jak u przedwojennego amanta zaczarowało personel tak wielu instytucji, które – jak donosiła lokalna prasa w kilkunastu miastach – hurtowo kserowały i wysyłały „łańcuszek szczęścia", narażając budżety na poważne wydatki na koperty i znaczki. Skomputeryzowana już poczta nie zaakceptowałaby „WIDORT 18313".

A może jednak by zaakceptowała? Przecież list był powielany bez zastanowienia, jak w hipnozie, i to przez osoby kompetentne, które na pewno wiele razy miały do czynienia z różnymi aktami nieuczciwości. Ale takie historie zawsze wyglądają podobnie: ludzie naśladują siebie nawzajem w dobrej wierze, ufając, że ten drugi przecież musi wiedzieć, co robi. To powtarza się w wielu rozmaitych sytuacjach. „Jak to możliwe, że ten człowiek nie wzbudził państwa podejrzliwości?", padają pytania, gdy zostanie odkryty jakiś oszust albo szpieg. Być może wzbudził, ale reakcja otoczenia szybko je wygasiła. Zabawne i może trochę żenujące, ale koniec końców świadczy o nas dobrze: jesteśmy gotowi podjąć niewielkie ryzyko i stracić kilka złotych, żeby uniknąć pecha, przyciągnąć szczęście albo uszczęśliwić kogoś pocztówką. W szerszym rozrachunku lepiej (dla ogółu społeczeństwa) być trochę łatwowiernym, niż wszędzie wietrzyć zagrożenie i ściemę.

W nowej, już krążącej mailowo, wersji list trzeba było przekazać do rąk Frau Yelken z miejscowości Delligsen w Niemczech. Frau Yelken istnieje naprawdę i to ona została, wbrew swojej woli, spadkobierczynią wielkiego łańcuszka listów. Być może nadal je otrzymuje. Mam nadzieję, że zgodnie z obietnicą z łańcuszka wygrała na loterii chociaż symboliczną kwotę. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl c7a4904b88

SYLWIA ŚLIWKA

Miasto, laboratorium kultury

MICHAŁ SOWIŃSKI

Debata „Kraków – wspólnota kultury", organizowana przez „Tygodnik Powszechny", pokazała, jak kultura splata się dziś z gospodarką, technologią i polityką miasta – i jak szuka dla siebie nowego modelu funkcjonowania.

Kto dziś powinien finansować kulturę? Jakie mechanizmy wpływają na funkcjonowanie największych wydarzeń? Jak wygląda codzienna praca teatrów, muzeów i galerii? Wreszcie – jak wspierać nowe inicjatywy, z których mogą wyłonić się twórcy i dzieła kształtujące nasze myślenie o świecie?

Te pytania zdominowały drugą debatę „Kraków – wspólnota kultury", organizowaną przez „Tygodnik Powszechny". Tym razem przedstawiciele władz samorządowych, instytucji kultury, mediów oraz środowisk współtworzących to pole spotkali się w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki, by przyjrzeć się temu, jak kultura funkcjonuje dziś – i jak powinna się zmieniać w najbliższych latach.

Podczas otwarcia debaty prezydent Krakowa Aleksander Miszalski podkreślał, że choć miasto od lat inwestuje w kulturę na różnych poziomach – od dużych instytucji po oddolne inicjatywy – kluczowe staje się nie tylko samo finansowanie, lecz także komunikacja z mieszkańcami, bez której trudno o zrozumienie, a w konsekwencji – budowanie faktycznej wspólnoty kultury.

Z kolei redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego" Jacek Stawiski mówił, że kultura przestaje być jedynie sferą autonomicznej sztuki, a staje się jednym z podstawowych narzędzi opisu rzeczywistości – zwłaszcza w sytuacji, gdy relacje między ludźmi coraz częściej się rozluźniają i rozpadają, a poczucie społecznej izolacji się pogłębia. Pierwszy panel debaty pokazał, że pytanie o mecenat kultury nie jest abstrakcyjne – to pytanie o trwałość całego systemu. Jeśli nic się nie zmieni, obecny model finansowania instytucji kultury po prostu się wyczerpie.

Nowy mecenat: państwo, samorząd, kapitał biznesowy

W pierwszym panelu, prowadzonym przez Michała Kuźmińskiego, spotkali się Dominika Walec, Krzysztof Bajołek, Michał Niezabitowski oraz Robert Piaskowski. Ich wypowiedzi ukazały zasadniczą nierównowagę: polska kultura w ogromnej większości opiera się na finansowaniu publicznym, podczas gdy udział sektora prywatnego pozostaje marginalny.

eprasa.pl c7a4904b88

debata POWSZECHNA

Jacek Stawiski, Łukasz Sęk i Katarzyna Olesiak podczas debaty „Kraków – wspólnota kultury", organizowanej przez „Tygodnik Powszechny" w Bunkrze Sztuki. Kraków, 29 kwietnia 2026 r.

Piaskowski wskazywał na dwa problemy, które dziś szczególnie dotykają społeczeństwa: spadek odporności na dezinformację i rozpad więzi między ludźmi. Jego zdaniem to właśnie kultura pomaga się przed tym bronić – uczy krytycznego myślenia i buduje poczucie wspólnoty. Jeśli jej brakuje, łatwiej ulec manipulacji, trudniej też tworzyć trwałe relacje. W tym sensie kultura nie jest już jedynie wdzięcznym dodatkiem, ale jednym z warunków stabilnego funkcjonowania społeczeństwa.

Jeszcze ostrzej problem postawił Niezabitowski. Jego zdaniem model oparty niemal wyłącznie na państwie i samorządzie dochodzi do granic możliwości. „Jeśli nie zmienimy reguł gry, ten system się wywróci" – przekonywał, wskazując na potrzebę reformy całego systemu finansowania kultury.

Z kolei Bajołek podkreślał, że biznes jest gotów angażować się w kulturę, ale pod jednym warunkiem: musi widzieć w niej realną wartość – dla ludzi, dla marki, dla środowiska, w którym działa. Czyli wracamy do problemu odpowiedniej komunikacji – bo wola do wspólnego działania wydaje się coraz bardziej powszechna.

Z pierwszej rozmowy wyłonił się jeden zasadniczy wniosek: problemem nie jest tylko brak pieniędzy, ale brak wspólnego modelu działania. Kultura, państwo i biznes wciąż funkcjonują obok siebie – a nie razem. Bez zmiany w tej relacji nie powstanie nowy mecenat.

Media i ekonomia uwagi – dezinformacja a demokracja

Drugi panel przesunął dyskusję z poziomu instytucji na poziom codziennego doświadczenia odbiorcy. Punktem wyjścia stało się proste, ale fundamentalne pytanie: komu dziś właściwie ufamy – i czy w ogóle jeszcze potrafimy (chcemy?) ufać mediom.

W rozmowie prowadzonej przez Ewelinę Burdę udział wzięli Agnieszka Lichnerowicz, Sławomir Mokrzycki i Marek Kęskrawiec. Już na początku wybrzmiało, że dziś sam termin „media" przestał być jednoznaczny, jako że obejmuje zarówno tradycyjne redakcje, jak i platformy społecznościowe, które w coraz większym stopniu przejmują kontrolę nad obiegiem informacji.

Najbardziej wyrazista była diagnoza Lichnerowicz, która zaproponowała myślenie o mediach jak o diecie. W świecie nadmiaru treści odpowiedzialność przesuwa się na odbiorcę: to on musi wybierać źródła i uczyć się, jak odróżniać informacje wartościowe od manipulacji. Problem polega jednak na tym, że system nie sprzyja racjonalnym wyborom – przeciwnie, opiera się na emocjach, które przyciągają uwagę i napędzają zasięgi.

Z tym wiąże się głębsza zmiana: zamiast instytucjom, coraz częściej ufamy konkretnym osobom. Jak zauważali uczestnicy panelu, odbiorcy coraz rzadziej wierzą „tytułom", a coraz częściej pojedynczym dziennikarzom czy twórcom. To przesunięcie wzmacnia indywidualną odpowiedzialność, ale jednocześnie osłabia wspólną przestrzeń debaty.

W dyskusji pojawił się też wątek ekonomiczny. Media jakościowe – zdolne do rzetelnego opisywania rzeczywistości – są coraz droższe w produkcji, co rodzi ryzyko, że staną się zbyt elitarne. W skrajnym scenariuszu dostęp do wiarygodnej informacji może stać się przywilejem tych, którzy mogą za nią zapłacić, podczas gdy reszta odbiorców pozostanie w świecie dyktowanym przez algorytmy – co prowadzi do dezinformacji.

Istotnym kontrapunktem był temat mediów lokalnych. To one – bliższe odbiorcy i mniej podatne na wielkie gry polityczne i algorytmiczne – mogą jeszcze podtrzymywać zaufanie i realny kontakt z rzeczywistością społeczną. Jednocześnie to właśnie ten segment okazuje się najbardziej kruchy ekonomicznie i narażony na naciski.

Najważniejszy wniosek tego panelu był niepokojący: nie istnieje jedno rozwiązanie problemu dezinformacji. Odpowiedzialność rozkłada się na wszystkich – dziennikarzy, odbiorców, instytucje i regulatory. A podstawowym narzędziem obrony pozostaje coś zaskakująco prozaicznego: umiejętność zatrzymania się i zdystansowania wobec własnych emocji.

Kultura po algorytmie – AI i gospodarka kreatywna

Sztuczna inteligencja przestała być prostym narzędziem, które jedynie przetwarza i porządkuje dane – stała się elementem współtworzącym kulturę. To przesunięcie zmienia nie tylko sposób dystrybucji treści, lecz także sam status autora, dzieła i odbiorcy.

W rozmowie prowadzonej przez Wojciecha Brzezińskiego udział wzięli ↦

eprasa.pl c7a4904b88

SYLWIA ŚLIWKA x3

W panelu prowadzonym przez Michała Kuźmińskiego spotkali się Dominika Walec, Krzysztof Bajołek, Michał Niezabitowski oraz Robert Piaskowski.

W rozmowie prowadzonej przez Ewelinę Burdę (druga z prawej) udział wzięli Sławomir Mokrzycki, Marek Kęskrawiec i Agnieszka Lichnerowicz.

↦ Katarzyna Nicholson, Michał Krok oraz Paweł Schmidt. Dyskusja szybko zeszła z poziomu ogólnych obaw na bardziej zasadnicze pytanie: jak właściwie rozumieć rolę algorytmów w procesie tworzenia.

Z tej zmiany wynikają dwa równoległe napięcia. Z jednej strony – jak podkreślał Schmidt – sztuczna inteligencja pozostaje narzędziem: zaawansowanym, ale wciąż zależnym od użytkownika, który musi rozumieć jego ograniczenia i brać odpowiedzialność za sposób jego użycia. Z drugiej strony – jak argumentowała Nicholson – nie jest to narzędzie jak każde inne. To technologia, która działa bezpośrednio na procesy poznawcze: wpływa na sposób myślenia, język, a nawet na to, czy jesteśmy jeszcze w stanie usłyszeć własny głos.

Najważniejsza część dyskusji dotyczyła właśnie tego ryzyka. Modele językowe nie tylko generują treści – one je uśredniają. W efekcie użytkownicy zaczynają mówić podobnym językiem, korzystać z tych samych struktur, powtarzać te same schematy. Kultura, która zawsze opierała się na różnicy i napięciu, zaczyna dryfować w stronę konsensusu.

Problem komplikuje się jeszcze bardziej w obszarze sztuki. Przykłady przywoływane w panelu – od eksperymentów z generowaniem nowych dzieł na podstawie archiwów muzealnych po cyfrowe awatary artystów – udowadniały, że granica między twórcą a narzędziem zaczyna się zacierać. Coraz trudniej odpowiedzieć na pytanie: kto jest autorem? Człowiek, algorytm, a może ich relacja?

eprasa.pl c7a4904b88

debata POWSZECHNA

Z perspektywy prawa odpowiedź pozostaje na razie dość zachowawcza. Jak wskazywał Krok, system regulacyjny próbuje nadążyć – m.in. przez obowiązek oznaczania treści generowanych przez AI – ale w praktyce jego możliwości są ograniczone. W świecie ogromnych zbiorów danych i rozproszonych modeli trudno wskazać jednoznaczną odpowiedzialność.

Jeśli bowiem sztuczna inteligencja uczy się na ludzkich treściach, to właśnie one stają się najcenniejszym zasobem. Ludzka twórczość – nieprzewidywalna, osadzona w doświadczeniu, nie zawsze perfekcyjna – pełni kluczową rolę. To prowadzi do ciekawego paradoksu: im bardziej rozwija się sztuczna inteligencja, tym większe znaczenie może zyskać to, co w kulturze najbardziej ludzkie.

Wojciech Brzeziński i Katarzyna Nicholson podczas debaty „Kraków – wspólnota kultury", organizowanej przez „Tygodnik Powszechny" w Bunkrze Sztuki. Kraków, 29 kwietnia 2026 r.

Kraków jako laboratorium przyszłości

Ostatni panel był próbą odpowiedzi na pytanie, czy Kraków potrafi myśleć o kulturze jako o narzędziu rozwoju miasta, a nie tylko jego wizytówce. W rozmowie prowadzonej przez Jacka Stawiskiego udział wzięli Katarzyna Olesiak oraz Łukasz Sęk. Punktem wyjścia było pojęcie „laboratorium": miasta, które nie tylko zarządza kulturą, ale testuje nowe modele jej działania – na styku biznesu, technologii i życia społecznego.

Olesiak podkreślała, że kultura nie jest obciążeniem, lecz inwestycją – w gospodarkę, markę miasta i jakość życia mieszkańców. To właśnie ona przyciąga firmy, pracowników i talenty, choć jej znaczenie rzadko da się uchwycić w prostych wskaźnikach ekonomicznych. Jednocześnie nadchodząca zmiana jest nieunikniona: wraz z ograniczaniem finansowania publicznego rosnąć będzie rola kapitału prywatnego, co wymusi wypracowanie nowych modeli współpracy.

Z kolei Sęk zwracał uwagę, że Kraków ma unikatowy punkt wyjścia – silne dziedzictwo i rozpoznawalność – ale nie może się tylko do tego ograniczać. Kluczowe staje się wykorzystanie tego potencjału do budowania nowoczesnej, zróżnicowanej oferty kulturalnej, odpowiadającej także na zmiany demograficzne i rosnącą różnorodność oczekiwań mieszkańców.

W tle tej rozmowy pojawiło się jednak zasadnicze napięcie: jak rozwijać kulturę, nie tracąc jej autonomii? Niezależnie od tego, czy finansuje ją państwo, samorząd, czy biznes, zawsze pojawia się pytanie o wpływ i granice kontroli.

Najważniejszy wniosek panelu jest raczej kierunkowy niż rozstrzygający: przyszłość kultury w mieście takim jak Kraków nie rozegra się w jednym modelu. Będzie wynikiem ciągłego testowania właśnie w formie „laboratorium", które zamiast gotowych odpowiedzi – oferuje zdolność do zmiany.

Rozmawiamy dalej

Jak zapowiedział wiceprezydent Krakowa Łukasz Sęk, debata o wspólnocie kultury będzie w mieście kontynuowana – i bardzo dobrze, bo wciąż wiele tematów wymaga pogłębionego namysłu, dialogu i szerszego zrozumienia.

Kultura funkcjonuje dziś w nowym układzie zależności – między środkami publicznymi, kapitałem prywatnym a technologią, która zmienia sposób tworzenia i odbioru. Coraz trudniej traktować ją jako odrębną sferę: przenika się z gospodarką, polityką i strategią rozwoju miasta. W tej sytuacji nie ma już jednego, stabilnego modelu działania.

Debata przyniosła wiele intrygujących odpowiedzi, ale, co ważniejsze, wskazała kierunki dalszego działania: przyszłość kultury będzie zależeć od zdolności budowania relacji – między sektorami, instytucjami i odbiorcami. Bez tego żadna strategia nie będzie miała sensu.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

ORGANIZATOR
TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY
Kraków
PARTNERZY
Agencja Rozwoju Miasta Krakowa
mpec kraków
EUROPEJSKA STOLICA KULTURY LUBLIN 2029
bunkier sztuki
PATRONAT MEDIALNY
Radio Kraków
TVP info
65 TVP3 KRAKÓW

eprasa.pl c7a4904b88

LUBLIN EUROPEJSKA STOLICA KULTURY 2029

Jaka **kultura**, taka **gospodarka**

Michał Sowiński: To miasta pełnią dziś rolę głównych organizatorów życia kulturalnego, prawda?

Paweł Potoroczyn: To nie jest nowe zjawisko. Samorządy mają więcej pieniędzy na kulturę niż budżet centralny. A kiedy na poziomie państwa zarządzanie kulturą trafia w ręce bigotów lub populistów, miasta stają się ostatnią linią obrony. Przerobiliśmy to w ostatnich latach: gdyby nie samorządy, wiele form ekspresji po prostu by nie przetrwało. To dzięki nim instytucje działały, odbywały się premiery, koncerty, wystawy, a artyści nie musieli emigrować.

Jest jeszcze jedna rzecz: to nie rząd jest rezerwuarem talentów. Są nim miasta. Jeśli więc miałyby abdykować ze swojej roli kulturotwórczej, mielibyśmy do czynienia z katastrofą na skalę, którą trudno sobie wyobrazić. Dlatego naprawdę warto doceniać fakt, że istnieją takie miasta, które – mimo różnych ograniczeń i presji ekonomicznej – po prostu robią swoje.

To prowadzi do pytania o finansowanie. Kto powinien utrzymywać kulturę i według jakich zasad?

Pomysł, że kultura ma się sama utrzymać, jest – łagodnie mówiąc – kuriozalny. To tak, jakby uznać, że wojsko powinno finansować się z łupów, a policja z tego, co odbierze złodziejom. Troska o kulturę – podobnie jak o zdrowie czy edukację – jest konstytucyjnym obowiązkiem państwa. Aktywni uczestnicy kultury to środowisko opiniotwórcze, które oddziałuje szerzej, wytwarza wiedzę i krytyczną refleksję potrzebne każdej wspólnocie.

Prawdziwy problem leży gdzie indziej: w braku edukacji kulturalnej. Dziś można ukończyć szkołę, nie rozumiejąc podstawowych kodów kultury. Jeśli więc chcemy mówić o „głosowaniu portfelem", najpierw trzeba stworzyć warunki – poprzez poważną edukację w tym zakresie, żeby obywatele, zwłaszcza młodzi, wiedzieli, jak i po co głosują. Są kraje, w których nie można skończyć szkoły bez znajomości nut czy bez podstawowej wiedzy z zakresu sztuk wizualnych. Tam kulturę traktuje się równie poważnie jak matematykę czy fizykę. To gotowe wzorce.

Dlatego: tak, dopuśćmy „głosowanie portfelem". Ale dopiero wtedy, gdy nauczymy się rozumieć sztukę i czytać książki.

Jak przełożyć sens inwestowania w kulturę na język ekonomii? Co się nam „zwraca" z tych wydatków?

To akurat jest dobrze policzone. Według badań Narodowego Centrum Kultury i Komisji Europejskiej złotówka wydana na kulturę generuje nawet do trzech złotych w PKB – to tak zwany mnożnik fiskalny. Ale ważniejsze jest to, co dzieje się dalej. Inwestycje w kulturę i edukację kulturalną budują popyt – sprawiają, że ktoś chce i potrafi uczestniczyć w kulturze. Bez tego nie będzie widowni w teatrach, kinach czy muzeach. A bez tej widowni nasze PKB będzie mniejsze o jakieś trzy procent, społeczeństwo bardziej bierne i zachowawcze, a demokracja bardziej powierzchowna. Bez kultury można mieć wzrost, ale nie rozwój.

Jest też głębszy poziom. Mówimy często o „pułapce średniego rozwoju". Pułapka średniego rozwoju wynika z niskich marż. Niskie marże są pochodną niewielkiej intelektualnej wartości dodanej w cenie. Niska intelektualna wartość dodana bierze się z niewielkiej innowacyjności i kreatywności. Te zaś wywodzą się z deficytów myślenia abstrakcyjnego, którego najskuteczniej, najtaniej i najszybciej uczy kultura. To poparte badaniami fakty, a nie opinia. Jaka kultura, taka gospodarka.

A jaka jest rola prywatnego kapitału? Mecenat wraca do gry?

Widać tu wyraźną zmianę. Dziś nie tylko sektor kultury, ale również środowisko biznesu domaga się takich zmian w ordynacji podatkowej, które pozwolą firmom na większe zaangażowanie. Coraz częściej mecenasi nie szukają już wyłącznie zwrotu z inwestycji, tylko sensu, dobra wspólnego i szacunku. Wartości, a nie korzyści. Interesuje ich waga projektu, jego idea, to, czy jest im bliska. Dlatego rozmowa o finansowaniu rzadko zaczyna się dziś od pieniędzy. Zaczyna się od wspólnego języka i wspólnego zbioru wartości.

Dobrym przykładem jest projekt „Kultura w pracy" w Lublinie. Artyści wchodzą do firm, pracują w ich przestrzeni, spotykają się z pracownikami. To działa w obie strony: świat pracy widzi, czym naprawdę jest proces twórczy, a artyści konfrontują się z realiami ekonomii. Efekt jest zaskakujący. W jednej z firm okazało się, że wśród pracowników jest wielu twórców – muzyków, plastyków, pisarzy.

Przy okazji to próba pokazania, że twórczość jest pracą – wymagającą dyscypliny, czasu i wysiłku, tak jak każda inna. Ale działa to w obie strony: świat pracy zaczyna rozumieć proces twórczy, a artyści widzą, skąd biorą się pieniądze na instytucje, granty czy stypendia.

Ten projekt ma też przełamać pewną sztuczną polaryzację – między „klasą kreatywną" a resztą społeczeństwa. Pokazuje, że kultura nie jest dodatkiem, tylko integralną częścią życia wspólnoty – także w wymiarze ekonomicznym. Dlatego tak bardzo zależy mi na tym, żeby ten model się rozwinął. Jeśli się sprawdzi, będzie skalowany dalej – w Polsce i poza nią.

Jak sprawić, żeby kultura nie była robiona pod tabelki, tylko miała faktyczny sens?

Pierwszy warunek jest prosty: władza musi zrezygnować z ambicji kuratorskich. To zawsze szkodzi – i kulturze, i władzy.

Po drugie: programowanie trzeba powierzyć kompetentnym ludziom. Ich rolą jest tworzenie programów odpowiadających na intelektualne potrzeby i poznawcze aspiracje uczestników kultury. Na tym właśnie polega praca artysty czy kuratora: na umiejętności ich rozpoznania, a w przypadku najwybitniejszych spośród nich – również antycypowania.

Jak Pan widzi Lublin jako miejsce dla kultury – co jest jego największym atutem?

Trudno uciec od historii. Lublin był jednym z pierwszych miejsc w Europie, gdzie wielokulturowość funkcjonowała w praktyce – to nie jest wcale wynalazek XX wieku! Tu podpisano Unię Lubelską – poro-

KONRAD ĆWIK / MATERIAŁY PRASOWE

Paweł Potoroczyn – dyplomata, producent i pisarz, dyrektor Europejskiej Stolicy Kultury Lublin 2029 RE:UNION. Współtwórca polskiej dyplomacji kulturalnej, założyciel Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku i dyrektor placówki w Londynie, w latach 2008–2016 kierował Instytutem Adama Mickiewicza. Autor antytrylogii: „Ludzka rzecz" (2013, nominacja do Nike), „A to było tak" (2023) i „Każdy, kiedyś" (2025).

eprasa.pl c7a4904b88

MACIEJ RUKASZ / RUKASZ.COM

„Sen o mieście" – widowisko teatralne opowiadające o ważnych epizodach z historii Lublina

zumienie między równorzędnymi podmiotami, które na trwałe wpisało miasto w europejską historię. Ale równie ważna jest historia nowsza. To tutaj rozwijały się istotne nurty teatru alternatywnego, działały środowiska niezależne i powstawał suwerenny obieg kultury. Lublin ma silną tradycję niezależności i przekonanie, że kultura może istnieć także poza oficjalnymi strukturami.

Dziś to także miasto kilku dużych uczelni, z tysiącami absolwentów rocznie – nawet jeśli tylko niewielki odsetek z nich to osoby wybitnie utalentowane, oznacza to dużą koncentrację młodych twórców. Miasto ma też sprzyjającą skalę: jest kompaktowe, dobrze skomunikowane, działa tu logika „miasta piętnastominutowego".

Jest wreszcie kapitał społeczny – widoczny choćby w sposobie, w jaki Lublin przyjął uchodźców z Ukrainy. To doświadczenie wspólnoty ma realne znaczenie. Razem tworzy to solidny fundament dla kultury – historyczny, społeczny i instytucjonalny.

W miastach takich jak Kraków pojawia się napięcie między dziedzictwem a współczesnością. Czy to problem także w Lublinie?

W Lublinie to napięcie jest słabsze. Dziedzictwo nie jest tu ciężarem, tylko żywą częścią miasta. To nie jest coś, co trzeba „obsługiwać", tylko coś, w czym się uczestniczy. Dziedzictwo nie musi ograniczać współczesności. Może ją zasilać – pod warunkiem, że nie udajemy, że go nie ma, tylko potrafimy je włączyć w dzisiejsze myślenie o kulturze.

A nowe technologie? Sztuczna inteligencja to dla kultury zagrożenie czy narzędzie?

Dla ludzkiej potrzeby twórczości to moment przełomu – technologia, która realnie zmienia reguły gry. Ale tymczasem pozostaje narzędziem. Można ją wykorzystać twórczo, można też w sposób destrukcyjny. Historia uczy, że nowe technologie często trafiają w ręce ludzi, którzy używają ich cynicznie albo bezmyślnie. Najpierw zastanawiamy się, co zrobić z naszymi wynalazkami, a potem zatrwożeni patrzymy, co nasze wynalazki robią z nami.

Z drugiej strony trudno wyobrazić sobie zanik ludzkiej twórczości. Bardziej prawdopodobne jest to, że wykształcą się mechanizmy odróżniania tego, co stworzył człowiek, od tego, co wygenerowała maszyna. Przypuszczam, że niedługo pojawi się aplikacja, która czytelnika, widza, słuchacza będzie ostrzegała: uważaj, ten utwór pochodzi z kombinacji krzemu, bramek logicznych, wielkich baz danych i prądu elektrycznego.

W tej sprawie jestem umiarkowanym optymistą. Mimo hiperinflacji treści, ludzie wciąż czytają książki, wzruszają się w teatrze, przeżywają muzykę skomponowaną przez ludzki geniusz, a nie wygenerowaną przez agenta AI. Kolejne zapowiedzi końca sztuki się nie spełniają. Przeciwnie, okazuje się, że kultura jest nam potrzebna właśnie po to, żeby pomóc naszym umysłom uporać się ze skutkami zmiany z analogu na digital.

© Rozmawiał
MICHAŁ SOWIŃSKI

Co się dzieje, gdy artysta trafia do firmy

W Lublinie właśnie rusza „Kultura w pracy" – wieloletni program rezydencji artystycznych realizowany w ramach Europejskiej Stolicy Kultury Lublin 2029. Artyści będą pracować przez co najmniej miesiąc w specjalnych pawilonach na terenach firm – obok hal produkcyjnych, biur i w przestrzeniach badawczo-rozwojowych. Taki pawilon to jednocześnie pracownia i miejsce kontaktu z pracownikami, klientami i gośćmi.

Sednem projektu nie jest efekt końcowy, lecz sam proces. Chodzi o pokazanie, że twórczość to praca – wymagająca dyscypliny, czasu i skupienia. Równocześnie artyści konfrontują się z realiami przedsiębiorstw, a pracownicy zyskują dostęp do sposobów myślenia i działania twórców.

Program powstaje we współpracy z lubelską Unią Biznesu i angażuje firmy z różnych sektorów. Pierwszą rezydencję gości firma Medisept, a jej uczestnikiem jest pisarz Ivan Davydenko. Projekt odpowiada na wyzwania współczesnego rynku pracy – automatyzację, presję efektywności i spadek zaangażowania – pokazując, że kontakt ze sztuką wzmacnia kreatywność, elastyczność i zdolność współpracy.

„Kultura w pracy" to próba przełamania nieufności między „klasą kreatywną" a światem pracy oraz budowania trwałych relacji między kulturą a biznesem. Każdej rezydencji towarzyszyć będzie dokumentacja i publikacja podsumowująca proces. Jeśli model się sprawdzi, ma być rozwijany w kolejnych miastach – jako narzędzie wzmacniania lokalnych ekosystemów kultury i innowacji.

Więcej informacji na lublin2029.pl

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl c7a4904b88

Miasto
to silnik kultury

KATARZYNA OLESIAK, PREZESKA AGENCJI ROZWOJU MIASTA KRAKOWA: Kultura jest fundamentem rozwoju miast – na równi z gospodarką i infrastrukturą.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak Centrum Muzyki, Wesoła oraz ICE Kraków kształtują rozwój miasta?
KATARZYNA OLESIAK: Agencja Rozwoju Miasta Krakowa to spółka miejska, której powierzono prowadzenie i rozwijanie kluczowych inwestycji Krakowa – takich, które mają realny wpływ na jakość życia mieszkańców i długofalowy rozwój miasta. Naszą rolą jest nie tylko zarządzanie infrastrukturą, ale przede wszystkim myślenie strategiczne: jak te miejsca mogą działać razem i jak odpowiadać na zmieniające się potrzeby mieszkańców.

W tym kontekście projekty takie jak Centrum Kongresowe ICE Kraków, Centrum Muzyki w Krakowie i Wesoła nie są odrębnymi inwestycjami, tylko elementami jednego, spójnego systemu.

ICE Kraków od początku pełni bardzo ważną funkcję w obszarze sektora kulturalnego i kongresowego. To miejsce, które przyciąga do Krakowa wydarzenia kulturalne, międzynarodowe kongresy i konferencje, budując jednocześnie pozycję gospodarczą i wizerunkową Krakowa. ICE dysponuje salą koncertową o wyjątkowych parametrach akustycznych i mogącą pomieścić prawie dwa tysiące osób – Salą S1 im. Krzysztofa Pendereckiego.

Jednocześnie tworzymy przestrzeń w Centrum Muzyki w Krakowie, w której muzyka będzie miała swoją naturalną, uprzywilejowaną pozycję. Nie będzie to model tradycyjnej instytucji skupionej wyłącznie na sezonach artystycznych orkiestr, ale miejsce otwarte, wielofunkcyjne, działające przez cały rok i budujące relacje z różnymi grupami odbiorców.

Z kolei Wesoła to projekt rozwojowy – przestrzeń transformacji i laboratorium projektowania kwartału miasta. Zgodnie z przyjętym masterplanem rozwijamy ją jako zieloną, wielofunkcyjną dzielnicę, w której spotykają się funkcje społeczne, kulturalne, edukacyjne i gospodarcze.

Jak kultura wpływa dziś na rozwój miasta – także gospodarczo?
To jest zmiana, która dzieje się na naszych oczach – choć nie wszyscy jeszcze ją w pełni rozumieją. Kultura coraz wyraźniej przestaje być postrzegana wyłącznie jako obszar symboliczny czy wydarzeniowy, a zaczyna być traktowana jako realny zasób rozwojowy i gospodarczy miasta.

Z perspektywy Agencji Rozwoju Miasta Krakowa oznacza to konieczność myślenia o kulturze w sposób systemowy – w powiązaniu z gospodarką, turystyką i jakością życia mieszkańców. Widzimy to choćby w sektorze MICE rozwijanym w ICE Kraków, gdzie wydarzenia biznesowe korzystają z potencjału oferty kulturalnej miasta.

Jednocześnie ta zmiana wymaga większej elastyczności i współpracy. Dlatego projektując nowe miejsca, takie jak Centrum Muzyki, czy rozwijając Wesołą, nie koncentrujemy się wyłącznie na wydarzeniach, ale na budowaniu trwałych ekosystemów.

W przypadku Wesołej widać, jak łatwo tę zmianę uprościć. Pojawiały się opinie, że „nic się tam nie dzieje". Tymczasem to nie jest przestrzeń zaprojektowana pod szybkie, spektakularne wydarzenia. Wesoła rozwija się inaczej – poprzez obecność rezydentów i ich codzienną działalność. To właśnie ta codzienność – a nie pojedyncze wydarzenia – buduje trwałą wartość miejsca.

LUKASZ POPIELARCZYK

Katarzyna Olesiak – menedżerka kultury i finansów, prezeska ARMK. Była dyrektorką Wydziału Kultury UMK, odpowiadała za politykę kulturalną Krakowa i Program Rozwoju Kultury 2030. Nadzorowała instytucje i inwestycje. Realizuje projekty: Wesoła, Centrum Muzyki, ICE Kraków.

Jak buduje się przestrzenie łączące kulturę, biznes i technologie?
Budowanie takich przestrzeni to proces znacznie bardziej złożony, niż mogłoby się wydawać. Łączymy różne porządki – kulturę, biznes, sektor publiczny i nowe technologie – a każdy z nich funkcjonuje według innych zasad i oczekiwań.

Największym wyzwaniem jest budowanie partnerstw. Wciąż uczymy się myślenia o kulturze jako obszarze współpracy różnych sektorów, dlatego pozyskiwanie partnerów biznesowych do projektów takich jak Wesoła wymaga wielu rozmów i zaufania. Drugim istotnym aspektem są nakłady inwestycyjne – mówimy o historycznej tkance miasta, która wymaga kosztownej adaptacji i stabilnego finansowania rozłożonego na wiele lat. Dlatego tak ważne było pozyskanie środków z programu FEnIKS na rozwój tzw. Kwartału Kultury na Wesołej.

Ale równie ważne jak inwestycje, są pierwsze realne przykłady życia, które w tych przestrzeniach się pojawia, choćby Wesoła Immersive – miejsce, które nadało nowy puls historycznemu budynkowi Starej Kuchni. To centrum sztuki nowych mediów i doświadczeń immersyjnych, gdzie światło, dźwięk i interakcja tworzą wielozmysłowe wystawy. Takie inicjatywy pokazują, jak w praktyce wygląda łączenie kultury z technologią. Podobnie myślimy o Centrum Muzyki – nie jako o zamkniętej instytucji, ale jako o przestrzeni otwartej na różne środowiska i formaty działania.

Krótko mówiąc: budowanie takich miejsc to proces, który wymaga nie tylko inwestycji, ale przede wszystkim cierpliwości, partnerstw i odwagi w testowaniu nowych rozwiązań.

Warto inwestować w kulturę?
Tak, ponieważ zmieniło się jej znaczenie – to wyraźny kierunek polityk europejskich i globalnych. Dziś kultura jest traktowana jako jeden z fundamentów rozwoju – na równi z gospodarką i infrastrukturą, jako część strategii społecznej i ekonomicznej.

Z perspektywy miasta oznacza to konkretne korzyści: rozwój gospodarczy, wyższą jakość życia i większą odporność na kryzysy. Kraków ma tu silną pozycję – dzięki wydarzeniom i festiwalom, które budują markę miasta i rozwijają turystykę kulturalną. Centrum Muzyki ma stać się ich naturalnym miejscem i wizytówką Krakowa. W tej perspektywie finansowanie kultury to świadome działanie na rzecz silniejszego miasta. ©

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl c7a4904b88

TYGODNIK
Trzeciego Wieku

BEZPIECZEŃSTWO, WIEDZA I MUZYKA W NOWOHUCKIM CENTRUM KULTURY

Redakcja „Tygodnika Powszechnego" wraz z Miastem Kraków zapraszają na wyjątkowe wydarzenie dla krakowskich seniorów. W świecie cyfrowego szumu i dezinformacji stawiamy na rzetelną wiedzę, bezpieczeństwo i wspólnie spędzony czas.

Program wydarzenia:

- **PRAWDZIWE INFORMACJE:** redaktorzy i redaktorki „Tygodnika" (m.in. **Ewelina Burda, Agata Kaźmierska**) nauczą, jak rozpoznawać fake newsy i czym są farmy trolli.
- **CYFROWE BEZPIECZEŃSTWO: Marek Rabij** pokaże, jak nie dać się oszukać w sieci i ustrzec przed phishingiem.
- **MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE: Michał Kuźmiński** opowie o algorytmach mediów społecznościowych, które zamykają nas w informacyjnych bańkach.
- **PODRÓŻE BEZ BARIER: Wioletta Drozdowska** (Albatros Travel) zainspiruje do bezpiecznego odkrywania świata.

Wydarzenie specjalne: KONCERT JACKA WÓJCICKIEGO
Niezapomniane spotkanie z ikoną krakowskiej estrady i najpiękniejszymi polskimi melodiami.

Informacje organizacyjne:

KIEDY:
8 maja 2026 r.,
godz. 9:30

GDZIE:
Nowohuckie Centrum Kultury
(NCK), Kraków

WSTĘP BEZPŁATNY,
liczba miejsc ograniczona
(obowiązuje rejestracja)

ZAPISY:
przez stronę internetową: **www.evenea.pl/event/tygodniktrzeciegowieku**

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER GŁÓWNY: Kraków

PARTNERZY: ERGO HESTIA, Albatros travel, TEZEUSZ.pl Drugie życie książek

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c7a4904b88

ŚWIAT

DZIECI, KTÓRE ZMIENIĄ IZRAEL

Gdy połowę izraelskich Żydów stanowić będą ortodoksi, Izrael stanie się zaprzeczeniem państwa, jakim widzieli go jego świeccy założyciele. Jakie będą tego skutki?

IGOR KUŚMIERSKI

Rano w Bnei Brak, mieście na obrzeżach Tel Awiwu, ulice wypełniają się czarnym i białym. Mężczyźni w długich płaszczach i kapeluszach spieszą do jesziw. Na przystankach autobusowych czekają kobiety w długich spódnicach i perukach. Wiele w ciąży, otoczone dziećmi. Wózki podwójne i potrójne blokują chodniki. Tu kobieta rodzi statystycznie 6,1 dziecka. Piętnaście minut dalej, w świeckim Tel Awiwie, zaledwie 1,7 dziecka.

Nie jest to malowniczy obraz z przeszłości. To codzienność, która niedługo będzie normą w Izraelu. I nie chodzi tu o zacofanie, lecz świadomy wybór społeczności, która postanowiła odmówić współczesności.

Gdy Korea Południowa, Japonia i Polska kurczą się do współczynnika dzietności w okolicy jednego dziecka, Izrael ma współczynnik 2,9. Ale to zwodnicza statystyka. Nie cały Izrael rodzi dzieci, lecz jedna grupa: *charedi*, ortodoksyjni Żydzi. Za 20-30 lat to oni będą definiować, czym jest Izrael. Jak do tego doszło?

Reakcja na nowoczesność

Charedi to zjawisko nowożytne, zrodzone jako reakcja na XIX-wieczną emancypację Żydów w Europie. Gdy industrializacja i urbanizacja otworzyły przed nimi drzwi do społeczeństw, wielu przyjęło ofertę. Wysyłali dzieci do świeckich szkół, asymilowali się. *Haskala*, żydowskie oświecenie, obiecywało równość przez integrację.

W odpowiedzi powstał ruch ekstremalnie konserwatywny, izolacjonistyczny, który chciał chronić tradycję przed skażeniem. Punktem zwrotnym było założenie w 1912 r. na ziemiach polskich Agudat Jisroel: dwaj dotychczasowi rywale, chasydzi i *mitnagdim*, zjednoczyli się przeciw wspólnemu wrogowi. Tym wrogiem była nowoczesność.

Potem był Holokaust i trauma, która stała się fundamentem współczesnej tożsamości *charedi*. Wraz ze zniszczeniem europejskich jesziw i śmiercią wiernych groziło wyginięcie życia religijnego. Ocaleni mieli misję: odbudować świat Tory.

Zrobili to z fenomenalną determinacją – w Izraelu, Nowym Jorku i wszędzie tam, gdzie mogli tworzyć zamknięte enklawy, wolne od wpływów zewnętrznego świata.

Syjoniści ustępują ortodoksom

Relację między *charedi* a izraelskim państwem zdefiniowano jeszcze przed jego powstaniem. W 1947 r. Dawid Ben Gurion – lider ruchu syjonistycznego, później premier – negocjował z przywódcami religijnymi tzw. *status quo*: porozumienie, które miało przekonać religijne mniejszości do zaakceptowania idei państwa. Wielu ortodoksyjnych rabinów było antysyjonistycznych: wie-

Protest ultraortodoksyjnych Żydów przeciw obowiązkowej służbie wojskowej. Jerozolima, 30 października 2025 r.

AMIR LEVY / GETTY IMAGES

eprasa.pl c7a4904b88

rzyli, że tylko Mesjasz przywróci Królestwo Izraela.

Porozumienie gwarantowało społeczności *charedi* niezwykłą autonomię: niezależny system edukacji, szacunek dla szabatu w przestrzeni publicznej i najważniejsze – zwolnienie ze służby wojskowej dla studentów jesziw. W małej społeczności lat 50. XX w., gdy *charedi* liczyli ok. 4 tys. osób (mniej niż pół procenta populacji), ustępstwa te zdawały się rozsądne i tymczasowe. To miał być gest dobrej woli wobec garstki pobożnych, którzy przetrwali Szoah.

Ben Gurion i inni syjoniści zakładali, że tradycyjny judaizm naturalnie zaniknie w nowoczesnym świeckim państwie. Że problem sam się rozwiąże za pokolenie czy dwa, gdy młodzi *charedi* uznają zalety świeckiego życia i się zasymilują. Pomylili się spektakularnie.

Dzień mężczyzn

Życie *charedi* porządkuje religia. Jak w klasztorze – z tą różnicą, że ten klasztor obejmuje całe dzielnice i miasta. Każdą czynność reguluje halacha, zbiór praw religijnych. Określa, jak się ubrać, co czytać, jak wychować dzieci i uprawiać seks w małżeństwie.

Student jesziwy wstaje o piątej. Modlitwa, potem studium Talmudu w parach, gdzie dwóch mężczyzn na głos analizuje starożytne teksty, spiera o interpretacje. Po lunchu kolejne godziny studiowania, tym razem samodzielnie. Kolacja, pomoc w układaniu dzieci do snu i znów powrót do ksiąg, czasem do północy. Tak wygląda każdy dzień, z wyjątkiem szabatu. Tak wyglądał dzień ich ojców. Tak będzie wyglądał dzień ich synów.

Chłopcy trafiają do jesziw, gdzie od 13. roku życia spędzają dni nad Talmudem i komentarzami rabinów. Matematyka? Niepotrzebna, Talmud dostarcza potrzebnej logiki. Nauki przyrodnicze? Zagrażają wierze w dosłowną prawdę Tory. Historia powszechna? Po co, skoro ta jedyna prawdziwa to historia narodu żydowskiego, zapisana w świętych tekstach.

Raport Izraelskiego Instytutu Demokracji z 2023 r. mówi, że ponad 60 proc. szkół *charedi* nie uczy przedmiotów świeckich, poza podstawami czytania i pisania. Argumentacja: studiowanie Tory to obowiązek religijny, który ma pierwszeństwo przed wszystkim innym.

↦

eprasa.pl c7a4904b88

Dzień kobiet

↦ Wielu młodych mężczyzn zostaje w jesziwie aż do małżeństwa, często aranżowanego przez rodziny lub swatów. Z przyszłą żoną poznają się na kilku spotkaniach, decyzję o ślubie podejmują w ciągu tygodni. Po ślubie on kontynuuje studia w kolelu, instytucji dla żonatych studiujących Torę. Może tam pozostać do wieku średniego lub dłużej. A ona?

W społecznościach kapitalistycznych płatną pracę wykonują głównie mężczyźni. W społeczności *charedi* ta logika staje na głowie. Niepłatna praca mężczyzn, studium Tory, ma pierwszeństwo przed wartością pracy zarobkowej. To kobiety często są źródłem utrzymania rodziny: pracują jako nauczycielki, sekretarki, w administracji.

Gdy wracają do domu z pracy, zastają mężów nad Talmudem. Przygotowują obiad dla licznych dzieci, pomagają im w lekcjach, układają do snu. Mężowie studiują dalej, często do nocy. To odwrócenie ról nie jest postrzegane jako niesprawiedliwość – to hierarchia wartości. Praca kobiety jest materialna, praca mężczyzny duchowa. Ta druga jest ważniejsza.

Zasadą jest koncepcja *da'at torah* – opinii Tory. W każdej życiowej decyzji *charedi* konsultują się z rabinem. Wziąć tę pracę? Zapytaj rabina. Jak głosować w wyborach? Rabin powie. Wielcy rabini, *gedolim*, mają autorytet niepodważalny, ich decyzje są ostateczne. To nie demokracja w zachodnim sensie. To teokracja w miniaturze, gdzie władza płynie z religijnej wiedzy i pobożności, nie z woli większości czy indywidualnej autonomii.

Światy równoległe

Jakie są ekonomiczne skutki tego stylu życia?

Zatrudnienie wśród mężczyzn *charedi* w wieku produkcyjnym wynosi nieco ponad połowę (w całej populacji Izraela osiąga jeden z najwyższych poziomów w krajach OECD). Średni dochód rodziny *charedi* jest o jedną trzecią niższy niż reszty. Zasiłki stanowią ponad czwartą część dochodu rodziny *charedi* (w świecie równoległym to jedna dziesiąta). Niska produktywność mężczyzn *charedi* kosztuje państwo 33 mld szekli rocznie (39 mld zł).

Jednocześnie Izrael ma jedną z najbardziej zaawansowanych gospodarek na świecie. Sektor wysokich technologii zatrudnia jedną dziesiątą siły roboczej, a generuje jedną piątą PKB i odpowiada za jedną czwartą dochodów podatkowych. To Dolina Krzemowa Bliskiego Wschodu – start-upy, sztuczna inteligencja, cyberbezpieczeństwo, biotechnologia.

Jednak ten sektor opiera się na wąskiej grupie społecznej. Kontrast uderza. Młody programista w Tel Awiwie zarabia wielokrotność średniej krajowej i płaci wysokie podatki, które finansują zasiłki dla *charedi*. Jednocześnie regularnie odbywa służbę rezerwową – ostatnio wielu spędziło pół roku z dala od rodzin i firm. *Charedi* są zwolnieni z tej służby.

„Byłem na granicy z Gazą 180 dni w ciągu ostatniego roku – mówił „Haaretzowi" Yoni, 32-letni programista. – Moja firma ledwo przetrwała. Dzieci prawie zapomniały, jak wyglądam. A potem widzę w TV, jak *charedi* protestują przeciw poborowi, krzyczą, że studiowanie Tory jest ważniejsze niż obrona kraju. I płacę za to moimi podatkami".

Kontrakt się rozpada

Kwestia armii jest krytyczna dla mieszkańców Izraela, gdzie pobór jest elementem codzienności. To kraj permanentnie zmobilizowany, tu konflikt nie jest abstrakcją. Młodzi trafiają do wojska w wieku 18 lat – kobiety na dwa lata, mężczyźni na prawie trzy. Potem zostają rezerwistami do 50. roku życia.

Wśród ogółu żydowskich Izraelczyków w armii służy ponad siedmiu na dziesięciu. Ale tylko jeden na dziesięciu mężczyzn *charedi* odbywa służbę w jakiejkolwiek formie.

Po 7 października 2023 r. nabrało to jeszcze większej wagi. Od tego czasu statystyczny rezerwista spędził w mundurze ponad pół roku. Rodziny są rozdzielone, dzieci tęsknią, firmy tracą, gospodarka cierpi. A *charedi* kontynuują naukę w jesziwach, jakby wojny nie było.

W lutym 2024 r. ponad dwie piąte Izraelczyków deklarowało negatywne odczucia wobec *charedi* (wzrost o jedną trzecią w ciągu roku). W maju 2024 r. trzy piąte twierdziło, że zwolnienia dla studentów jesziw powinny zostać zniesione. Społeczny kontrakt się rozpada.

Potem przyszedł czerwiec. Sąd Najwyższy orzekł, że państwo musi zacząć powoływać studentów jesziw. W reakcji *charedi* zablokowali ulice, wznosząc barykady z płonących śmietników. Ich

rabini ogłosili, że żaden student jesziwy nie może zgłosić się do armii, nawet pod groźbą więzienia.

Kilka dni temu, 26 kwietnia, Sąd Najwyższy wrócił do tematu: skrytykował rząd za niewykonanie jego wcześniejszej decyzji o poborze *charedi* i uznał, że ci, którzy się od niego uchylają, powinni być ścigani i karani (na gruncie prawa karnego, a także przez ograniczenie im dostępu do świadczeń socjalnych). Swojemu orzeczeniu sąd nadał rygor natychmiastowej wykonalności i nakazał rządowi złożenie raportu z jego wdrożenia do początku czerwca.

Trend nie kłamie

Społeczność *charedi* liczy dziś 1,26 mln osób, nieco ponad jedną dziesiątą populacji. W latach 60. XX w. było to 3 procent. Ale prawdziwa siła leży w strukturze wieku. Trzy piąte *charedi* ma poniżej 20 lat, podczas gdy w całej populacji to tylko jedna trzecia. Mediana wieku w społeczności *charedi* to 16 lat, w porównaniu: 30 lat dla całej populacji.

To konkretne dzieci, które już się urodziły. Dorastają w Bnei Brak, Jerozolimie, Bet Szemesz. Za 10 lat będą nastolatkami, za 20 lat dorosłymi z prawem głosu, za 30 lat rodzicami kolejnego pokolenia.

Przewidywania są nieubłagane. Przy obecnym trendzie w 2030 r. *charedi* będą

eprasa.pl c7a4904b88

ALEXI J. ROSENFELD / GETTY IMAGES

Dzieci obserwują obchody święta Purim w ultraortodoksyjnej dzielnicy Mea Szearim. Jerozolima, 4 marca 2026 r.

stanowić 16 proc. populacji. W 2040 r. jedną piątą, a w 2065 r. sięgną dwóch piątych izraelskich Żydów.

Efekt kuli śnieżnej jest już uruchomiony. Młoda populacja oznacza więcej rodziców w wieku rozrodczym za 10-15 lat, co z kolei oznacza jeszcze więcej dzieci. Według szacunków zespołu prof. Sergio Della Pergola z Uniwersytetu Hebrajskiego, jeśli trend się utrzyma, do 2075 r. połowa wszystkich żydowskich dzieci w Izraelu będzie pochodziła z rodzin *charedi*.

W 2050 r. w szkole naukę zacznie dwadzieścioro dzieci. Dziesięcioro to będą dzieci *charedi*, które nie nauczą się matematyki czy angielskiego i zapewne nie będą służyć w armii. Zapewne nie będą też pracować w sektorze technologicznym, który napędza gospodarkę.

Polityczna siła liczb

W grudniu 2022 r., po piątych wyborach w ciągu trzech lat, Beniamin Netanjahu sformował wreszcie rząd. Kluczem były partie *charedi* – Zjednoczona Lista Tory i Szas, które zdobyły 18 mandatów w 120-osobowym Knesecie. Bez nich koalicja nie mogłaby powstać.

W Izraelu nawet małe partie mogą odgrywać kluczową rolę – ordynacja jest czysto proporcjonalna, z bardzo niskim progiem. W systemie, gdzie żadna partia nigdy nie zdobyła samodzielnej większości, małe ugrupowania stają się języczkiem u wagi.

Dla Netanjahu *charedi* to idealny partner. Głosują w zwartym bloku, są przewidywalni. Nie mają ambicji przejęcia władzy. Chcą jednego: ochrony stylu życia, finansowania jesziw i szkół, utrzymania zwolnień z wojska. Są gotowi wspierać niemal każdy rząd, który im to da.

Według ostatnich ustaleń koalicyjnych, budżet na szkoły *charedi* miał wzrosnąć o 1,5 mld szekli rocznie, a finansowanie jesziw o kolejny miliard. To cena za 18 głosów.

Moshe Gafni, lider Zjednoczonej Listy Tory, w 2023 r. mówił w debacie budżetowej: „Studenci jesziw chronią Izrael bardziej niż żołnierze. Ich modlitwy i studia Tory są tarczą duchową tego narodu". Moshe Abutbul, mer Bet Szemesz i *charedi*, mówił w 2024 r.: „Za 20 lat połowa dzieci w Izraelu będzie *charedi*. To proste liczby. Wtedy zobaczycie, jak kraj się zmieni. Świeccy mogą się z tym nie zgadzać, ale demokracja to władza większości, prawda?".

Żądania bardziej ambitne

Te wypowiedzi nie są marginalne ani prowokacyjne. Reprezentują mainstream myślenia politycznego w społeczności *charedi*. Jest to perspektywa, która będzie coraz bardziej wpływowa w miarę wzrostu demograficznego tej grupy.

W grudniu 2025 r. Gafni ostrzegł, że jeśli rząd nie uchwali nowej ustawy gwarantującej zwolnienia studentów jesziw, jego partia opuści koalicję. Premier, osłabiony oskarżeniami o korupcję i sporami w koalicji, nie mógł sobie na to pozwolić. Gafni o tym doskonale wie.

W miarę wzrostu siły demograficznej i politycznej, żądania *charedi* wobec państwa staną się bardziej ambitne. Mogą domagać się zwiększenia transferów budżetowych. Mogą żądać całkowitej autonomii edukacyjnej z gwarancją pełnego finansowania bez kontroli programu – tak by żaden urzędnik nie mógł sprawdzić, czego uczą w ich szkołach.

Jeśli obecne trendy się utrzymają, do 2040 r. wydatki państwa na społeczność *charedi* mogą wzrosnąć o ponad połowę. Mogą także dążyć do konstytucyjnego zakodowania zwolnień dla studentów jesziw, tak by żaden sąd nie mógł tego zakwestionować. Za kilka dekad to nie będzie mniejszość. To będzie siła polityczna, która może dyktować warunki.

Spóźnione reformy

Tylko co wtedy, gdy tak dużą część żydowskiej społeczności Izraela stanowić będą ludzie, którzy w ograniczonym stopniu uczestniczą w gospodarce i nie służą w armii?

Są próby znalezienia rozwiązań. Część liderów *charedi*, tych młodszych i bardziej pragmatycznych, zachęca mężczyzn do nauki zawodów. Pojawiają się programy włączające *charedi* w rynek pracy, szkolenia, kursy. Zatrudnienie wśród kobiet *charedi* wzrosło do niemal czterech piątych (prawie na poziomie całej populacji). To pokazuje, że integracja jest możliwa, a *charedi* mogą uczestniczyć w gospodarce bez rezygnacji z religijnej tożsamości.

Są też jednostki wojskowe specjalnie przeznaczone dla *charedi*, gdzie jest czas na modlitwę i separacja od kobiet-żołnierek. Przeszło przez nie kilka tysięcy mężczyzn *charedi*. Niektórzy odkryli, że można być pobożnym i służyć państwu. Że te światy nie muszą być oddzielone.

Ale to dzieje się powoli. Zbyt powoli wobec wzrostu demograficznego. Między rokiem 2013 a 2023 liczba *charedi* urosła o 320 tys. ludzi (więcej niż populacja Hajfy). Programy integracyjne objęły może kilkanaście tysięcy. Kropla w morzu. W następnej dekadzie wzrost będzie jeszcze szybszy, a programy, jeśli ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ w ogóle będą kontynuowane, pewnie nie nadążą.

Pokój teologicznie niemożliwy?

Ta przemiana nie dotyczy tylko Izraela od wewnątrz. Jeśli państwo stanie się bardziej religijne, bardziej konserwatywne, jak zmieni się polityka zagraniczna?

Tylko niewielka część *charedi* popiera utworzenie państwa palestyńskiego, w porównaniu z niemal połową wśród świeckich żydowskich Izraelczyków. Dla wielu *charedi* Zachodni Brzeg to biblijne Judea i Samaria, ziemia dana przez Boga. Nie można z niej ustąpić. Kompromis terytorialny w zamian za pokój staje się teologicznie niemożliwy. Każde przyszłe negocjacje pokojowe będą musiały przekonać nie tylko obecną prawicę, ale społeczność, dla której oddanie ziemi to grzech.

Prowadzi to też do dalszej polaryzacji wewnętrznej, do pogłębienia podziału między Izraelem świeckim a Izraelem religijnym. Część młodych i wykształconych świeckich Izraelczyków decyduje się na emigrację. Finansują podatkami system, w którym nie chcą uczestniczyć. Bronią kraju, którego przyszły charakter jest im obcy.

Kilka dni temu Sąd Najwyższy skrytykował rząd za niewykonanie jego wcześniejszej decyzji o poborze *charedi* do armii **i uznał, że ci, którzy się od niego uchylają, powinni być ścigani i karani.**

W latach 2015-2023 na stałe wyemigrowało ok. 80 tys. Izraelczyków. Specjaliści od technologii jadą do Berlina, Londynu, do USA. W przyszłości ten eksodus może się nasilić.

Dzieci już się urodziły

Izrael stoi przed wyzwaniem, które nie ma precedensu w świecie rozwiniętym. Żaden inny kraj nie doświadcza tak dramatycznej zmiany demograficznej napędzanej przez jedną, silnie zorganizowaną grupę społeczną, która odmawia integracji z większością. To nie jest proces, który można zatrzymać ustawami albo programami socjalnymi lub edukacyjnymi.

Przyszłość Izraela będzie wynikiem decyzji, które są podejmowane każdego dnia – w każdej rodzinie *charedi* i przy każdej decyzji o kolejnym dziecku. Decyzji, które zapadły także w latach 50. XX w., gdy Ben Gurion myślał, że robi gest wobec ginącej mniejszości. Nie przewidział, że ta mniejszość wykorzysta demografię jako broń transformacji społecznej.

Dzieci dorastają w Bnei Brak, Jerozolimie, Bet Szemesz. Uczą się, że świat świecki to zagrożenie, jedyną wartość ma studiowanie Tory, że państwo ma obowiązek je utrzymywać, a one nie mają obowiązku go bronić. Za 15 lat będą głosować. Za 25 lat będą rabinami, politykami, liderami społeczności. Za 50 lat będą współdefiniować, czym jest Izrael.

Nic tego nie zatrzyma. Bo dzieci już się urodziły. © IGOR KUŚMIERSKI

Tekst ukończono 27 kwietnia

Autor jest absolwentem studiów bliskowschodnich UJ, redaktorem serwisu popkulturowego Filmawka.

REKLAMA

W SPRZEDAŻY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU

Czy to Shakespeare napisał te wszystkie arcydzieła? Rozmowa z najsłynniejszym szekspirologiem świata Stephenem Greenblattem

To miała być optymistyczna rozmowa o sukcesie. Agata Romaniuk opowiada Tomaszowi Kwaśniewskiemu o tym, jak to się stało, że utrzymuje się z pisania książek

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl c7a4904b88

Wielka historia małych rzeczy

MAGDALENA WALIGÓRSKA

W ogólnopolskiej akcji przechowane.org poszukujemy przedmiotów codziennego użytku, które znajdowały się w żydowskich domach. Chcemy odkryć i opowiedzieć historie tych wyjątkowych skarbów z przeszłości.

Alicja Matusiewicz, nauczycielka szkoły podstawowej, przechodziła ulicą wzdłuż nadrzecznej pierzei Placu Czarnieckiego w Tykocinie, gdy zauważyła, że jej sąsiadka karmi kury z nietypowego naczynia. Porcelanowy talerz, do którego sypała ziarno, był duży i – mimo zabrudzenia – wciąż widoczne były na nim złocenia. Jego powierzchnia podzielona była na sześć równych pól. Alicji Matusiewicz przedmiot wydał się wyjątkowy; odkupiła go od sąsiadki w zamian za kuchenne krzesło.

Były lata sześćdziesiąte. Zaledwie dwie dekady wcześniej Tykocin, zwany po żydowsku Tiktin, był typowym sztetlem. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej mieszkało tu około dwóch tysięcy Żydów.

Po umyciu nietypowa zastawa dla kur okazała się pięknym talerzem sederowym z iryzowanej porcelany, ozdobionym hebrajskimi inskrypcjami i wyprodukowanym w Karlsbadzie. W pierwszej połowie XX w. Karlsbad stał się tak popularnym kurortem dla Żydów z Europy Środkowej, że miejscowi producenci porcelany zaczęli wytwarzać pamiątki specjalnie dla tej grupy gości. Muzeum Żydowskie w Budapeszcie prześledziło niedawno historię masowo produkowanych talerzy sederowych z Karlsbadu, odkrywając, że sprytny miejscowy przedsiębiorca wyrabiał je z... talerzy na ostrygi, które – jako produkt niekoszerny – były dla żydowskich kuracjuszy, rzecz jasna, mniej atrakcyjne.

Talerz z Karlsbadu był przez rodzinę Matusiewiczów przechowywany przez kolejne dekady. Miał swoje miejsce w „honorowej" szufladzie rodzinnej szafy, obok świątecznych obrusów, kropidła i gromnicy. Dla Marii Markiewicz, córki Alicji, stał się po prostu cenną rodzinną pamiątką. „Jestem bardzo szczęśliwa, że go mam – mówi – bo należał do kogoś z naszych żydowskich sąsiadów z Placu Czarnieckiego. Dzięki niemu czuję mentalny kontakt z przeszłością".

Talerz sederowy z Karlsbadu można dziś zobaczyć – obok wielu innych pamiątek i mikrohistorii dawnego Tykocina – w prywatnym muzeum przy Placu Czarnieckiego 10, prowadzonym przez Fundację Centrum Badań nad Historią i Kulturą Małych Miast.

Historia talerza z Tykocina, choć niezwykła, nie jest unikatowa. Tysiące przedmiotów codziennego użytku, niegdyś należących do Żydów, do dziś znajduje się w prywatnych domach, na strychach i w czeluściach szaf. Niektóre odnajdują się przypadkiem – podczas remontów czy prac budowlanych. Na strychu domu w Iwju na Białorusi ekipie budowlanej wpadł w oko, lekko nadgryziony przez myszy, list w języku hebrajskim. Okazał się listem rabina jesziwy z Radunia, Menachema Mendela Josefa Zaksa, który polecał w nim swojego ucznia. Na strychu w Biłgoraju znaleziono z kolei kafle z nadpalonych żydowskich domów – zabrane i ponownie złożone rękami robotników przymusowych, by ogrzewać budynek miejscowej jednostki Gestapo. W Bobowej w prywatnych rękach zachowała się haftowana serwetka należąca niegdyś do żydowskiej rodziny. ©

Talerz sederowy z Tykocina

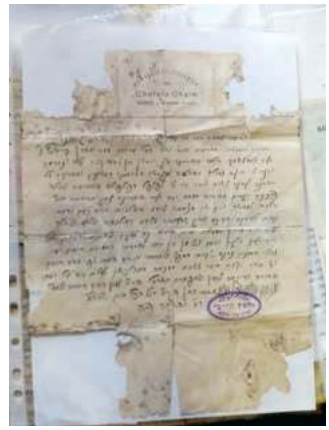

List rabina jesziwy z Radunia

Kafle z żydowskich domów z Biłgoraja

Te i inne przedmioty można obejrzeć na platformie przechowane.org. To platforma crowdsourcingowa, zbudowana przez grupę naukowczyń

z Uniwersytetu Humboldtów wspólnie z Muzeum POLIN. Chcemy ją współtworzyć z tymi, którzy wciąż przechowują w swoich domach bądź przypadkowo odnaleźli przedmioty związane z przedwojennym żydowskim życiem. Interesuje nas każdy, nawet niepozorny lub zniszczony przedmiot, który pozwoli wyobrazić sobie życie codzienne w przedwojennym żydowskim domu.

Najzwyklejsze przedmioty mogą mieć niezwykłą historię. Zachęcamy, by zrobić im zdjęcie, krótko opisać i przesłać nam za pomocą platformy przechowane.org. Dla chętnych istnieje możliwość skontaktowania się z zespołem badawczym. Postaramy się odpowiedzieć na pytania na temat sfotografowanych obiektów, pomóc odczytać inskrypcje lub wyjaśnić funkcję danego obiektu. Fotografie i opisy przedmiotów można dodawać na platformie anonimowo.

Dzięki Państwa pomocy, i we współpracy z Nomadycznym Archiwum Sztetla, powstanie wędrująca wystawa fotografii, dokumentująca żydowskie życie codzienne w przedwojennych miastach i miasteczkach. ©

PRZECHOWANE.ORG

MATERIAŁ PARTNERA

przechowane.org

Projekt powstał przy współpracy Uniwersytetu Humboldtów i Muzeum POLIN ze wsparciem Unii Europejskiej

Funded by the European Union

eprasa.pl c7a4904b88

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

Vlad Plahotniuc (w środku) wraca z Grecji do Mołdawii w kajdankach. Lotnisko w Kiszyniowie, 25 września 2025 r.

Ostatni spektakl „lalkarza"

KAMIL CAŁUS

MOŁDAWIA | Sąd w Kiszyniowie skazał oligarchę Vlada Plahotniuca na 19 lat więzienia. W przeszłości kontrolował on cały aparat państwa: rząd, posłów i sądy. To wyrok bezprecedensowy dla całego regionu.

Jest ranek 25 marca, gdy zaczyna się ostatnia rozprawa w najgłośniejszym procesie w 35-letniej historii niepodległej Mołdawii. Oskarżony 60-latek jest zaskakująco śniady jak na ponad pół roku, które spędził w Zakładzie Penitencjarnym nr 13 – zrujnowanym zamku, zamienionym na więzienie. Jak na grożące mu 25 lat, czego żądają prokuratorzy, jest też zaskakująco spokojny. Jego oczy, jak zwykle, nie zdradzają emocji.

Główny zarzut: kierowanie organizacją przestępczą, która w 2014 r. wyprowadziła z systemu bankowego miliard dolarów – sumę równą połowie ówczesnych rocznych wydatków budżetowych.

Oskarżony ustawia dwie tablice magnetyczne, rozkłada notatki, nonszalanckim gestem zakłada okulary. Przez kolejnych sześć godzin, posługując się tabelami, przekonuje sędziów, że oskarżenia są bezzasadne. „Przecież to już tortura" – słychać z sali, gdy po całym wywodzie prosi on jeszcze o ostatnie słowo. To jest krótkie: „Jestem niewinny."

Tak kończy się ostatni spektakl Vlada Plahotniuca, zwanego *păpușor*, po rumuńsku „lalkarz". Na ogłoszenie wyroku, które ma miejsce cztery tygodnie później, nie stawia się. Odmawia opuszczenia „Zamku". Werdykt, choć niższy, niż chciała prokuratura, trudno uznać za symboliczny: 19 lat (i zwrot do skarbu państwa równowartości 63 mln dolarów) to niemal dożywocie. Ale wielu uzna go za zbyt łagodny.

TEATR VLADA | Aby zrozumieć wagę tego wyroku, trzeba uświadomić sobie pozycję, jaką miał Plahotniuc. Przed 2019 r. był najbogatszy w Mołdawii i choć powszechnie zwano go oligarchą, trafniejsze jest określenie: hegemon. Oligarchat zakłada pewien pluralizm. Plahotniuc nie miał nikogo, kto byłby mu równy. W latach 2015-19, jako lider rządzącej Partii Demokratycznej, kontrolował państwo: miał większość parlamentarną, rząd i wszystkie instytucje – choć nie pełnił żadnej funkcji państwowej.

Perłą w jego koronie był wymiar sprawiedliwości. Kontrola nad sądami, prokuraturą i policją gwarantowała mu nietykalność. Oraz umożliwiała dyscyplinowanie, szantażowanie i eliminowanie (przez skazywanie na wieloletnie więzienie, dzięki spreparowanym dowodom) swoich przeciwników politycznych i biznesowych.

Posłuszny był mu też Sąd Konstytucyjny. Potrafił wydawać kuriozalne orzeczenia, np. w 2016 r. uznał wprowadzone do ustawy zasadniczej 16 lat wcześniej poprawki za niezgodne z konstytucją. W ten sposób w kilka dni zmieniono – na potrzeby Plahotniuca – sposób wyboru prezydenta (z pośredniego przez parlament na głosowanie powszechne).

ZEMSTA SYSTEMU | Dumitru Alaiba dobrze pamięta, jak działał ten system. Alaiba to dziś jedna z czołowych postaci stworzonego przez prezydent Sandu prozachodniego obozu Partii Działania i Solidarności (PAS), który przejął władzę w 2021 r. Do zeszłego roku piastował on stanowisko wicepremiera i ministra gospodarki. Dziś pracuje w Banku Narodowym. Za czasów „zawłaszczonego państwa", jak zwano rządy Plahotniuca, był on aktywistą obywatelskim walczącym z oligarchą.

Alaiba wspomina dziś w rozmowie: – W maju 2018 r. opublikowałem za granicą artykuł z retorycznym pytaniem w tytule: „Czy oligarcha może w ogóle zbudować demokrację w Mołdawii?". Dwie godziny później w biurze moich rodziców zjawili się zamaskowani funkcjonariusze. Ojciec i wujek zostali aresztowani i wtrąceni do więzienia na trzy dni. Czas ten później wielokrotnie przedłużano, a następnie objęto ich aresztem domowym. Wszystko to trwało pół roku. Było jasne, że to zemsta za mnie.

eprasa.pl c7a4904b88

60-letni wówczas ojciec Dumitru podupadł na zdrowiu. W międzyczasie jego kontrahenci zerwali z nim współpracę, a jego firma stanęła na krawędzi bankructwa. – Nasza rodzina i tak miała szczęście, w porównaniu z innymi – dodaje Alaiba. – Jest wiele żyć, wiele rodzin i firm, które zniszczono w tamtym okresie, by uciszyć głosy opozycji.

LUDZIE SYSTEMU | Historia „lalkarza" sięga głębiej w przeszłość. Przydomek przylgnął do niego jeszcze w 2011 r., a pierwszych dużych pieniędzy i wpływów dorabiał się już w latach 90. XX w.

Ponieważ w pozbawionym surowców i wielkich zakładów kraju nie mógł – jak oligarchowie na obszarze posowieckim – zagarniać majątku państwa, skorzystał z dostępnego na miejscu zasobu: ludzi. Tak w każdym razie uważają jego krytycy i znaczna część społeczeństwa (tych konkretnych zarzutów, o handel ludźmi, dotąd mu bowiem nie udowodniono, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę jego wieloletnią kontrolę nad sądami i policją).

O tej pełnej przemocy i ludzkiego cierpienia „karierze" opowiada wyprodukowany w 2025 r. mołdawsko-rumuński serial „Plaha" (tytułem nawiązuje do pseudonimu oligarchy). Emitowany przez Jurnal TV, gromadził przed ekranami nawet jedną piątą Mołdawian (od stycznia dostępny jest w Mołdawii i Rumunii w serwisie Netflix).

Bohater zaczyna od handlu dziećmi, sprzedawanymi rodzinom z Zachodu, i wysyłania młodych kobiet do domów publicznych w Europie. Dostarcza też wpływowym gościom swego kiszyniowskiego hotelu „damy do towarzystwa", a następnie nagrywa ich ukrytymi kamerami, gromadząc archiwum kompromatów (ułatwiają potem negocjacje).

Podporządkowuje też kolejnych polityków: jednych szantażuje lub wtrąca do „Zamku", innym oferuje wsparcie finansowe na wybory. Wreszcie przejmuje cały aparat państwa. Na koniec serialu kradnie z banków miliard dolarów. Pomaga mu w tym biznesman Șoric – nazwisko nawiązuje do Ilana Șora, autora mechanizmu wyprowadzenia środków.

UPADEK „LALKARZA" | Jego czas skończył się w czerwcu 2019 r., a to dzięki egzotycznemu sojuszowi. Po lutowych wyborach Plahotniuc, którego partia nie zdobyła samodzielnej większości, szykował koalicję z Igorem Dodonem, liderem prorosyjskiej Partii Socjalistów. Ale, ku jego zaskoczeniu, plan upadł.

Hegemon zaszedł bowiem w końcu za skórę trzem aktorom: Brukseli, Waszyngtonowi i Moskwie. Unia i USA, na co dzień w konflikcie z Rosją, tu się porozumiały. Kreml zakazał Dodonowi współpracy z „Plahą", a Zachód przekonał siły proeuropejskie (jedną z ich liderek była Maia Sandu, dziś prezydentka) do taktycznego sojuszu ze znienawidzonymi socjalistami.

Plan się powiódł. Plahotniuc uciekł z kraju, a aparat państwa zaczęto z mozołem (bo taktyczna koalicja szybko się rozpadła i władzę na krótko przejęli socjaliści wraz z politycznymi sierotami po „lalkarzu") demontować.

Przez sześć lat Plahotniuc ukrywał się w USA, Turcji, na Cyprze Północnym i w Dubaju. W lipcu 2025 r. grecka policja zatrzymała go na lotnisku w Atenach. Przy nim i w wynajętej willi znaleziono 17 fałszywych dowodów tożsamości na różne nazwiska (w tym rumuńskie, ukraińskie, bułgarskie, rosyjskie, irackie). We wrześniu Grecja wydała go Mołdawii.

PRECEDENS | Skazanie Plahotniuca ma ogromne znaczenie dla rządzącego Mołdawią obozu prozachodniego. Dziś PAS kojarzy się głównie z integracją europejską. To pod jej rządami Mołdawia w 2022 r. uzyskała status kandydata do UE, a w 2024 r. zaczęła negocjacje akcesyjne, których koniec planuje na 2028 r. Ale PAS doszła do władzy przede wszystkim na hasłach antyoligarchicznych i obietnicy naprawy wymiaru sprawiedliwości.

Reforma ta okazała się jednak niełatwa. Demontaż „systemu" jest żmudny. Sama lustracja sędziów i prokuratorów oraz wymiana kierownictwa ich samorządów zawodowych zajęła kilka lat. Brakuje też nowych kadr. Wszystko to rodzi wśród wyborców frustrację, poczucie rozczarowania, a nawet podejrzenia o korupcję wewnątrz samego PAS.

Wyrok na Plahotniuca, choć zapadł dopiero w pierwszej instancji, to namacalny dowód, że reforma, choć powolna, przynosi realne zmiany. Świadczy o tym nie tylko sam werdykt, ale też tempo postępowania: od ekstradycji minęło zaledwie siedem miesięcy. Sąd zwoływał po dwie-trzy rozprawy tygodniowo. Tak efektywnego procesu Mołdawia jeszcze nie oglądała.

EGZAMIN | Dumitru Alaiba uważa, że to najbardziej wyczekiwany wyrok skazujący od czasu uzyskania przez Mołdawię niepodległości: – Nasze społeczeństwo, które nie ma w ogóle zaufania do wymiaru sprawiedliwości, spodziewało się, że zostanie on uniewinniony albo dostanie symboliczną karę. Tymczasem wygląda na to, że nasz system zdał ten egzamin.

Co więcej, Plahotniuc stał się też pierwszą z ikon epoki „zawłaszczonego państwa", którą nie tylko udało się skazać, ale też faktycznie zamknąć w więzieniu. Inni przedstawiciele *ancien regime*'u, nawet jeśli wydano w ich sprawie wyrok, dotychczas pozostają poza zasięgiem mołdawskiego wymiaru sprawiedliwości.

Wspomniany już Ilan Șor, skazany ostatecznie w 2023 r. na 15 lat więzienia, mieszka spokojnie w Moskwie i pomaga Kremlowi w destabilizowaniu Mołdawii. Veaceslav Platon, inny milioner zaangażowany w aferę bankową, w marcu 2025 r. został wprawdzie zatrzymany w Wielkiej Brytanii, ale wypuszczono go za kaucją; ekstradycja stoi w miejscu.

MNÓSTWO PRACY | Sprawa Plahotniuca nie jest jeszcze zamknięta. Obrona chce apelować i deklaruje, że zaskarży wyrok do Strasburga. Ale trudno sobie wyobrazić, by „Plaha" się jakoś wykaraskał – czekają go jeszcze co najmniej cztery kolejne procesy.

Jedno jest więc pewne: Plahotniuc przechodzi do historii. Ale choć jego skazanie budzi zrozumiałą satysfakcję społeczeństwa i władz Mołdawii, nie jest to koniec drogi reform. Przeciwnie, to jej początek.

Gdy pytam dziś Dumitru, czy czuje radość z wyroku, ten tylko kręci głową: – Nie. Tak naprawdę przestałem przejmować się jego losem, gdy uciekł z kraju. Wtedy postanowiłem zostawić ściganie go tym, którzy mają to w zakresie obowiązków, a samemu skupić się na tym, o co naprawdę chodzi: na budowaniu lepszego kraju. A tu pracy wciąż jest mnóstwo. ©

Kamil Całus jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, autorem książki „Mołdawia. Państwo niekonieczne".

eprasa.pl c7a4904b88

Wszystko jest transakcją

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

USA | Plotki, wojna, a nawet spekulacja, czy dojdzie do ludobójstwa, trafiają na tablicę notowań. Jak wygląda monetyzacja rzeczywistości w świecie Trumpa? Weźmy pod lupę rynki predykcyjne.

Cóż, niestety cały świat stał się swego rodzaju kasynem – stwierdził Donald Trump, gdy dziennikarze dopytywali go o ryzyko wykorzystania poufnych informacji przez pracowników federalnych na tzw. rynkach predykcyjnych. Chodzi o zakłady hazardowe, których uczestnicy mogą obstawiać także prawdopodobieństwo wydarzeń ze sfery polityki.

Kilka godzin później rzecz wyszła poza sferę spekulacji. Żołnierzowi sił specjalnych postawiono zarzut wykorzystania tajnych informacji dla osobistych korzyści. Wiedział o planowanej operacji pojmania prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro, bo uczestniczył w jej przygotowaniu. Obstawił wynik i zarobił na tym ponad 400 tys. dolarów.

Trump podkreślał potem, że nie akceptuje tego, gdy dostęp do informacji rządowych przekuwany jest w prywatny zysk. Tyle że to właśnie jego polityka stworzyła warunki dla rozwoju branży takich zakładów, a jego rodzina na tym korzysta. I jest to zaledwie wierzchołek problemu.

OBLICZA HAZARDU | Na rynkach predykcyjnych można obstawiać – czytaj: monetyzować – i wyniki sportowe, i datę zamążpójścia Taylor Swift, a nawet to, czy Rosjanie zdobędą jakąś wieś w Ukrainie. Starczy obstawić „tak" lub „nie". Użytkownicy wygrywają pieniądze od innych uczestników zakładu, a platforma pobiera niewielką prowizję. Im więcej osób się pomyli, tym więcej zarobią ci, którzy trafili.

To hazard. Ale nie dla twórców platform. Według nich to nie jest uzależniające kasyno online – choć każdy, kto założy tam konto, może być pewien zalewu maili o fascynujących wydarzeniach, które koniecznie musi obstawić. Twórcy tego rynku i jego zwolennicy twierdzą, że chodzi o „mądrość ludu", dzięki której świat dostaje narzędzie analityczne, lepsze od ekspertów i sondaży, o „stronniczych mediach" nie wspominając.

SPOSÓB NA ZYSK | Dla tych, którzy mają dostęp do poufnych informacji – jak sierżant sztabowy Gannon Ken Van Dyke, który w Dowództwie Operacji Specjalnych planował operację w Caracas – platformy predykcyjne to okazja na zysk. Sierżant nie był jedynym, który się połasił.

27 lutego, na dzień przed atakiem USA i Izraela na Iran, ponad 150 anonimowych kont zawarło na platformie Polymarket wysokie zakłady, przewidując trafnie moment rozpoczęcia nalotów. Agencja Associated Press podała, że 7 kwietnia, wkrótce po tym, jak Trump ostrzegł w mediach społecznościowych, że „cała cywilizacja zginie tej nocy", jeśli Iran nie otworzy cieśniny Ormuz, na Polymarket pojawiły się konta, które „zawarły precyzyjne i idealnie dobrane w czasie zakłady dotyczące tego, że USA i Iran osiągną zawieszenie broni". Przyniosło to ich posiadaczom setki tysięcy dolarów.

Jaki był komentarz Polymarket? „Dokładne, obiektywne prognozy" o wydarzeniach na Bliskim Wschodzie są „szczególnie bezcenne w tak trudnych czasach, jak obecnie".

NOWE OBYCZAJE | Władze USA od lat ścierały się z takimi firmami. W 2022 r. Polymarket ukarano grzywną 1,4 mln dolarów za oferowanie niezarejestrowanych instrumentów finansowych i firma musiała wycofać się z rynku w USA. Problemy miała też jej rywalka, firma Kalshi, która – poddając się nadzorowi finansowemu – mogła oferować zakłady tylko na te zdarzenia, które regulator uznał za mające wartość gospodarczą lub informacyjną.

Wszystko zmieniło się w 2024 r., gdy Kalshi wygrała batalię sądową z Komisją Handlu Kontraktami Terminowymi na Towary (CFTC) o prawo do oferowania kontraktów na zdarzenia polityczne. Choć sprawa miała trafić do sądu apelacyjnego, nadało to impetu całemu rynkowi.

W tym samym czasie Donald Trump, kandydujący w wyborach, zaczął publikować kursy zakładów na swojej platformie Truth Social, a Elon Musk, wówczas jego sojusznik, obstawiał je na platformie X. Już wtedy budziło to kontrowersje. Pojawiały się pytania, czy takie zakłady mogą wpływać na kampanię i na decyzje wyborców przy urnach.

CIEŃ RODZINY | Wkrótce po objęciu urzędu Trump mianował nowego szefa CFTC, a ten wycofał apelację przeciw Kalshi. Choć niektóre stany próbują blokować działalność takich platform, Biały Dom stanął po ich stronie. W kwietniu administracja Trumpa pozwała stany Illinois, Connecticut i Arizonę, argumentując, że podmioty rynku predykcyjnego podlegają tylko jurysdykcji federalnej, a stany nie mogą im zakazywać działalności, powołując się na prawo hazardowe.

Efekt? W styczniu 2024 r. miesięczna wartość obrotów na Polymarket wynosiła 54 mln, w lipcu 2024 r. już 400 mln, a obecnie obroty sięgają co najmniej 200 mln dolarów dziennie. Rekord padł 28 lutego, gdy Polymarket osiągnął 425 mln, głównie dzięki zakładom związanym z atakiem na Iran.

„Nie ma przesłanek świadczących o tym, że syn prezydenta, Donald Trump Jr., zamierzał wpływać na stanowisko ojca w sprawie rynków predykcyjnych" – pisał „New York Times" pod koniec kwietnia. Dyskutowano wtedy ponadpartyjny projekt ustawy zakazującej urzędnikom publicznym wykorzystania niejawnych informacji do zawierania zakładów. Nie było jednak nawet jasne, czy Kongres się nim zajmie.

„Nie ma dziś ani jednej ważnej sprawy, przy której nie odczuwałabym cienia Trumpa i jego synów" – mówiła senator Elissa Slotkin z Michigan, inicjatorka ustawy z Partii Demokratycznej.

BIZNES JUNIORA | Donald Trump Jr. jest powiązany z dwiema z największymi

eprasa.pl c7a4904b88

ELIZABETH FRANTZ / REUTERS / FORUM

Prezydent Donald Trump z synem Donaldem Jr. i jego partnerką Bettiną Anderson (z prawej) na lotnisku Palm Beach na Florydzie, 27 marca 2026 r.

spółkami rynków predykcyjnych. Jest doradcą Kalshi (w zakresie marketingu), a w Polymarket zainwestował fundusz venture capital, w którym jest on partnerem (w tej firmie Junior oficjalnie pełni funkcję nieodpłatnego doradcy).

Jednocześnie już w 2025 r. należąca do prezydenta spółka Trump Media & Technology Group zaprezentowała własną platformę predykcyjną Truth Predict, opartą na kryptowalutach. Ma umożliwiać użytkownikom zawieranie kontraktów predykcyjnych „związanych z ważnymi wydarzeniami i kamieniami milowymi, takimi jak wybory polityczne, zmiany stóp procentowych i inflacji".

Produkt nie został jeszcze uruchomiony, a rzeczniczka spółki zapewnia, że syn prezydenta nie uczestniczył w decyzji o jego stworzeniu. Z kolei rzecznik Trumpa Juniora oświadczył, że nie zawierał on zakładów na tych platformach ani nie kontaktował się z rządem federalnym w ich imieniu.

Nie tylko rodzina Trumpów widzi w tym biznes. Intercontinental Exchange, właściciel Nowojorskiej Giełdy, zapowiedział inwestycję w wysokości 2 mld dolarów w Polymarket i zachęcanie inwestorów do podobnych kroków. Bank Goldman Sachs powoływał się w swoich newsletterach na kursy Polymarket dotyczące konfliktu USA-Iran. Nasdaq chce zatwierdzić zakłady typu „tak/nie" powiązane z jego indeksem opcji binarnych.

JAK TO DZIAŁA | 26 grudnia prezydent Wołodymyr Zełenski poinformował, że spotka się z Trumpem przed Nowym Rokiem. Pięciu nowych użytkowników Polymarketu zarobiło 154 tys. dolarów, obstawiając, że do tego spotkania dojdzie, choć nic wcześniej go nie zapowiadało. Założyli konta dzień wcześniej.

W listopadzie zakład o to, czy Rosjanie zajmą ukraińskie miasto Myrnohrad, doprowadził do skandalu w renomowanym amerykańskim Instytucie Badań nad Wojną. O rozstrzygnięciu miała decydować mapa generowana przez ten think tank. Jeden z analityków ją zmienił. Chwilę później aktualizacja zniknęła. Ktoś jednak zdążył zgarnąć prawie 10 tys. dolarów.

Także w listopadzie, tuż przed ogłoszeniem Pokojowej Nagrody Nobla, pojawiło się osiem kont, które obstawiły, że dostanie ją María Corina Machado Parisca (161 tys. dolarów zysku). Instytut Noblowski wszczął dochodzenie.

Dochodzenie prowadzi też armia Izraela po tym, jak ktoś obstawił sześć zakładów związanych z jej operacjami. Wygrał minimum 150 tys. dolarów. Trop prowadzi do kibucu na północy Izraela.

WIELKIE SZCZĘŚCIE | „Nie chodzi o to, że ludzie wystarczająco głupi, by się zakładać, tracą pieniądze. Prawdziwe straty mogą powodować urzędnicy, którzy pod wpływem zakładu podejmują decyzję, której w innym przypadku by nie podjęli" – mówił brytyjskiemu dziennikowi „The Guardian" Richard Painter, prawnik Białego Domu ds. etyki za George'a W. Busha.

Painter wskazuje na taki scenariusz: „Jeśli wiesz, że za tydzień zbombardujemy Iran, i zaczynasz się o to zakładać, to rynek predykcyjny powie Irańczykom, że zaraz zostaną zbombardowani".

Tak się składa, że coraz więcej kont na rynkach predykcyjnych ma albo nieprzyzwoite szczęście, albo wiedzę, która sprawia, że zakład przestaje być zakładem. Według danych firmy analitycznej DeFi Oasis, zaledwie 0,04 proc. wszystkich kont na platformie Polymarket zgarnęło 70 proc. wszystkich zysków. Łącznie: 3,7 mld dolarów.

KROK DALEJ | „To najdokładniejsze informacje, jakimi dysponujemy obecnie jako ludzkość" – mówił w telewizji dyrektor Polymarket, 28-letni Shayne Coplan. W 2025 r. został najmłodszym miliarderem na świecie, który majątku nie odziedziczył. Według niego Polymarket to nowe alternatywne źródło prawdy. Tarek Mansour, założycieli Kalshi, twierdzi z kolei, że jego celem jest „monetyzacja wszystkiego". Dla niego każdą opinię i decyzję można zamienić w transakcję.

Starczy jednak rzucić okiem na zakłady, które pojawiają się na ich platformach. W znakomitej większości to czyste spekulacje. Ta „mądrość ludu" wyjątkowo często przypomina brednie wypisywane w mediach społecznościowych. Jeśli jest się dostatecznie cwanym i ma się dostęp do ważnych informacji, można na tym jednak świetnie zarobić.

Podczas swej pierwszej kadencji Trump zabrał nas do świata postprawdy, za sprawą mediów społecznościowych. Teraz idziemy krok dalej. I właśnie to – a nie, ile zgarną on i jego rodzina – oznacza monetyzacja jego drugiej kadencji. ©

eprasa.pl c7a4904b88

WIARA

KAZANIE CZY ŚNIADANIE

Laicyzacja może być szansą.
Ludzie, którzy odchodzą z Kościoła,
mogą do niego wrócić i nauczyć go czegoś nowego.

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

W znakomitej książce „Chrześcijaństwo. Triumf religii" Peter Heather próbuje odpowiedzieć na dwa pytania: co sprawiło, że tak znaczna część mieszkańców Europy przyjęła niegdyś chrześcijańską tożsamość i cóż takiego się wydarzyło, że teraz Europa doświadcza głębokiej dechrystianizacji? Autor twierdzi, że nie ma decydującej przyczyny tych zmian. Niemniej, jedna jest szczególnie uderzająca: chrześcijaństwo, pomimo nielicznych wyjątków, nie rozszerzało się w Europie, a wcześniej na terenie Cesarstwa Rzymskiego, przez ewangelizację i osobiste nawrócenie. Jego przyjęcie, często tylko zewnętrzne, było wymuszane przez aktualnie panującą władzę (poddani musieli być chrześcijanami), przez stosunki społeczno-ekonomiczne (kto chciał zachować lub zdobyć pracę, musiał przyjąć chrzest) albo też nieraz przez czysty przypadek.

Z wyboru czy przyzwyczajenia

Trudno kogokolwiek za to winić. Po prostu inaczej być nie mogło. Taki modus przez wieki doprowadził do tego, że można być chrześcijaninem bez nawrócenia albo przyjmować chrzest bez wiary (czego Jezus nie zakładał, uznając wiarę za konieczną do zbawienia; por. Mk 16, 16-17). Żyjemy więc w przełomowym momencie dziejów Kościoła, ponieważ, paradoksalnie, współczesne demokracje umożliwiają w końcu bardziej świadomy wybór Jezusa i Ewangelii. Chociaż „skutkiem ubocznym" tego procesu będzie radykalne zmniejszenie liczby chrześcijan – tych autentycznych, którzy nie będą nimi już tylko z nazwy.

„Pocieszamy się, że jeszcze dużo ludzi przychodzi do kościoła, ale tak naprawdę za mało wychodzimy do tych, którzy się od niego oddalili" – mówił abp Tadeusz Wojda, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, w niedawnym wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego". Trzeba przyznać, że jest to troska każdego z posoborowych papieży. Tyle że wciąż nie do końca wiemy, jak to robić. Tradycyjne sposoby i doświadczenia już nie wystarczają. Dlaczego?

Kard. Grzegorz Ryś odprawia mszę na zakończenie sezonu narciarskiego, Kasprowy Wierch, 25 kwietnia 2026 r.

PIOTR TUMIDAJSKI / FORUM

Znużeni wiarą

Znajoma siostra służebniczka opowiadała mi o swojej dwunastoletniej pracy we Francji. Zlecono jej katechumenat młodych. Pewnego razu przyszła do parafii młoda kobieta, która nie miała zielonego pojęcia o chrześcijaństwie. Jak tam trafiła? Idąc ulicą podniosła z ziemi zmiętą ulotkę. Była na niej modlitwa „Ojcze nasz". Nigdy o niej nie słyszała, ale spodobało jej się, że jest jakiś Ojciec, który daje codzienny chleb. Spytała w pracy koleżankę. Ta odpowiedziała: „To modlitwa chrześcijan". „Gdzie ich mogę znaleźć?". „Mogę cię zaprowadzić – jestem chrześcijanką" – odparła znajoma.

Nie jest to obrazek typowy dla Polski. Takich osób jest u nas bardzo mało. W Polsce większość ludzi wie, czym jest „Ojcze nasz". I na tym polega problem. Jak dotrzeć do tych, których chrześcijaństwo już „nie rusza" albo zostali w nim zranieni lub zawiedzeni?

Zostawiam na boku kwestię przyczyn odejścia ludzi z Kościoła – ten temat wielokrotnie był poruszany, mamy do dyspozycji kilka porządnych badań. Ale jeśli wnikliwie zaczniemy czytać ewangeliczne opowieści, znajdziemy w nich modelowy sposób „wyjścia" do tych, którzy odeszli.

Spójrzmy np. na spotkania Zmartwychwstałego z uczniami. Jezus jest w nich taki sam jak za życia ziemskiego. Wszystkim uczniom objawia się na sposób ludzki – słucha ich, nie potępia, dostosowuje się do ich aktualnej trudności, wchodzi w ich doświadczenie zagubienia, smutku, zawodu, wątpliwości. Często podchodzi indywidualnie do każdego ucznia.

Osoby, które dziś odeszły z Kościoła, zwykle nie odrzuciły Ewangelii z premedytacją, z wygody albo cynizmu. Większość z nich przypomina raczej tamtych uczniów, którzy zwątpili. Nie wiem, czy można do nich trafić poprzez „stadionową ewangelizację". Innymi słowy – jeśli mamy dziś do nich mówić, to nie przyciągniemy ich, używając tego samego co zawsze języka religijnego. Najpierw musimy wziąć w nawias całą religijną nomenklaturę i zrobić wszystko, by ci, którzy odeszli, bo zostali zranieni, zawiedzeni, niezrozumiani, wykluczeni – ujrzeli w nas ludzi. Na tym etapie nie musimy nawet mówić o Bogu.

Nie da się tego zrobić w ramach instytucjonalnych możliwości Kościoła, który zresztą zwykle źle im się kojarzy. Ale mogą to zrobić wszyscy, którzy są członkami Ciała Chrystusa i wszędzie, gdziekolwiek się znajdują.

Na nasze podobieństwo

Pamiętamy z opowieści Ewangelii, że Tomasz na pewien czas odłączył się od uczniów. Naznaczyliśmy go nieuczciwą łatką „niedowiarka". A on zmagał się z wątpliwościami. Nie potrafił uwierzyć innym. Chciał sam dotknąć Jezusa. Ten wychodzi naprzeciw jego pragnieniom. Zaprasza go, by dotknął jego ran i boku. Czy Tomasz to zrobił? Nie wiemy. Moim zdaniem nie. Bo gdy usłyszał od Jezusa, że może Go dotknąć, dotarło do niego, że to musi być ten sam Jezus, co dawniej. Przecież za życia ziemskiego Jezus pozwoliłby mu i na wątpliwości, i na pytania, i na dotknięcie Go.

Spotkałem niedawno 22-letniego Piotra. Dużo rozmawialiśmy. Pochodzi z ultrareligijnej rodziny. Skończył katolicką szkołę. Dziś uznaje się za ateistę, chociaż jest zafascynowany religią. Słuchałem go przez kilka godzin. Zadawał trudne pytania, na wiele nie znałem odpowiedzi. Ale zorientowałem się, że jedną z przyczyn jego deklarowanego ateizmu jest to, że ani w domu, ani w szkole nie pozwalano mu na wypowiedzenie tego, co czuje i myśli. Część jego dylematów wynikała z wykoślawionych interpretacji Pisma Świętego, zasłyszanych na katechezie i w domu. Na przykład, że do Boga dociera się przez cierpienie. Albo: jeśli nie będziesz robił tego, co ci Bóg każe, pójdziesz do piekła. Nie chciał mieć do czynienia z takim Bogiem. Ja też – powiedziałem mu. Bo to Bóg stworzony przez ludzi.

Tomasz jest dla mnie również patronem wszystkich tych osób, które zdystansowały się od Kościoła z powodu podejrzliwości czy wrogości jego ludzi do współczesnej nauki. O tym właśnie często mówią młodzi, dziś dużo bardziej wykształceni niż dawniej. Widzą, jak wiele w nauczaniu Kościoła rozjeżdża się z odkryciami naukowymi. Bo nie da się na dłuższą metę zbywać tych pytań ogólnikowymi frazesami.

Skoro mowa o wątpliwościach, podzielę się jedną z nich. Jan Paweł II w encyklice „Redemptoris missio" pisze, że są w Kościele tacy chrześcijanie „starej daty", którzy poznali Chrystusa, przyjęli, a potem odrzucili, „żyjąc nadal w kulturze, która wchłonęła w znacznej części zasady ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ i wartości ewangeliczne" (37). Nie jestem jednak pewien, czy ten Chrystus, którego oni poznali i odrzucili, był prawdziwym Chrystusem. My tylko zakładamy, że głosiliśmy w Kościele zawsze czystą, nieskażoną niczym Ewangelię. Nawet gdyby tak było, i tak nie wszyscy musieliby przyjąć Chrystusa. Bo ludzie buntują się nie tylko przeciwko „Bogu", który jest tyranem, przemocowcem, projekcją naszych doświadczeń. Można buntować się przeciw Bogu, który jest dla nas darem i bezinteresowną miłością.

Ewangelia przy stole

Czego by nie powiedzieć o Zygmuncie Freudzie, trzeba przyznać, że kilku jego odkryć i intuicji nie da się pominąć milczeniem. Choćby tego, co pierwotnie psychoanaliza nazywała „superego". Jako uwewnętrzniony rodzic czy inny autorytet reguluje ono nasze zachowanie. Również w Kościele zastosowaliśmy reguły, którymi kieruje się religijność naturalna i porządek społeczny tego świata (zupełnie bezwiednie, może po prostu dlatego, że świetnie się sprawdzają). W religijności naturalnej Bóg ma być taki jak my, czyli należy się go bać, jak Adam i Ewa ukryci przed nim w krzakach.

Strach jest najsilniejszym motywatorem człowieka. W końcu nasz archaiczny mózg – jak powiada neurodydaktyk prof. Marek Kaczmarzyk – reaguje najpierw na zagrożenia i niebezpieczeństwa. Przez całe wieki ludzi nie wprowadzano do Kościoła przez prawdziwą ewangelizację (i dalej – przez stałą formację), tylko przy pomocy różnych środków przymusu (niekoniecznie fizycznego).

Przez całe wieki ludzi nie wprowadzano do Kościoła przez prawdziwą ewangelizację, tylko przy pomocy różnych środków przymusu.

Parafrazując Freuda można powiedzieć, że głosiliśmy często nie tyle Boga Jezusa Chrystusa, co nasze superego: „Boga" stworzonego na nasz obraz i podobieństwo. Superego zasadniczo oddziałuje na emocje, nie na rozum, budzi poczucie winy, ale i strach przed utratą miłości rodzica, przed karą, „nieobliczalnością" Boga. Nic bardziej nie nadaje się do motywowania ludzi, by postępowali „dobrze", żyli według Dekalogu i chodzili do kościoła, jak strach przed Bogiem, przymus i manipulacja.

Dziś ten mechanizm się rozpada. Zewnętrzna motywacja wiary osłabła. A wewnętrznej często po prostu nie ma. Wypadałoby więc wprowadzić tę wiedzę do formacji już w seminarium i oczyszczać, na ile to możliwe, nasze głoszenie od wpływów wewnętrznego krytyka i czysto ludzkiego wyobrażenia Boga.

Inny młody człowiek, Michał, opowiadał mi, że przestał chodzić do kościoła zaraz po przyjęciu bierzmowania. W czasie przygotowania do tego sakramentu niemal na okrągło słyszał, jaki jest zły, grzeszny i niegodny. Miał tego po dziurki w nosie. Dopiero po kilku latach – gdy przekonał się, że jest w nim coś więcej niż tylko grzech – zaczął znów uczestniczyć w mszy.

Piękny opis spotkania Jezusa z uczniami, którzy wybrali się łowić ryby, znajdziemy pod koniec Ewangelii według św. Jana. Jezus ukazuje im się nad ranem, jak rodzic, który przygotowuje śniadanie. Czy może być coś bardziej ludzkiego, codziennego i prostszego niż ten gest? Nie beszta uczniów za to, że wrócili do starego fachu. Z wielką czułością nazywa ich dziećmi. Okazuje im swoją troskę.

Twórcy kursu „Alpha" wychodzą właśnie z tego założenia: rozumieją, że zaufanie, konieczne do przyjęcia Ewangelii, buduje się najpierw przy wspólnocie stołu. Jezus też jadał z celnikami i grzesznikami – właśnie po to, by najpierw zbudować z nimi relację zaufania. Nicią tej relacji było więc jego człowieczeństwo. Dopiero po śniadaniu wypomina Piotrowi trzykrotne wyparcie się go. Ten, kto przygotowuje śniadanie, nie może być do ciebie wrogo nastawiony.

Zgoda na odejście

Joseph Ratzinger w tekście „Boża władza – naszą nadzieją" ciekawie aplikuje przypowieść o miłosiernym ojcu do relacji świeccy-duchowni. Twierdzi, że księża często stają się starszymi braćmi, dla których pozostanie w domu i wierność staje się ciężarem. Ale nie mają odwagi, by ten dom opuścić. Ciężarem dla starszego syna nie jest jednak ojciec (nawet jeśli syn tak uważa), lecz „coś" w nim samym: ten „porządny" syn czuje się niewolnikiem.

W takich sytuacjach ze specyficzną przysługą starszym braciom (księżom)

TP DRODZY CZYTELNICY, NA STRONIE „TYGODNIKA" PRZECZYTACIE:

Maj 1926 Czy zamach był nieuchronny?

Czy wydarzenia z maja 1926 r. to był „tylko" zamach stanu, czy już wojna domowa? Czy Piłsudski, gdy wyruszał z Sulejówka do Warszawy, planował zbrojne przejęcie władzy? I jak wyglądała przemiana Piłsudskiego – od demokraty, dzięki któremu w 1919 r. Sejm wprowadził ośmiogodzinny dzień pracy i prawa wyborcze kobiet, do autokraty, po 1926 r. gotowego wsadzać przeciwników do więzienia? O tym historyk **prof. Andrzej Chwalba** opowiada w wywiadzie, który ukazuje się pod adresem **tyg-pow.pl/zamachmajowy**

ADRIAN GRYCUG / CC BY-SA 3.0 PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c7a4904b88

mogą pośpieszyć młodsi – bracia czy siostry – którzy odeszli, z różnych powodów, ale wrócili. „Doświadczyli oni – pisze Ratzinger – pustyń świata i na nowo odkryli piękno domu". Ich „wiara (...) przy świńskim korycie ziejącym pustką wygłupów rozrywki odkrywa znowu świeżą wodę Słowa Bożego".

Ta uwaga nie odnosi się jedynie do wpływu na księży. Jezus kieruje ją do nas: mamy stawać się takimi, jakim ojciec był wobec obu swoich synów. Nadszedł czas, kiedy musimy pozwolić innym odejść z Kościoła, pozwolić zbuntować się, oddalić. To nieraz jedyny sposób, by zostawić za sobą chrześcijaństwo „starej daty", które już się zużyło. Powiem więcej, to często jedyna droga, by pszenica, która wprawdzie została zasiana w sercu, ale nie wydała żadnego plonu, obumarła. Zgody na to wśród wielu z nas wciąż jeszcze nie ma. Jakbyśmy nie wierzyli, że Bóg działa także tam, gdzie nawet się Go nie spodziewamy. Jest też tam, gdzie gubi się owca.

Być może za bardzo „ukościelniliśmy" Boga, sądząc, że poza strukturami Kościoła nie daje się już rozpoznać ludziom (jak Zmartwychwstały uczniom). Zapominając, że do głębi ich serc można się przebić dopiero po zburzeniu starych murów, pobycie na pustyni i obudzeniu tęsknoty. Prawdą jest, że ci młodsi bracia budzą w nas – ludziach Kościoła – lęk, niepewność i gniew, które w przypowieści reprezentuje brat starszy. Denerwuje nas to, że ktoś tak po prostu odchodzi: nie boi się potępienia ani tego, co ludzie powiedzą. Młodsi bracia wydobywają na światło niedojrzałą, nieewangeliczną motywację wystraszonych starszych braci. Dlatego też działają na nich jak płachta na byka.

Kiedy zrozpaczeni rodzice lub dziadkowie z bólem serca, a często i z płaczem opowiadają w konfesjonale, że ich dzieci albo wnuki nie chodzą już do kościoła i żyją bez ślubu, nawiązuję zwykle do tej przypowieści – o miłosiernym ojcu. Okazuje się, że z różnych powodów trudno im przyjąć postawę miłosiernego ojca. A to jedyna droga, by nawiązać ponownie więź z tymi, którzy odeszli.

© KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

Kobieca cząstka

MARIA MIDUCH, BIBLISTKA:

BIBLIA | Jeśli postacie kobiece czynimy wzorem tylko dla kobiet, odbieramy mężczyznom bogactwo, z którego też mogliby skorzystać.

PAULINA MODEL: Czy są kobiety, których Bóg nie kochał?
MARIA MIDUCH: Skąd ten pomysł?

Zatytułowała Pani swą książkę „Kobiety, które kochał Bóg". Czyli mogą być i takie, których nie kochał.

Raczej chodziło o to, by pokazać, że czasami jedyną osobą, która kochała te biblijne bohaterki, był Bóg. One często nie miały miłości nikogo „z zewnątrz", ale miłość Boża motywowała je do działania.

„Nigdy tak nie było" albo „zawsze tak było". Te dwa zdania są – według Pani – największymi wrogami Ducha Świętego. Co to znaczy?

Gdy to pisałam, patrzyłam na swoje życie i myślałam o odbiorze tego, co robię w Kościele. Kiedy zostałam dyrektorem Salezjańskiego Instytutu Teologicznego, podniosło się wiele głosów, że „nigdy tak nie było, by kobieta była na stanowisku kierowniczym w seminarium". Ale chodzi też po prostu o udział świeckich w życiu Kościoła. Często słyszymy, że „nigdy tak nie było, żeby świecki coś tam robił". Zawsze to był ksiądz proboszcz, wikary, zawsze duchowni. A dlaczego nie świeccy?

W wiekach średnich świeccy mieli dość znaczącą rolę w Kościele.

Dlatego mówienie „nigdy tak nie było" znaczy najczęściej, że nie było tak w naszej parafii.

Prof. Aleksandra Kłos-Skrzypczak badała szklany sufit w odniesieniu do teolożek. Czasami mówi się o witrażowym suficie w Kościele czy w ogóle w religiach: do pewnego momentu kobiety mogą awansować, zrobią magisterkę, czasami doktorat, ale z zatrudnieniem już jest krucho.

To prawda, też to widzę. Ciężko się przebić. I nie chodzi o brak doświadczenia, badań naukowych czy kompetencji. Ale o to, że jeżeli o jedno stanowisko ubiega się ksiądz i kobieta świecka, wiadomo, że dostanie je ksiądz.

Wróćmy do biblijnych kobiet: dlaczego uważa Pani Samarytankę za patronkę teolożek?

Jezus wchodzi w dialog z kobietą, a przecież ta rozmowa z różnych względów nie powinna się odbyć. Mamy mężczyznę i kobietę, którzy się nie znają, więc nie powinni ze sobą rozmawiać. Mamy dwie wrogo nastawione do siebie grupy: Żydów i Samarytan. Mamy mężczyznę z tytułem rabbiego i kobietę z niepoukładanym życiorysem. A jednak ich dialog jest niesamowicie głęboki: Jezus objawia jej bardzo wiele o sobie. Właśnie tej kobiecie. Ona może być wzorem kogoś, kto stawia pytania. I to takie, które z początku brzmią głupio: „No, przecież nie masz czerpaka, jak to się stanie?". Ale te pytania odkrywają głębię, którą Jezus ma do objawienia. Kapitalne! Taka bezpośrednia rozmowa, która wychodzi już u samego początku poza schemat, to dobry wzór dla wszystkich teologów i teolożek. Żeby nie bać się stawiać pytań. I nie bać się odpowiedzi, które nas przekraczają.

Jakie trudne pytania pojawiają się dzisiaj?

Powiedziałabym, że trudne pytania mogą się pojawić w każdej dziedzinie teologii, jeśli wyjdziemy poza to, co już zostało opracowane, zdefiniowane i zawarte w ogólnie przyjętych podręcznikach. Jeśli zaczniemy pytać o zbawienie albo o to, czy piekło jest puste. Jeśli zaczniemy pytać o funkcjonowanie Kościoła. O interpretację Biblii. Wszędzie tam mogą się pojawić problemy, które dla jednych będą nie do przekroczenia, a dla innych będą wyzwaniem.

Myślę, że w polskim środowisku teologicznym nie potrafimy dyskutować. ↦

eprasa.pl c7a4904b88

FINE ART IMAGES / BE&W

Giovanni Agostino da Lodi, Marta i Maria Magdalena, pierwsza połowa XVI w. Museo di Castelvecchio, Werona

Nie umiemy też odpowiadać na pytania. Przypominam sobie dyskusje na zjazdach biblistów polskich czy konferencjach naukowych. Dwóch biblistów, którzy mają różne poglądy, zaczyna dyskutować i nagle wstaje jeden z autorytetów-profesorów i dyskusję kończy. Ale dlaczego? Niechby się pokłócili, niechby się nawet na siebie obrazili! Tylko niech wybrzmią argumenty, niech pobudzi to myślenie słuchaczy.

Nie posuniemy się naprzód w jakiejkolwiek dziedzinie teologii, jeżeli nie zaczniemy dyskutować.

Skąd ta słabość polskiej teologii?

Problem z dyskusją mamy chyba w ogóle w społeczeństwie. Z przedstawianiem argumentów zamiast obrzucania się epitetami. Widzimy to w Kościele, polityce, w wielu miejscach. A przecież dyskusja nie jest po to, by drugą stronę przekonać do swojej racji, tylko żeby powiedzieć, dlaczego ja tak uważam. Skoro o zwykłych rzeczach nie umiemy rozmawiać, to jak nagle mielibyśmy rozmawiać o czymś, co jest wymagające, albo o poglądach mocno już zakorzenionych w naszym społeczeństwie? Takie dyskusje są trudne, dlatego ich unikamy.

Pisze Pani, że kto nigdy nie odczuwa żadnych wątpliwości, ten nie jest uczniem. „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe" – mówił Tomáš Halík.

Wątpliwości są tym, co nas przybliża do Pana Boga. Popatrzmy chociażby na Nikodema, który przychodzi do Jezusa w nocy. Ma wątpliwości i dzięki temu ma możliwość zbliżenia się do Jezusa, słuchania odpowiedzi, które budzą w nim kolejne wątpliwości, a te z kolei znowu posuwają go dalej w poznawaniu prawdy o Bogu. To fenomenalne. Wtedy właśnie szukamy, zadajemy pytania. Boję się teologów, którzy mają odpowiedź na każde pytanie. Boję się takich księży. Życie mnie nauczyło, że odpowiedź Pana Boga może być zupełnie zaskakująca i otwierająca nowe drzwi, których wcześniej nie widzieliśmy.

Może lęk przed trudnymi pytaniami wynika z formacji? Na katechezie w szkole i na kazaniach w kościele możemy usłyszeć, że nie powinno się zadawać pewnych pytań albo czytać pewnych książek, bo to może zachwiać wiarą.

Nie rozumiem ludzi, którzy nie czytają, bo się nie zgadzają z autorem czy z treścią książki. Ja lubię czytać rzeczy, z którymi się nie zgadzam, żeby stawiać sobie pytania.

Judasz, o którym Pani pisze, zarzuca Marii, że olejek, który wylała na Jezusa, można by spieniężyć i wspomóc ubogich. To się nazywa mansplaining. Pani odpowiada: „Nie Judaszu, nie założysz Marii jarzma".

Jest w nas, w Kościele, taki judaszowy duch wkładania jarzma na innych w ich pobożności, w wyrazie miłości do Pana Boga. Myślę, że ta opowieść powinna być przestrogą dla nas wszystkich, byśmy nie szafowali takimi stwierdzeniami, że coś jest złym sposobem oddawania czci Panu Bogu.

Bierze sobie Pani za cel „odlukrowywanie" historii kobiet z kart Ewangelii. Których najchętniej?

Weźmy na przykład historię Marty i Marii. Długo mnie od niej mdliło. Dopiero po jakimś czasie postanowiłam, że sama odkryję, jak to z nią jest. To było duże zaskoczenie. Maria i Marta też w żaden sposób nie mieściły się w schematach, które wtedy obowiązywały kobiety. Podobnie jak ich relacja z Jezusem. Natomiast ich dialogi, które często się spłyca, zawierają naprawdę głęboką teologię. Pokazuje te kobiety w zupełnie innym świetle.

Historia o tej Marii, która obrała lepszą cząstkę, i Marcie, jako tej, która jest pochłonięta przez sprawy tego świata, co znaczy, że tej cząstki nie obrała... Dla mnie to wcale nie jest zaproszenie do tego, by wszyscy siadali teraz u stóp Jezusa, jak Maria, ale żebyśmy każdy i każda z nas odkryli swoją własną cząstkę: to, co jest dla mnie ważne, dla mnie dobre. I za tym podążać. Widać, że Marta nie bardzo tę cząstkę odkryła, bo ciągle ogląda się na to, co robi Maria. A chodzi o to, by każda odkryła to, co jest jej. Wtedy nie będzie jej denerwować siostra, która robi to, co jest dobre dla tej siostry.

Czyli że nasze szufladki nie muszą być wąskie: Maria – „dobra", „kontemplatyczka" i Marta – jeszcze

eprasa.pl c7a4904b88

„nienawrócona", „światowa". Proste opozycje.

Pracuję z różnymi kobietami i uderza mnie ich różnorodność. Są takie, z którymi bym się łatwo zaprzyjaźniła, i takie, z którymi chyba nie. Ale to dobrze, że takie jesteśmy. Są takie, które będzie urzekać spotykanie się w kobiecym gronie i wspólne układanie bukietów, ale i takie, które odnajdą się we wspólnym działaniu w wolontariacie czy chodząc razem na strzelnicę. Świetnie. To jest piękne, że jesteśmy różne. Różnorodność to coś bardzo Bożego.

Bliskie mi jest także odczytanie kobiety cierpiącej na krwotok jako patronki tych, którzy chcą zawalczyć o siebie.

Dla mnie to też było odkrycie. Musiałam trochę pochodzić z tą Ewangelią, poczytać, poszukać. Determinacja tej kobiety robi na mnie duże wrażenie. Po 12 latach stania w cieniu, na marginesie, znajduje siłę, by zawalczyć, i to w taki niestandardowy sposób, który wymaga złamania kilku zakazów i wyjścia z cienia. Myślę, że ona może i chciałaby dotknąć Jezusa potajemnie, ale jednak musiała wejść w tłum, zaryzykować, że ktoś ją zobaczy, rozpozna.

Różne Ewangelie różnie przedstawiają Jezusa, ale też różnie piszą o kobietach.

Ewangelia Janowa pokazuje na przykład, że Jezus o tych najważniejszych rzeczach rozmawia właśnie z kobietami: Martą, przy wskrzeszeniu Łazarza, Marią Magdaleną, Samarytanką. Ta Ewangelia jest mi najbliższa. Była nawet kiedyś taka myśl wśród egzegetów, że autorem tej ewangelii może być kobieta. Nawet podejrzewano, że to Maria Magdalena. Zbagatelizowano ten pomysł i końcowo odrzucono, ale zwrócono uwagę, że w tej Ewangelii narracja jest jednak inna. Ewangelia nie jest kroniką wypadków, tylko teologią życia ziemskiego Jezusa. W tej rzeczywiście kobiety odgrywają szczególną rolę. Maria z Magdali została posłana do głoszenia ewangelii o zmartwychwstaniu. Zastanawiano się więc, czy spisujący nie konsultował pewnych rzeczy z tą kobietą. Zastanawiano się, czy ona nie była inspiracją albo przynajmniej konsultantką treści.

PAULINA MODEL

DR MARIA MIDUCH – teolożka, biblistka, judaistka, autorka książek, m.in. „Kobiety, które kochał Bóg. Nowy Testament", „Boskie świętowanie" (z Szymonem Żyśką). Wykładowca przedmiotów biblijnych w krakowskich seminariach. Dyrektorka Salezjańskiego Instytutu Teologicznego. Zakochana w Ziemi Świętej i jej kulturze.

Czy biblijne wzory kobiece są dla wszystkich?

Jeśli postacie kobiece czynimy wzorem tylko dla kobiet, odbieramy bogactwo, które jest w Kościele. Bo gdy bierzemy Abrahama, mówimy, że „to jest wzór wszystkich wierzących". Ale gdy bierzemy Esterę, to mówimy: „to jest wzór dzielnej kobiety". Dlaczego nie powiedzieć, że to wzór dzielnego człowieka i że niejeden mężczyzna mógłby się od niej sporo nauczyć?

Pewnie ma znaczenie, kto te teksty pisze. Jak zauważa prof. Kalina Wojciechowska, która opisywała obraz Boga w kazaniach kobiet.

Tak, to ma duże znaczenie. Gdy napisałam „Biografię Syna Bożego", trzecią część trylogii o Trójcy Świętej, na spotkaniu autorskim jeden ksiądz teolog zapytał, po co taka książka, skoro już tyle o tym Synu Bożym napisano. Przecież napisał papież Benedykt, i inni też, więc po co jeszcze? Zapytałam, czy ksiądz zwrócił uwagę na to, że niemal wszystkie poprzednie książki napisali mężczyźni, a kobieta może mieć inny punkt patrzenia. I że to może być wzbogacające także dla mężczyzn.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c7a4904b88

Stany pobudzone

KATARZYNA KOSTECKA

USA | Gdy widzimy pastorkę, która w Trumpie odkrywa Jezusa, otwieramy szeroko oczy. Tymczasem Stany Zjednoczone zawsze były krajem ekstrawaganckich duchownych, kobiet i mężczyzn.

Jezus wrócił na ziemię pod koniec XVIII stulecia, a stało się to w stanie Nowy Jork. Wrócił jako kobieta: Ann Lee, córka kowala, która do Stanów przypłynęła z Anglii. Tak przynajmniej wierzyli szejkersi (ang. *Shakers*). Bo dla innych Ann Lee była czarownicą.

Do dziś Ann i jej wspólnota religijna, znana z ekstatycznych tańców i odrzucenia tradycyjnego modelu rodziny, budzą ciekawość. Film „Testament Ann Lee", opowiadający o tej charyzmatycznej kaznodziejce, wszedł do kin w USA rok temu (jego polska premiera odbyła się kilka tygodni temu).

Szejkersi nie byli jednak sami. Przeciwnie: była to jedna z wielu eksperymentalnych wspólnot religijnych, które pączkowały w USA pod koniec wieku XVIII i na początku XIX. Szukały one nowych odpowiedzi teologicznych i testowały nowe modele życia – zwłaszcza kobiet, małżeństwa i rodziny.

USA SIĘ BUDZĄ | Ten okres to w Stanach czas intensywnego religijnego ożywienia, które historycy określają jako Drugie Wielkie Przebudzenie. Drugie, gdyż to wcześniejsze miało miejsce w latach 30. XVIII w. w ówczesnych brytyjskich koloniach w Ameryce Północnej (później przyjdą jeszcze dwa kolejne, w wieku XIX i XX).

U źródeł Drugiego Wielkiego Przebudzenia leżał optymizm młodego, dopiero co powstałego państwa, a także osłabienie pozycji Kościoła anglikańskiego. Otworzyło to przestrzeń dla nowych grup wyznaniowych.

W ruchu tym uczestniczyły wówczas dziesiątki protestanckich ugrupowań, wiele świeżo powstałych. Ich charakterystycznym rysem było zaangażowanie kobiet – nie tylko jako wiernych, ale także jako kaznodziejek.

DUCH REWOLUCJI | Poglądy wspólnot bywały wzajemnie sprzeczne. Łączyło je jednak odrzucenie kalwińskiej doktryny predestynacji – zrywały z przekonaniem, że człowiek jest z góry przeznaczony do zbawienia lub potępienia. Wspólna była im także wiara w rychłe ponowne nadejście Jezusa. Oraz silny imperatyw nawracania.

Kaznodzieje proponowali teraz wiernym odnowę duchową. W tworzonych wspólnotach próbowano też eksperymentować z budowaniem nowego społeczeństwa i nowego modelu rodziny.

Skąd właśnie w Stanach brała się chęć takich poszukiwań? Historycy wskazują kilka czynników. Stany były państwem politycznie młodym, o rodzącej się tożsamości, do tego naznaczonej duchem rewolucji.

W tych czasach rodzi się również amerykański mit *self-made* mana: wzór człowieka, który sam jest dla siebie autorytetem i decyduje o tym, co słuszne. Ponadto w Stanach panowała duża mobilność, a młodzi ludzie rzadko mieszkali tam, gdzie ich rodziny, przez co byli mniej związani z istniejącymi już układami społecznymi.

Wszystko to sprawiało, że stworzenie zupełnie nowego układu społecznego wydawało się bardzo realne.

DROGA ZBAWIENIA | Zacznijmy od dwóch grup, którymi kierowały postacie podważające przyjęty porządek płci i rodziny: szejkersów oraz Public Universal Friends.

Przewodniczką szejkersów była wspomniana już Ann Lee. Wspólnota istniała wcześniej w Anglii, ale nie zdobyła tam wielu wyznawców (i od początku wywoływała kontrowersje ze względu na ekstatyczne tańce). Dopiero przybycie Lee do Ameryki oraz nadanie ruchowi jego definiującego rysu uczyniły z szejkersów siłę religijną.

Jako młoda kobieta Ann straciła czworo dzieci podczas porodów, w czym widziała Bożą karę za pożądanie. W swoich mistycznych wizjach widziała też seks jako przyczynę wygnania Adama i Ewy z raju. Ogłosiła więc, że prawdziwą drogą do zbawienia jest celibat. Tak też zaczęli żyć jej zwolennicy.

Celibat szejkersów szybko stał się źródłem kontrowersji, gdyż w oczach wielu podważał tradycyjny model rodziny i rolę kobiet jako matek. Rzeczywiście, wspólnota dawała kobietom więcej swobody. Nie pozostawały pod władzą konkretnego mężczyzny; ich „mężem" był sam Bóg, a więc podlegały mu bezpośrednio. Nie były też tak obciążone obowiązkami macierzyństwa, bo adoptowane dzieci wychowywała cała wspólnota.

Głoszona przez szejkersów duchowa równość kobiet miała odbicie w ich teologii: Bóg miał wedle nich podwójną naturę: męską i żeńską.

JEDNYM JESTEŚCIE | Podobnie rzeczy się miały we wspólnocie Public Universal Friends, a jej mit założycielski był jeszcze bardziej niezwykły.

W 1776 r. niejaka Jemima Wilkinson, pochodząca z niezamożnej rodziny z Rhode Island, zapadła na ciężką chorobę. Przeżyła, choć nie do końca, bo po ozdrowieniu ogłosiła, że Jemima umarła, a w jej ciało wstąpił duch Public Universal Friend – bezpłciowy wysłannik Boga, mający przygotować ludzi na drugie nadejście Chrystusa.

Jemima/Friend ubierał(a) się podobnie do męskich kwakrów, a najbliżsi wyznawcy zwracali się doń w rodzaju męskim. Aby wyjaśnić swoją tożsamość, Jemima/Friend przywoływał(a) słowa z Listu do Galatów: „Nie masz mężczyzny ani niewiasty; albowiem wszyscy wy jednym jesteście w Chrystusie Jezusie". A czasem po prostu: „I am what I am" (jestem, kim jestem).

Także ta wspólnota przyciągała kobiety i przypisywała im wysoką – jak na ówczesne społeczeństwo – pozycję. Celibat nie był tu obowiązkowy, ale zarząd nad wspólnotą sprawowały niezamężne kobiety zwane Faithful Sisterhood (Wierne Siostry).

Równość w obu wspólnotach miała ograniczenia. Choć najbliższe współpracowniczki Jemimy/Frienda zajmowały się majątkiem i sprawami prawnymi,

eprasa.pl c7a4904b88

MATERIAŁY PRASOWE

Ekstatyczne tańce szejkersów. Kadr z filmu „Testament Ann Lee" (2025), reż. Mona Fastvold, 2025 r.

większość prac była podzielona według płci – obowiązki domowe dla kobiet, handel i kontakt ze światem zewnętrznym dla mężczyzn. U szejkersów podział ten uzasadniono praktycznie: mieszanie obowiązków miałoby utrudniać zachowanie celibatu.

Mimo to w wymiarze duchowym i w kontekście tamtych czasów był to model rewolucyjny.

WOLNA MIŁOŚĆ | W innych grupach pomysły na reformę małżeństwa były jeszcze radykalniejsze – jak we wspólnocie Oneida, założonej przez Johna Noyesa, gdzie praktykowano „wolną miłość".

Noyes, urodzony w 1811 r. w stanie Vermont, był wyznawcą perfekcjonizmu: wiary w możliwość osiągnięcia moralnej doskonałości za życia. Pragnął przekształcić społeczeństwo tak, by odbijało doskonałość nieba. Odwołując się do biblijnego fragmentu, że w niebie „nie będą się żenić ani za mąż wychodzić", uznał, że tradycyjne małżeństwo należy znieść.

W zamian wprowadził w Oneidzie „małżeństwo złożone", w ramach którego wszyscy wyznawcy mogli wchodzić w relacje romantyczne i seksualne z pozostałymi. Porównywał ten model do Uczty Pańskiej, na której biesiadnicy nie muszą ograniczać się do spożywania jednej potrawy.

Także w tej wspólnocie panowała spora swoboda kobiet, mimo że Noyes podkreślał hierarchię płci. Wierne mogły nosić krótkie włosy i spodnie, a także pracować w takich zawodach jak księgowość czy dziennikarstwo. Noyes zwracał uwagę na seksualną satysfakcję kobiet i wprowadził praktykę *male continence* (powstrzymywania się mężczyzn od ejakulacji, by uniknąć niechcianych ciąż).

Dążenie do doskonałości w Oneidzie miało też mroczne strony, także w wymiarze rodzinnym. Chcąc stworzyć doskonalszego człowieka, Noyes rozwijał plany eugeniczne, a inicjację młodych powierzano starszym członkom wspólnoty.

W 1879 r. Noyes został oskarżony o seks z nieletnią, co zmusiło go do ucieczki do Kanady i przyczyniło się do rozpadu wspólnoty.

CZAS MORMONÓW | Nie wszystkie eksperymenty szły w stronę większej wolności kobiet. Tak było w przypadku mormonów – najsłynniejszej wspólnoty powstałej na fali Drugiego Przebudzenia.

W 1830 r. Joseph Smith założył Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Swoje przywództwo opierał na objawieniu: anioł miał wskazać mu miejsce ukrycia tabliczek z zapisem historii starożytnych ludów Ameryki Północnej i przybycia Jezusa do Stanów po zmartwychwstaniu.

Kolejne objawienia, jakich miał doświadczać, przyniosły szereg zasad regulujących życie codzienne – jak zakaz spożywania alkoholu, kawy i herbaty. W końcu dotknęły też modelu rodziny.

Około roku 1840 Bóg miał przekazać Smithowi, że mormoni powinni żyć na wzór biblijnych patriarchów, i że w niebie będą istnieć „wieczne rodziny". Z tego objawienia wyrosła praktyka „małżeństw pluralnych": jeden mężczyzna mógł, a nawet powinien mieć wiele żon. Sam Smith zawarł wiele takich związków, początkowo w ukryciu przed swoją żoną, w tym z bardzo młodymi dziewczętami i kobietami już zamężnymi (co budziło opór wśród części wyznawców).

W 1844 r. Smith zginął z rąk tłumu oburzonego jego naukami. Jednak idea poligamii była rozwijana przez jego następcę Brighama Younga, szczególnie w stanie Utah, gdzie mormoni opanowali lokalne władze. Choć pod presją rządu USA w 1890 r. główny nurt mormonów porzucił tę praktykę, niektóre fundamentalistyczne odłamy stosują ją do dziś.

„Pluralne małżeństwa" mormonów często sprowadzały kobiety do roli podporządkowanej. Sprzyjały mocnej hierarchizacji: to mężczyzna miał decydujący głos, a życie kobiet było regulowane nakazami religijnymi.

CO POZOSTAŁO? | Ferwor religijny wielu wspólnot Drugiego Przebudzenia nie trwał długo. Spośród tych, którym się przyglądaliśmy, dwie nie przetrwały swoich założycieli. Dwie jednak, szejkersi i mormoni, istnieją do dziś. Tych pierwszych są obecnie 3 miliony, tych drugich ponad 17 milionów.

Skąd ta duża dziś różnica w liczebności obu wspólnot? Praktycznym czynnikiem był z pewnością szejkerski celibat. W latach 60. XX w. w USA ograniczono adopcje przez wspólnoty religijne, co wpłynęło na zmniejszenie się ich liczebności. Z kolei poligamia mormonów sprzyjała szybkiemu wzrostowi liczby wyznawców.

Znaczenie miały też czynniki kulturowe. Ze swoją wiarą, że po zmartwychwstaniu Jezus przybył do USA, mormoni to religia na wskroś amerykańska, która świetnie wypełniała symboliczną lukę młodego narodu szukającego własnej „historii świętej".

Nie znaczy to jednak, że mniej trwałe wspólnoty zniknęły bez śladu. Przeciwnie: wiele ich idei wyprzedzało swoją epokę. Równość kobiet głoszona przez szejkersów i Public Universal Friends czy eksperymenty Oneidy stały się częścią szerszego amerykańskiego poszukiwania nowego społeczeństwa.

Z podobnego fermentu, religijnego i społecznego, wyrosły późniejsze ruchy reformatorskie wieku XIX: abolicjonizm, walczący o zniesienie niewolnictwa, a także kampanie na rzecz praw kobiet, na końcu z sufrażyzmem. Ale to już osobna historia. ©

Autorka jest historyczką i edukatorką.

eprasa.pl c7a4904b88

O. WACŁAW

Oszajca:
Rozum w niebie

Odpowiedzialnym za dzisiejszy stan Kościoła wielu uważa covid. Jedni mówią, że zamiast trzymać się tradycyjnego sposobu reagowania na tego typu nieszczęścia, daliśmy posłuch liberałom i innym ukrytym siłom, dążącym do likwidacji Kościoła. Zamiast wołać „Jezu, ufam Tobie", organizować nabożeństwa i procesje przebłagalne i wynagradzające, zamknęliśmy kościoły, ograniczyliśmy liczbę uczestników, nawet na pogrzebach, utrudnialiśmy udzielanie sakramentów, zwłaszcza komunii do ust i na klęczkach oraz „ostatniego namaszczenia", nie ostrzegaliśmy przed zgubnymi skutkami szczepionek, noszeniem masek. Teraz mamy to, co mamy. Ludzie, zgorszeni takim bezbożnym postępowaniem księży, biskupów, a nawet papieża, po prostu porzucili Kościół. Okazuje się jednak, że wśród tych, którzy po epidemii nie wrócili do kościołów, procentowo więcej jest tych zgorszonych, a nie gorszycieli, co pokazuje, że człowieka z Kościołem mocniej niż tzw. tradycja trzyma osobisty wybór i potrzeba rozumności.

Piotr Apostoł mówi: „Chrystusa Pana czcijcie w waszych sercach jako świętego i bądźcie zawsze gotowi odpowiedzieć każdemu, kto zażąda uzasadnienia waszej nadziei". W jaki więc sposób uzasadnialiśmy nasze działania? Stworzyliśmy jakąś pokraczną teologię, w której zabobonne, magiczne wątki pomieszały się z katolickim pojmowaniem działania sakramentów. Przykładem na to jest twierdzenie: „Ciało Chrystusa i namaszczone ręce kapłana nie zarażają". To prawda, ale ślina na palcach i oddech chorego już tak – przeczyć temu to rozmijać się z rozumem.

W Mądrości Syracha czytamy: „Poważaj lekarza, z którego usług korzystasz, bo jego także stworzył Bóg. Lekarz od Boga otrzymuje mądrość, a od króla wynosi dary. Wiedza lekarza podnosi jego głowę i stawia go pomiędzy dostojnikami. Bóg wywiódł leki z ziemi i człowiek rozumny nie gardzi nimi (...) Stąd to lekarz uśmierza ból, podobnie i aptekarz przyrządza leki, tak iż nie kończy się nigdy ani działanie Boga, ani Jego pomoc [niesiona przez] synów ludzkich". Po Zmartwychwstaniu nie istnieją dwa, już gotowe światy – ziemia i niebo, profanum i sacrum, niebo, piekło i czyściec, gdyż Bóg „jest wszystkim we wszystkim". Stąd Bogu nie są potrzebni konserwatorzy zastanej rzeczywistości, ale twórcy. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Szczęście

Przez najbliższe tygodnie podczas Liturgii wracamy na Ostatnią Wieczerzę (J 13, 16-20). Ktoś mógłby się zdziwić: z powrotem do godziny Męki? Ostatnia Wieczerza jest godziną Męki – to prawda, ale jest także godziną posłania – przekazania misji. Jezus zleca swoim uczniom (także nam) swoją misję, powierzoną Mu przez Ojca. Zaraz potem jednak był Ogrójec. Sąd. Śmierć na krzyżu. Więc wszystko, co powiedział, zostało z Nim zabite... Tymczasem jednak Jezus Chrystus zmartwychwstał. I wszystko, co nam zlecił, staje się aktualne z nową mocą! Zlecona nam misja objawia się nam jako program zwycięstwa, nie klęski. Życia, nie śmierci!

Dziś Jezus objawia nam najpierw rozmiary i powagę tej misji. Jest ona ostatecznie reprezentacją Tego, który Go posłał – wszechmogącego Boga. Tego, który jest ponad wszystko stworzenie. Święty, Święty, Święty. „Kto przyjmuje tego, którego Ja poślę, Mnie przyjmuje. A kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który Mnie posłał" (J 13, 20). To niesłychany zaszczyt reprezentować Go wobec świata. I dlatego Jezus dodaje, że misję tę można pełnić jedynie w postawie sługi/niewolnika, a nawet „mniej niż sługi/niewolnika": „Amen, amen, powiadam wam: niewolnik nie jest większy od swego pana, ani wysłannik od tego, który go posłał" (J 13, 16). Wysłannik musi być mniejszy niż ten, kogo reprezentuje: w tym przypadku musi być mniejszy od niewolnika – bo Jezus przyjął postać niewolnika, myjąc uczniom nogi na Ostatniej Wieczerzy i umierając na krzyżu (śmiercią niewolnika), sprzedany za trzydzieści srebrników (cena niewolnika). Nie możemy być ponad Niego!

To być może paradoks, ale przemawiający z wielką siłą i wyznaczający dyscyplinę naszej misji w świecie: Boga wszechmogącego, Pana panów i Króla królów, który jest ponad wszystkim – nie można reprezentować inaczej, jak tylko w postawie niewolnika. Nie tylko nie można – nie wolno! Ponieważ On nigdy się nie przyzna do innej reprezentacji. Każdy, kto w imię misji Jezusowej chciałby się wywyższać, podkreślać swoją wielkość i godność, ryzykuje usłyszenie kiedyś: „Nigdy was nie znałem!" (zob. Mt 7, 23). No i puenta: „Wiedząc to, będziecie błogosławieni, gdy według tego czynić będziecie" (J 13, 17). Tak. Szczęście przychodzi dopiero z wypełnieniem tego Słowa – nie z samym Jego przepowiadaniem. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl c7a4904b88

ZUZANNA

Radzik: *Majowe*

Kobietę z Nazaretu, której tradycja wybudowała patriarchalny pałac teologicznej opowieści, da się opowiadać inaczej. Jako decydującą, sprawczą, stojącą w centrum kosmicznych wydarzeń. Bliską jak sąsiadkę z przydrożnej kapliczki.

Forma jest kusząca, zwłaszcza w najbardziej ludowym, sąsiedzkim wydaniu. Te krzyże i kapliczki z nowymi wstążkami, wymienionymi na maj. Ukwiecone, zamiecione, z odnowionymi ławkami. Takie, które gromadzą sąsiedzką wspólnotę, bez księdza, tak po prostu, jak zawsze bywało. To mnie najbardziej kusi w majowym: oddolność, sąsiedzkość, dostępność. Niekontrowersyjna, tradycyjna forma, ale w rękach świeckich. Coraz bardziej czuję, że czegoś takiego mi trzeba. Bliskości, nie dystansu ornatu i ołtarza. Modlitwy kolektywu bliżej codzienności, prowadzonej przez jego członków i włączającej. Właściwie niepytającej o nic, niesprawdzającej twojego kościelnego statusu. Zapraszającej przechodnia. Ot, można się dosiąść.

To jednak fantazje. Oprócz rzadkich okazji, gdy przypadkiem trafiałam na takie nabożeństwo podczas wyjazdu, znam tylko formę miejską, parafialną modlitwę przed lub po wieczornej mszy, prowadzoną przez księdza. Bez tej wiosenności i bycia na zewnątrz, wśród łąk, krzaków, na rozdrożu. Bez oddania prowadzenia śpiewu w ręce sąsiadek.

Choć wydarza się czasem też forma miejska oddolna. Mam znajomego, który skrzykuje innych pod kapliczką, czy to na Krakowskim Przedmieściu, czy to gdzie indziej. To w sumie krótka modlitwa, można się spotkać na ulicy, po pracy, zaśpiewać, a potem rozejść się lub usiąść na kawie. Niezwykłe też, jak znajoma archaiczna melodia litanii potrafi przyciągnąć przechodniów, nagle nią zwabionych, bo złapała ich w środku za coś bliskiego, znanego sprzed lat.

Tylko ten tekst. Sama nie wiem, czy tekst litanii loretańskiej coś znaczy dla mnie, czy ma właściwość tradycyjnej mariologii. Nie dotyka mnie, nie rusza, a jeśli to wkurza swoją pastelowością i brakiem wyrazu. Tą fascynacją młodą dziewiczą matką, odkobieconą. To tradycyjne spojrzenie na nią, czasem niczym lubieżne fascynacje mężczyzn nastolatkami. W litanii sypią się komplementy dla dziewiczej czystości, dla jej osobności od nas, zwykłych ludzi i zwykłych kobiet. Panna nad pannami, królowa. Osobna. Wyróżniona w świecie patriarchalnej religii nagrodą podwójną, za jednoczesne dziewictwo i macierzyństwo. Umiesz tak? Ano właśnie.

Więc nawet gdy przyciągnie mnie archaiczna melodia, łapiąc za coś głęboko skrywanego, to archaiczna mariologia odpycha. A już na pewno zupełnie nie mam z nią kontaktu, ześlizguję się z tego tekstu i odchodzę. Czasem chciałabym znaleźć jakąś szparę, dointerpretować, feministycznie dopowiedzieć, ale... no właśnie, to nie tekst, nie artykuł, to forma tradycyjna, śpiewana, niezupełnie znosząca takie krytyczne przystanki. Napisać od nowa? Z nową, feministyczną litanią iść pod ozdobioną świeżymi wstążkami kapliczkę? Nie takie teksty przepisywały od nowa katolickie feministki, więc może to jest jakiś plan na ten maj.

Co prawda w 1631 r. Święta Kongregacja Obrzędów zakazała dokonywania w tekście samowolnych zmian, ale kto powiedział, że moja feministyczna litania musi być loretańską. Może będzie po prostu moja. Zresztą to żywy organizm, było kiedyś w niej więcej tytułów, jedne zgubiła po drodze przez historię, inne zyskała. W 1846 r. dodano wezwanie „Królowo bez zmazy pierworodnej poczęta", w 1917 r. „Królowo pokoju", a w 1950 r. „Królowo Wniebowzięta" i kolejne. W Polsce zaś dodano pięćdziesiąte wezwanie w 1923 r.: „Królowo Polskiej Korony", zmienione po wojnie na „Królowo Polski". Skoro więc magisterium może swoje maryjne i patriotyczne inspiracje zapisywać w treści litanii, to czemu nasze odkrycie bardziej feministycznej Maryi nie miałoby być warte litanii?

Mariologia dobrze znosi te feministyczne zabiegi, choć trzeba najpierw tej tradycyjnej zadawać poważne, krytyczne pytania. Nie bez powodu przecież pierwsze pokolenia chrześcijańskich feministek w mariologii tradycyjnej widziały „sposób na odciągnięcie kobiet od stawania się w pełni niezależnymi, całymi ludzkimi osobami" (Schüssler Fiorenza). Lub uważały, że jest „koniem trojańskim, wzniesionym, by odbić kobiece aspiracje do bycia osobą, do godności ludzkiej i współodpowiedzialności za Kościół i społeczeństwo" (s. Patricia Noone).

Jednak tę kobietę z Nazaretu, o której Biblia mówi zdawkowo, a tradycja wybudowała jej potem patriarchalny pałac teologicznej opowieści, da się opowiadać inaczej. Jako decydującą, sprawczą, stojącą w centrum kosmicznych wydarzeń. Dziewiczą, bo nieposkromioną jak siła natury. Rodzącą bez bólu, bo tak powinno być w odkupionym świecie. A przede wszystkim siostrę, jedną z nas. Bliską. Sąsiadkę z tej przydrożnej czy podwórkowej kapliczki. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl c7a4904b88

HISTORIA

ZA CENĘ ŻYCIA

Działał w polskim wywiadzie na Pomorzu, zginął w kwietniu 1945 r.: Leon Sowiński. Historia jednego z tych, którzy podczas II wojny światowej byli „oczami aliantów".

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Czwartego dnia ofensywy, 19 kwietnia 1945 r., wojska sowieckie przełamują linię niemieckiej obrony przed Berlinem na wzgórzach Seelow. Następnego zaczynają artyleryjski ostrzał miasta. Także tego dnia, w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, odbywa się przyjęcie z okazji 56. urodzin Hitlera. W noc poprzedzającą Führer przekazuje dowódcy berlińskiego okręgu hasło „Cytadela": znak do ogłoszenia stanu alarmowego najwyższego stopnia.

W tle tych wydarzeń rozgrywa się dramat czterech członków polskiego ruchu oporu, osadzonych w więzieniu Brandenburg-Görden koło Berlina. Niemiecki sąd skazał ich na śmierć. Jednym z nich jest Leon Sowiński.

O takich jak on historycy napiszą potem, że byli „oczami aliantów". Ludzie pracujący w polskim wywiadzie, który działał w całej okupowanej Europie i Afryce Północnej, wpłynęli na przebieg II wojny światowej. Z owoców pracy Oddziału II i wywiadu AK korzystali Brytyjczycy i Amerykanie. Pod koniec lat 90. XX w. Jan Nowak-Jeziorański powie, że bez nich ta wojna mogła trwać rok lub dwa dłużej.

To opowieść o jednym z nich.

SUMIENNY SUBIEKT | Rodzi się jako poddany pruski: w Chełmnie, na sześć lat przed wybuchem I wojny światowej. W 1923 r., już obywatel młodej II RP, zaraz po szkole podejmuje pracę w sklepie „Bławaty-Konfekcja" Edmunda Krywalda. Wpierw jako praktykant, potem ekspedient i dekorator. Równolegle uczęszcza na kurs księgowości, by wkrótce zająć się też prowadzeniem ksiąg handlowych.

Zwalnia się na własną prośbę. W świadectwie pracy właściciel pisze: „Pan Sowiński zdobył sobie moje pełne zaufanie, które umiał do ostatniej chwili jego współpracy zachować, był żytelny, pilny i mogę wymienionego, jako dzielnego i sumiennego ekspedienta polecić. W czasie swej bytności u mnie zachował się p. Sowiński beznagannie" (pisownia oryginalna).

18-letni Leon przeprowadza się do Kościerzyny i zatrudnia w Domach Towarowych Bronisława Drawskiego. Jest ekspedientem, później kierownikiem. Równocześnie znów się uczy: eksternistycznie, w tutejszej Szkole Handlowej.

MIASTO MŁODYCH | Zachowało się zdjęcie Leona z tego czasu. W dwurzędowym płaszczu z futrzanym kołnierzem i kapeluszu typu homburg, mimo młodego wieku sprawia wrażenie człowieka już dojrzałego.

W następnych latach rozwija handlowe doświadczenie w kolejnych miejscach, m.in. jako kierownik w sklepie bławatnym „Bazar" w Starej Kiszewie.

W 1931 r. zostaje powołany do 64. Pułku Piechoty w Grudziądzu. Po odbyciu służby wraca do Kościerzyny i znów zatrudnia się w Domach Towarowych Drawskiego. Pracuje tam do połowy 1934 r., gdy ulega pokusie, jaką jest prężnie rozwijająca się Gdynia.

W tym to roku Antoni Sobański pisze w „Wiadomościach Literackich", że „Gdynia jest miastem naprawdę młodym: miastem ludzi młodych, miastem męskim; miastem ludzi zdrowych, bo muszą wytrzymać ciężką pracę, a przedsiębiorczością już się wykazali".

NA SWOIM | Pryncypałowi Leon tłumaczy, że chce „polepszyć swój byt", a Drawski w świadectwie pracy pisze, że może „gorąco polecić" Sowińskiego jako „jednego z najlepszych współpracowników dzisiejszej młodzieży kupieckiej". Ułatwia to zapewne uzyskanie posady kierownika w gdyńskim Domu Towarowym przy ul. Świętojańskiej.

Ale Leon pracuje tu tylko trzy miesiące. Duch miejsca wzbudza w nim zapał do pójścia na swoje. Z przyjacielem Maksem

eprasa.pl c7a4904b88

ARCHIWUM RODZINNE CHRISTIANA I JERZEGO SOWIŃSKICH X4

Powyżej: Maria z synami, Jerzym i Christianem, 1943 r.
Sklep Leona i jego wspólnika w Starzynie, druga połowa lat 30.

Na sąsiedniej stronie, od lewej: Leon w Kościerzynie, 1927 r., kolejno: Leon, Maria (stoją) oraz Aleksy Jendryczka i jego żona Gertruda w Gdyni, 1939 r.

Olbrachtem-Prądzyńskim zakładają w lutym 1935 r. sklep bławatny w miejscowości Starzyno w powiecie puckim.

Zatrudniona w sklepie przez Leona jego siostra Wanda i Maks zakochują się w sobie. Ślub biorą w 1938 r. W tym samym roku wspólnicy otwierają kolejny sklep, w Pucku. Zarządza nim Leon, a szwagier kieruje tym w Starzynie.

Na ślubie siostry u boku Leona obecna jest narzeczona: Maria Krausówna. Po kądzieli pochodzi z rodziny Żelewskich, szeroko na Kaszubach rozgałęzionej. Jej ojciec ma w Pucku hotel (najstarszy w mieście), restaurację i skład kolonialny.

Leon i Maria biorą ślub w kwietniu 1939 r. w kościele w Ryńsku. Proboszczem jest tu krewny Marii: ks. Feliks Otto Bach Żelewski (w 1901 r., w toruńskim procesie tajnego związku Filomatów Pomorskich, sąd zakazał mu studiowania na pruskich uczelniach; studia teologiczne kończył we Lwowie). Młodzi zamieszkują przy puckim Rynku w kamienicy, w której Leon prowadzi sklep.

WRZESIEŃ 1939 | Pod koniec sierpnia Leon zostaje zmobilizowany: do V baonu Obrony Narodowej, który należy do Oddziału Wydzielonego „Wejherowo". Jego zadaniem jest obrona dostępu do Kępy Oksywskiej. W planach Kępa ma być bastionem, który nie dopuści Niemców do gdyńskich portów. Obrona przewidziana jest na góra siedem dni, w czasie których spodziewana jest aliancka pomoc.

Ta nie nadchodzi. Napór wroga zmusza polskie oddziały do cofania się, zaczyna brakować amunicji. Batalion Leona traci ponad połowę stanu osobowego.

W nocy 10 września dowódca OW „Wejherowo" zarządza opuszczenie pozycji i odwrót na Kępę Oksywską. 14 września Niemcy zajmują Gdynię. Kępa jest ostrzeliwana przez artylerię i lotnictwo, jej obrońcy ponoszą duże straty. 18 września w Suchym Dworze (Gdynia Pogórze) Leon dostaje się do niewoli.

Tego samego dnia zaczyna się ostrzał Kępy Oksywskiej przez pancerniki „Schleswig-Holstein" i „Schleisen". Nazajutrz płk Stanisław Dąbek, dowódca lądowej obrony wybrzeża, uznaje dalszy rozlew krwi za bezcelowy. Nakazuje zaprzestać walki i odbiera sobie życie.

LOSOWANIE | Nie udało się dotąd ustalić, w którym z obozów jenieckich, Stargardzie Szczecińskim czy Dobiegniewie, przebywał Leon. Wiadomo, że w którymś z nich spotkał się z Maksem, który dostał się do niewoli na Półwyspie Helskim.

Wspólnicy szukają wyjścia z krytycznej sytuacji. Uzgadniają, że jeden wybierze pracę przymusową w wyznaczonym przez Niemców miejscu, a drugi podpisze Volkslistę, co umożliwi mu powrót do domu. Ustalają, że jeśli jeden zginie, drugi zaopiekuje się jego rodziną.

Wyboru dokonują przez losowanie. Leonowi przypada praca przymusowa. Odpowiada mu to, w Pucku woli się nie pojawiać. Był członkiem Polskiego Związku Zachodniego i boi się represji. Maks podpisuje Volkslistę (w 1942 r. trafi do Wehrmachtu, przeżyje wojnę).

W lipcu 1940 r. Leon dostaje nakaz pracy w tartaku w Falkenwalde (dziś Tanowo koło Polic). Poruszać może się tylko na odległość 100 km, na dalsze wyjazdy musi uzyskać przepustkę.

Maria odnalazła męża jeszcze w obozie przejściowym w Gdyni. Widziała go wtedy jedynie z daleka. Później odszukała go w kolejnym obozie, gdzie mogli porozmawiać przez druty. Zaraz po tym, gdy Leona zwolniono z niewoli, Maria przyjeżdża do Falkenwalde i mieszka tam jakiś czas, wynajmuje pokój u starszego niemieckiego małżeństwa. Owocem tego pobytu są narodziny syna Jerzego w 1941 r.

Leon stara się o przepustki i parokrotnie odwiedza rodzinę w Pucku. Kolejny syn, Christian, rodzi się w 1943 r.

KONSPIRACJA | Wiele lat później Christian poświęci dużo czasu na rekonstruowanie historii ojca. W poszukiwaniach trafi na ślady, że już od połowy 1940 r. Leon brał udział w podziemnym wywiadzie. W takiej działalności obowiązuje tajemnica najwyższa, liczba źródeł jest skąpa. Nie sposób ustalić, dla której z podziemnych organizacji pracował.

Na Pomorzu jest ich kilka: Miecz i Pług, Związek Jaszczurczy, Gryf Pomorski i Związek Walki Zbrojnej / Armia Krajowa. W wywiadzie AK dalekiego zasięgu o kryptonimie „Stragan" (potem ↦

eprasa.pl c7a4904b88

ARCHIWUM RODZINNE CHRISTIANA I JERZEGO SOWIŃSKICH X2

Leon i Maria, zdjęcie ślubne, 1939 r.

↦ „Lombard") działa sieć „Bałtyk", obejmująca Pomorze. Z kolei organizacja Odra składa się z jeńców i robotników przymusowych (struktury te ze sobą współpracują).

Jest też kilka drobnych grup. Duże organizacje nie włączają ich do swych struktur, a tylko wprowadzają do nich osobę, która nie wyjawia swej faktycznej przynależności.

Antoni Lesner, który zetknął się wtedy z Leonem, pracował przymusowo w stoczni Oderwerke w Szczecinie, a później w zakładach sąsiadujących ze stocznią Vulcan. Wedle jego relacji „Sowiński wypytywał (...) gdzie pracuję, co robię. Postawił jeden warunek: nic nie notować, wszystko »zapisywać« w pamięci. A więc: jakie typy jednostek budujemy lub remontujemy, jakie części i dokąd są wysyłane, jakie są nastroje wśród Niemców".

AKCJA „SYNTEZA" | Pod koniec 1943 r. z Leonem kontaktuje się mąż jednej z sióstr jego żony – inżynier Aleksy Jendryczka, szef grupy wywiadowczej Miecza i Pługa. Jest też świeżo zaprzysiężonym członkiem „Lombardu" w sieci „Bałtyk" (to podgrupa „Bałtyk-303" dostarczy aliantom informacje o produkcji „cudownej broni" V-1 i V-2 w Peenemünde).

Jendryczka, który używa pseudonimu „Pomorski", dopiero co uciekł znad jeziora Ilmień w Rosji, gdzie w Organisation Todt zajmował się melioracją. Podziemie finguje jego śmierć. Jego zadaniem na Wybrzeżu jest nawiązanie kontaktu z polską siatką ze Szczecina, obserwacja portów oraz rozpracowanie zakładów produkcyjnych i baz materiałów pędnych. Wśród jego współpracowników jest Franciszek Szornak z Wejherowa, szwagier żony Leona.

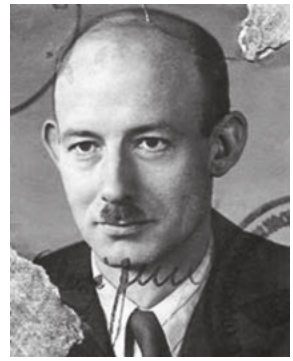

Aleksy Jendryczka na zdjęciu z ówczesnego dowodu tożsamości.

Blisko miejsca pracy Leona leżą Police, gdzie jest fabryka paliw syntetycznych. O znaczeniu strategicznym: Niemcy nie mają złóż ropy, a wojna pożera olbrzymie ilości paliwa. Z pomocą siatki, w którą zaangażowany jest Leon i członkowie innych struktur, Jendryczka rozpoznaje fabrykę. Operacja ma kryptonim „Synteza". Efekty rozpoznania trafiają, przez Gdynię i Szwecję, do aliantów, którzy wiosną 1944 r. skutecznie bombardują fabrykę.

WPADKA | W kwietniu 1944 r. w punkcie kontaktowym w Warszawie, w którym Gestapo urządza „kocioł", zostaje aresztowany Jendryczka. Snuto domysły, co było powodem wpadki. Wiadomo, że tuż przedtem w pociągu Szczecin-Warszawa ujęto kuriera organizacji, która współpracowała z Jendryczką. Rozpoznanie kurierów i łączników, a następnie ich śledzenie było ważną metodą rozpracowania podziemia.

Mają miejsce kolejne aresztowania. Leon zostaje zatrzymany na dworcu w Pucku. W obecności Marii, która odprowadza go do pociągu: po odwiedzeniu rodziny miał wracać do Falkenwalde. Jest więziony w Szczecinie. Marii pozwolono na krótkie widzenie z nim. „Był bardzo zmieniony – relacjonowała później – nie poznałam go, miał wiele siwych włosów, był mało kontaktowy, spytał jedynie o dzieci, czy mamy z czego żyć".

Maria jest przesłuchiwana. Nie zostaje aresztowana, ale musi meldować się w puckiej policji. Aby ratować męża, pisze list do SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bach-Zelewskiego, jej dalekiego krewnego. Ten odpowiada, że „polskim świniom" nie pomaga.

NAJWYŻSZA CENA | 19 stycznia 1945 r. do Trybunału Ludowego w Berlinie trafia akt oskarżenia wobec siedmiu Polaków. Pięciu, w tym Leon, odpowiada za szpiegostwo i zdradę (są uznawani za obywateli Rzeszy), a dwaj za to, że nie powiadomili władz o przestępstwie.

Rozprawa ma miejsce 2 lutego. Następnego dnia sąd wydaje wyrok: Sowińskiego, Jendryczkę, jego żonę Gertrudę oraz Alfonsa Warszczyńskiego i Adama Sobolewskiego skazuje na śmierć, a Szornaka i Ludwika Lietza na 7 lat więzienia. Prośba Leona o ułaskawienie zostaje odrzucona. W marcu trafia do więzienia Brandenburg-Görden.

Zgodnie z niemieckim prawem egzekucję można wykonać po stu dniach od uprawomocnienia się wyroku. Ale wobec nadchodzącej klęski procedury nie mają znaczenia. 20 kwietnia w więzieniu zjawia się, mimo trwającego nalotu, dwóch wysłanników Trybunału z nakazem egzekucji. Prócz czterech Polaków dotyczy on też paru innych skazańców.

Wszystko odbywa się w makabrycznym pośpiechu. Każda z egzekucji, przez ścięcie na gilotynie, trwa dwie minuty zamiast przepisowych pięciu. To ostatnie egzekucje w tym więzieniu.

Gertruda przeżyje. Osadzona w więzieniu dla kobiet w Berlinie, ocaleje.

Dopiero w 1985 r. Bundestag wydaje uchwałę, w której wyrokom Trybunału Ludowego odebrana zostaje moc prawna. W 1998 r. ustawa uchyla wszystkie narodowosocjalistyczne wyroki jako niesprawiedliwe.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Korzystałem z publikacji Christiana Sowińskiego „Historie rodzinne po mieczu i kądzieli". Profesorowi Jerzemu Sowińskiemu dziękuję za jej udostępnienie.

eprasa.pl c7a4904b88

ELIZA

Kącka: *Pierwszy mamut*

Autobus 116, chłodny wieczór, fluid mgły pokrywa jezdnie i masywy kamienic. Światła miasta roztarte, jakby na obrazie rozmazał palcem. W autobusie dwóch gości kiele siedemdziesiątki, pani o lasce mamrocząca do różańca i gość w zasiekach toreb foliowych z łachami, butelkami, makulaturą. Widujemy się czasem na linii, macha mi znad worków. Postój przy Placu Trzech Krzyży, zmiana kierowcy. Nowy rozsiada się w kabinie, zerka przez okienko. „I co, znów na pętlę?" – uśmiecha się do Workowego. „Ehehe, hekhe" – chrząka tamten. Przybili piątkę porozumienia, ruszamy. Gość Pierwszy: „Ja ci powiem, Marek, jednego chciałbym dożyć". „Czego?". „Wskrzeszenia mamutów". „Haha, co ty pleciesz?". „Pleciesz! Wypraszam sobie. Już grzebią w genach. Za kilka lat, słuchaj, na arktycznych łąkach pojawi się pierwszy mamut". „A, czyli nie rozmrażają, ale tworzą krzyżówki?". „Tak!". „No nie wiem, ja to bym się zajął onkologią, biedą na świecie...". „A ja nie!". Stoimy na światłach tuż przy Łazienkach. Gość gapi się w szybę. Łamie mu się głos: „Wiesz, to wszystko straciło wyrazistość. Siedzę, czytam, ale nie chce mi się żyć w erze Trumpa. Tylko cierpienie i szare pasmo lęku...". „I głupoty". „Owszem. Chcę dożyć powrotu mamutów. Mógłbym sprzedać wszystko, co tu, może by mi starczyło na chwilę w jakiejś stacji, by zobaczyć, jak idą". „Ale co ci to załatwia?". „Wszystko".

Uniwersytet Trzeciego Wieku, wykład o poezji. Podchodzi pani uśmiechnięta, serdeczna. „Pani tato leczył nasze zwierzęta". Skąd Lidzbark na Starych Bielanach? Przedstawia się, a w mojej głowie taśma pamięciowa z Dębowem, polem dziadka i matką mojej rozmówczyni przy grządkach. Śmiała się, że mogłabym się zatrudnić przy zbieraniu stonki. Prawda, zdejmowałam szkodniki godzinami. „Ta pana wnuczka lubi przebierać. Kopciuszek taki". Dziadek się śmiał i pozwalał mi wyżywać się w zdejmowaniu szkodników, układaniu kamieni, oczyszczaniu ziaren na przynętę dla ojca i jego kolegów. „A nie szkoda ci czasu na siedzenie tu ze mną?". Nie, oboje uciekaliśmy. Ja od lekcji, on z domu – ku dębowskim pagórkom. Tato odbierał mnie wieczorem, po weterynaryjnym objeździe. I tak stoję w sali wykładowej – i opowiadam, jak było. „Wspaniale leczył". Dobrze wiedzieć.

Biegnę do metra, a na stacji Ratusz Arsenał dosiada się kobieta ciut młodsza ode mnie. Ruszamy, bacznie mi się przygląda. W końcu startuje: „Eliza?". Ja, że owszem. „Kinga, pamiętasz mnie, przyjeżdżałaś z tatą do nas, do krów". Coś mi świta. Uzgadniamy, że stawy i dwa wilczury w obejściu. „Jak nasz pies zdychał, twój ojciec płakał". „Uhm". „Wiesz, ja teraz to rozumiem, ale wtedy mama mówiła, że trzeba dobić. A twój tata próbował leczyć. No, do czasu. Ale on się tymi psami zajmował jak ludźmi". „Owszem". „Mama mówiła, że jest dziwny. A ojciec go lubił". „Nu, dobrze". „I sorry, żeśmy się z ciebie naśmiewali". „Kiedy?". „Jak byliście z ojcem u nas. Brat zaczął, że to jest ten poświrowany doktor, ten od naszego psa, no pamiętasz...". „Kiepsko". „Nie chciał go uśpić. Brat uważał, że twój stary ma nie po kolei". „Zapewne". „A potem żeśmy ci wrzucili czapkę do stawu i kazali wyłowić". „Aaa, pamiętam". „Nie popłakałaś się. Brat powiedział, że to zawody dla Kąckich, dziwaków. Ale to nie jest tak". „Spokojnie. Śmialiśmy się potem z tego przecież". „Pamiętasz?". „Owszem. Obróciłam to w żart. Trochę mnie to kosztowało, ale z dobrym skutkiem". „Twój tato zabrał psa". „Tak. I oddał go naszym znajomym". „Rozumiem". Milczymy, trzymając się rury w wagonie metra. „Przejęłaś lecznicę?". „Nie – odpowiadam – piszę, uczę". „O! Piszesz?". „Co nieco". Uśmiecha się: „Wiesz co, Kącka, wy to jednak jesteście...". „No nie da się ukryć". „Ten twój ojciec chyba leczył tak, jak ty piszesz". Śmiejemy się. Centrum. „Wychodzę tu. No to trzymaj się, Kącka. Może tę czapkę żeśmy wrzucili do tego stawu nie tak bez sensu". „W sensie?" – pytam. „No, może się wyczuwa, że ktoś jednak inaczej będzie nadawał, nie wiem. Brat może miał nosa". „Może miał". „Z tą czapką". „Ze wszystkim".

Przystanek Stawki, wybiegam z tramwaju. Cumuję na ławce wśród bloków przy klombach. Zadbane rabatki, sznyt spółdzielczy, piękne kwiaty. Wyciągam telefon, dzwonię. Po chwili w horyzoncie ławki pojawia się starsza z grymasem protestu: „Pani się rozsiada". „Ę?" – odpowiadam, nie przerywając rozmowy. Jest wściekła: „Pani się rozsiada. Rozsiada się". A, więc to zarzut. Przerywam rozmowę i pytam, czy nie wolno. „Pani jest stąd?" – z akcentem na ostatnie. „Nie". „To się nie rozsiadać. Proszę iść na cudze". Znaczyliśmy terytorium.

Park Promenada. Księżyc nad nim niemal w pełnej tarczy. Przeszywająca biel, widoczna z każdego kąta społecznego ogrodu. Krążę ze słuchawkami w uszach, przysiadam. Obok para z grubsza dwudziestolatków. On: „Nie sfinansuję, mam zasady". Ona: „Tak, i ja to rozumiem. Ja się w sumie zgadzam. Rodzice też. No, tak chcą. I jakby ja rozumiem. Ale czy ty mnie nie zostawisz?". „Nie, no muszę wziąć odpowiedzialność. Jeśli oni też wezmą". „Kto?". „No twoi rodzice". „Ale za co?". „Za ciebie. Okazałaś się nieodpowiedzialna, to teraz będziemy oczekiwali wsparcia z ich strony, najmniej wynajmu, dla dziecka". „W Warszawie?! Ich nie będzie stać...". „To ich problem". „Ale ty jesteś, no, starszy ode mnie o prawie dwadzieścia lat!". „Wiedziałaś o tym". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl c7a4904b88

NAUKA

JĘZYK PRZODKÓW

LAURA SPINNEY, PISARKA NAUKOWA:

Pięć tysięcy lat temu grupa kilkudziesięciu tysięcy pasterzy rozprzestrzeniła się po Europie i Azji, gdzie wcześniej żyło kilka milionów ludzi. W jakiś sposób narzuciła tubylcom swój język.

KASPER KALINOWSKI: Imię najwyższego boga to jedno z najbardziej uderzających podobieństw w wielu językach. To podobieństwo nieprzypadkowe?

LAURA SPINNEY: Sankryckie *Djaus Pitar*, greckie *Dzeus pater*, łacińskie *Iuppiter* czy staroangielskie *Tiu*. Przykładów jest wystarczająco dużo, by wzbudzać zaciekawienie i wykluczyć przypadek.

Gdy przyjrzymy się określeniom pochodzącym z bardzo odmiennych języków, zaczynamy odnosić wrażenie istnienia jakiegoś „spisku". Jeśli ktoś jest ciekawy świata, zaczyna drążyć temat i odkrywa, że nawet odległe języki są ze sobą spokrewnione. Wiemy to dzięki żmudnej pracy językoznawców i filologów, trwającej od kilku stuleci. Oczywiście języki cały czas zapożyczają od siebie słowa i idee, więc samo podobieństwo nazw czy opowieści nie musi oznaczać pokrewieństwa, ale lingwiści mają metody, by to rozróżnić.

Jakie inne słowa najczęściej zdradzają to wspólne pochodzenie?

Często są to te odnoszące się do rzeczy fundamentalnych dla nas, które pozostają niezmienne przez tysiąclecia. W swojej książce [„Proto. Jak nasz prajęzyk dotarł na krańce świata" – red.] piszę o tzw. stabilnej podstawie słownika, która obejmuje liczebniki, części ciała czy pojęcia takie jak powietrze, woda, wiatr, niebo, noc lub dzień. Te słowa były kluczowe dla komunikacji od początków istnienia gatunku *Homo sapiens*.

To również słowa „konserwatywne", tzn. przekazywane z pokolenia na pokolenie w niemal niezmienionej formie, prawdopodobnie ze względu na ich wagę. Dobrym przykładem są określenia oznaczające gwiazdę. W języku sogdyjskich kupców na Jedwabnym Szlaku w Azji Środkowej mówiono *stare*, Islandczycy określali gwiazdę jako *stjarna*, a Odyseusz powiedziałby po starogrecku *aster*. Te określenia wywodzą się ze praindoeuropejskiego **h2ster-*. Tak właśnie mogła brzmieć gwiazda w języku, którym posługiwano się od 5 do 4 tys. lat temu i który nigdy nie został zapisany.

Jak możemy badać język, który wyginął przed wynalezieniem pisma? Skąd wiemy, jak brzmiały słowa?

Język praindoeuropejski jest w pewnym sensie hipotetyczny. Wszystko w jego historii jest kwestią prawdopodobieństwa, a nie pewności. Musimy jednak jakoś wyjaśnić te uderzające podobieństwa między językami używanymi na ogromnych obszarach świata.

Nawet w starożytności istniały pokrewne języki na dwóch krańcach Eurazji – języki celtyckie i sanskryt. Lingwiści uważają, że podobieństwa w słowach nie są tylko zapożyczeniami, ale wskazują na wspólnego przodka języków. Wyjaśnienie ich rozprzestrzenienia to wielkie wyzwanie intelektualne, zwłaszcza że najstarsze zapisane języki indoeuropejskie, jak hetycki, greka czy łacina, już 2-4 tys. lat temu wykazywały wyraźne pokrewieństwo.

Pismo wynaleziono mniej więcej wtedy, gdy posługiwano się językiem praindoeuropejskim, ale jego użytkownicy – koczownicy ze stepów – go nie używali. Była to wówczas umiejętność

eprasa.pl c7a4904b88

CPA MEDIA / ALAMY / BE&W

Esfandijar, bohater perskiego eposu „Szahname", którego można było zranić wyłącznie w oczy, zabija smoka. Manuskrypt z XIV w.

zarezerwowana dla elit w Mezopotamii czy Chinach.

Dziś istnieje ponad 400 żywych języków indoeuropejskich, a tysiące innych wyginęły w ciągu ostatnich pięciu tysiącleci. To największa rodzina językowa świata – niemal co druga osoba na świecie posługuje się dziś jakimś językiem indoeuropejskim.

W ostatnich dekadach językoznawcy otrzymali trochę nieoczekiwanie nowe narzędzie badawcze: analizy DNA. Pokazują one pokrewieństwo poszczególnych populacji, co pozwala nam wnioskować na temat przyczyny podobieństwa języków, którymi się te populacje posługiwały. Skończyły się więc czyste spekulacje – i pojawiły twarde dowody.

DNA to niezwykle cenny, choć pośredni dowód, ponieważ język i geny nie zawsze wędrują razem. Jednak większość badaczy zgadza się, że migracja jest głównym motorem zmian językowych. Kiedy ludzie się przemieszczają i rozdzielają, ich dialekty ewoluują w różne strony, stając się osobnymi językami. W świecie bez pisma, u ludzi, którzy nieustannie się przemieszczali, ten proces był jeszcze szybszy niż współcześnie.

Analiza starożytnego DNA to nowa technologia – nauczyliśmy się je odczytywać dopiero w ciągu ostatnich dwóch dekad. Wcześniej obawiano się zanieczyszczenia próbek współczesnym materiałem, ale genetycy znaleźli sposób, by odróżnić zdegradowane, stare DNA od nowego, współczesnego. To zrewolucjonizowało wiedzę o prehistorii, czyli czasach, z których nie mamy żadnych zapisków. Dzięki DNA i archeologii możemy śledzić losy ludzi, ich sieci handlowe czy powiązania rodzinne. Zestawiając to z danymi lingwistycznymi, uzyskujemy znacznie pełniejszy obraz przeszłości.

Genetyka pomogła rozstrzygnąć spór o pochodzenie języka praindoeuropejskiego?

Tak. Jeszcze ćwierć wieku temu dominowały dwie teorie: anatolijska i stepowa. Pierwsza mówiła, że rolnicy z terenów dzisiejszej Turcji przynieśli ten język 8 tys. lat temu, wraz z rewolucją neolityczną, która tam się rozpoczęła. Teoria stepowa mówiła, że to język koczowników (pasterzy) z terenów dzisiejszej Ukrainy i Rosji, którzy ruszyli na wschód i zachód 5 tys. lat temu.

Około 10 lat temu badania DNA wykazały, że 5 tys. lat temu doszło do masowej wymiany puli genowej w Europie. Migracja koczowników ze stepu miała głęboki wpływ na populację kontynentu, co wzmocniło teorię stepową. Zgadzało się to również z szacunkami lingwistów, według których język praindoeuropejski nie mógł być starszy niż 5 tys. lat, bo języki ewoluują szybko. Większość badaczy uznała zatem teorię stepową za poprawną.

Jak grupa koczowników, licząca najwyżej dziesiątki tysięcy osób, narzuciła swój język populacji Europy szacowanej na 7 milionów? Pisze Pani, że to to trochę tak, jakby Włosi w Nowym Jorku na początku XX w. sprawili, że całe miasto zacznie mówić po włosku, a przecież to oni nauczyli się angielskiego.

Dekadę temu dominowała teoria o czystej przemocy i ludobójstwie, co tłumaczyłoby wspomnianą wymianę genów u mieszkańców Europy. Dziś jednak szukamy bardziej subtelnych wyjaśnień.

Jedną z hipotez jest seria pandemii, które mogły zdziesiątkować rolników w Europie, otwierając nowo przybyłym pasterzom drogę na wyludnione obszary. Inna teoria mówi o atrakcyjności stylu życia koczowników – ich sieci społeczne, handel, małżeństwa i cały „pakiet kulturowy" mogły być na tyle pociągające, że tubylcy dobrowolnie przejmowali ich język i idee.

Dyskusje na temat pochodzenia języków przypominają debaty na temat ewolucji, w której wiemy, że dochodziło do krzyżowania się różnych grup i przepływu genów. Badacze ewolucji człowieka mówią też o tzw. populacjach widmo, które identyfikujemy tylko na podstawie genów – zauważając u kogoś ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ **domieszkę obcego, nieznanego DNA – a nie kości czy wyrobów kulturowych. W językoznawstwie jest podobnie? Mamy „języki widma”?**

Zdecydowanie tak. Szacuje się, że w całej historii ludzkości mogło istnieć nawet pół miliona języków. Dziś zostało ich mniej niż 7 tys. Warto zauważyć, że ok. 10 tys. lat temu, w przeddzień rewolucji rolniczej, na świecie żyło około 10 milionów ludzi, którzy posługiwali się mniej więcej 10 tys. języków. Każdy z nich miał niewielką liczbę użytkowników, zazwyczaj od 1 do 2 tys. osób.

Większość języków zniknęła bez śladu, bo nie zostały zapisane. Nasze metody rekonstrukcji języków pozwalają sięgać tylko około 10 tys. lat wstecz – a to kropla w morzu dziejów *Homo sapiens*. Do tego w okresie powyżej 10 tys. lat trudno odróżnić dziedziczenie od zapożyczeń. Jednak nawet w ramach rodziny indoeuropejskiej wiemy o językach, które wyginęły, a ich istnienie wykrywamy pośrednio.

Dlaczego „języki widmo” musiały istnieć? Np. w praindoeuropejskim słowo „stopa” brzmiało **ped-*, w grece *podi*, w łacinie *pes*. W angielskim, podobnie jak w grece, pojawia się „o” zamiast „e” – *foot*. Ten ślad widać w grupie wyrazów oznaczających zwierzęta z dużymi stopami: w niderlandzkim *pad* (ropucha), irlandzkim *pata* (zając), walijskim *pathew* (popielica) pojawia się samogłoska „a” zamiast „e”. Ponieważ nie znamy języka indoeuropejskiego, który dokonałby takiej zmiany, wnioskujemy, że musiał istnieć jakiś „język widmo” w zachodniej Europie, który to zrobił i przekazał te słowa jako zapożyczenia, zanim sam wymarł.

Sytuacja z sukcesem języków indoeuropejskich jest niezwykła, zwłaszcza że inne potężne języki, jak sumeryjski czy akadyjski, zanikły. Czy sukces ten mógł wynikać z roli kobiet? Pojawiają się badania sugerujące, że to kobiety były depozytariuszkami wiedzy technologicznej i to one mogły być kluczem do „indoeuropeizacji” Europy.

Kobiety zdecydowanie odegrały kluczową rolę. Choć uważa się, że we wczesnych fazach ekspansji to głównie młodzi mężczyźni przesuwali granice i brali za żony lokalne kobiety, to dzisiejsze języki indoeuropejskie nie są „czyste” – to hybrydy.

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

LAURA SPINNEY jest pisarką i popularyzatorką nauki. Współpracuje z „National Geographic”, „Nature”, „The Economist” czy „The Guardian”. Autorka m.in. książek o pandemii grypy hiszpanki oraz języku praindoeuropejskim – ta ostatnia („Proto”) ukazała się właśnie w Polsce nakładem Znak Horyzont.

Kiedy koczownicy wjeżdżali ze stepów do gęstych lasów Europy, trafiali do zupełnie nowej flory i fauny. To miejscowe kobiety uczyły ich nazw nowych roślin i zwierząt, sposobów polowania czy gotowania. Całe słownictwo związane z naturą mogło pochodzić od nich. Co więcej, kobiety, nawet te wzięte do niewoli, przekazywały dzieciom swój język ojczysty wraz z wiedzą przodków. Ewolucja językowa odbywa się najszybciej u osób dwujęzycznych, więc pierwsze pokolenie dzieci z takich związków było w idealnej pozycji, by stworzyć nowy język.

Wspomina pani w książce o dziwnym powiązaniu słów „gość” i „wróg”. Co nam ono mówi?

Historia tych słów pokazuje znaczenie sieci społecznych koczowników, które były znacznie rozleglejsze niż te u osiadłych rolników. Mobilność wymagała spójności grupy, którą budowano przez opowieści i gościnność.

Angielskie słowa *guest* (gość) i *host* (gospodarz) pochodzą z tego samego praindoeuropejskiego rdzenia **ghostis*. Zawierał on w sobie koncept wzajemności: „Jeśli przejdziesz przez moją ziemię jako obcy, ugoszczę cię najlepiej jak potrafię, a ty w zamian ugościsz mnie, gdy ja będę u ciebie”. Ale łacińskie słowo *hostis* oznaczało też „obcego” lub „wroga” (stąd *hostility* – wrogość). Wszystko zależało od tego, jak potraktowało się przybysza – gościnność decydowała, czy obcy stanie się przyjacielem, czy nieprzyjacielem.

Czy rolnicy w Europie byli społeczeństwem zhierarchizowanym? Archeolożka Marija Gimbutas spopularyzowała pogląd, że tworzyli pokojowe matriarchaty.

Dzisiejszy konsensus naukowy jest taki, że rolnicy również tworzyli społeczeństwa patriarchalne, choć rola kobiet mogła być u nich inna. Gimbutas była wielką myślicielką i miała rację co do teorii stepowej pochodzenia języka praindoeuropejskiego, ale w kwestii matriarchatu prawdopodobnie się myliła. Tak właśnie działa nauka – dowody weryfikują teorie. Wiemy, że w czasie przybycia koczowników Europa rolnicza była w kryzysie – widać ślady przemocy, zmian klimatu i zarastania pól lasami. Możliwe, że wielu rolników dało się po prostu „uwieść” nowemu, mobilnemu stylowi życia, który pozwalał zostawić problemy za sobą.

Niektórzy określają język litewski „żywą skamieliną” lub wehikułem czasu. Jak blisko mu do sanskrytu czy języka praindoeuropejskiego?

To, że litewski jest niezmieniony od czasów praindoeuopejskiego, to w dużej mierze mit. Język ewoluuje zawsze, nawet jeśli nic się nie dzieje, choćby poprzez błędy dzieci uczących się mowy od rodziców. Jednak litewski zachował pewne uderzająco archaiczne cechy.

Genetyka rzuca nowe światło na ten temat: ok. 2000 r. p.n.e. ze zlewiska Dniepru ruszyła migracja, która rozdzieliła się na dwa strumienie – jeden poszedł na północ ku Bałtykowi, drugi na południe do Indii i Pakistanu. To dlatego litewski i sanskryt dzielą wspólny rdzeń słownictwa, co jest pięknym potwierdzeniem współpracy genetyki i lingwistyki.

Przykłady są fascynujące: litewskie *výras* – bardzo przypomina swój sanskrycki odpowiednik *vīrás* (mężczyzna/bohater), a litewskie *ugnìs* (ogień) to sanskryckie *Agni*. Ten sam rdzeń widać w łacińskim *ignis*.

A co z językami nieindoeuropejskimi w Europie, takimi jak baskijski, fiński czy węgierski?

Baskijski uważany jest za relikt języków pierwszych rolników, który prze-

eprasa.pl c7a4904b88

trwał w izolacji Pirenejów. Fiński, estoński i węgierski to z kolei rodzina uralska. To języki, które przybyły do Europy później niż indoeuropejskie, a ich korzenie sięgają prawdopodobnie głębokiej Syberii.

Podoba mi się termin, którego używa Pani pod koniec książki: „praindoeuropejska dusza". W czasie wizyty w Krakowie, po zobaczeniu Smoka Wawelskiego, analizowała Pani rolę opowieści o tych gadach w różnych kulturach. Może „indoeuropejską duszę" łączą właśnie opowieści?

Opowieści o smoku i pogromcy smoków to jedne z najstarszych historii ludzkości. Istnieje kontrowersyjna teoria, że wyszły one z Afryki wraz z pierwszymi ludźmi jako wspomnienie niebezpiecznych węży. Z czasem ewoluowały w fantastyczne stworzenia nawet tam, gdzie nie ma węży – np. na Alasce.

Inni uważają, że smok to po prostu uniwersalne ucieleśnienie zła. Strach przed wężami mamy zapisany głęboko w mózgu. W tradycji indoeuropejskiej pogromca smoków ma jednak specyficzną cechę – to „bohater ze skazą" (pięta Achillesa, oko perskiego bohatera Esfandijara czy znak w kształcie lipowego liścia na plecach Zygfryda z „Pieśni o Nibelungach"), który ginie wkrótce po zabiciu potwora.

Inna opowieść, o kowalu i diable, jest jedną z najstarszych zidentyfikowanych historii w tradycji indoeuropejskiej. Jej korzenie sięgają co najmniej 6 tys. lat wstecz. Według badaczy mitologii mogła zostać zainspirowana przez kowali z kultury warnańskiej na terenie dzisiejszej Bułgarii, którzy ówczesnym ludziom jawili się niczym alchemicy zdolni do przemiany kamienia w złoto pośród ognia i dymu.

Mit ten stał się fundamentem dla późniejszej historii o Fauście, opracowywanej przez takich autorów jak Christopher Marlowe, Johann Wolfgang von Goethe czy Thomas Mann. W XIX w. bracia Grimm zebrali w niemieckich wsiach wiele odmian tej historii, co pomogło lingwistom w jej późniejszej rekonstrukcji. To sugeruje, że pierwsi Indoeuropejczycy opowiadali zbliżoną wersję tego mitu.

Badania nad językiem są silnie upolitycznione. Każdy kraj chce być stolicą języka praindoeuropejskiego. Jak o nim pisać, by nie tworzyć kolejnych mitów?

Byłam świadoma tego upolitycznienia od początku zajmowania się tą tematyką. Jeśli nie będziemy mówić o tym, co pokazuje nauka, próżnię wypełnią czyste mity. Słynne powiedzenie lingwisty Maksa Weinreicha głosi, że „język to dialekt z armią i flotą". I to prawda, językiem narodowym zostaje mowa tych, którzy mają największe wpływy.

To ironiczne i tragiczne, że kolebka tych języków znajduje się dziś w strefie wojny, na pograniczu Ukrainy i Rosji. Moją rolą jest przekazywanie nauki taką, jaka jest dziś rozumiana, wraz z obszarami niepewności, i wyjaśnianie, dlaczego mity rosyjskich czy indyjskich nacjonalistów nie znajdują oparcia w faktach. Wojna oczywiście niszczy stanowiska archeologiczne, ale badania lingwistyczne i analiza materiałów z muzeów trwają nadal.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

REKLAMA

eprasa.pl c7a4904b88

KULTURA

W POSZUKIWANIU SIŁY

Umieszczając na Wawelu swoje najnowsze instalacje, Joanna Rajkowska musiała na nowo przemyśleć, kim jest i co robi jako artystka.

ALEKSANDER HUDZIK

eprasa.pl c7a4904b88

Pewnego dnia, chwilę przed siódmą rano Joanna Rajkowska stanęła na dziedzińcu Zamku Królewskiego na Wawelu. Brama była wciąż zamknięta, wokół żywej duszy.

– Stałam tak i czułam, jak to miejsce mnie przenika, jakby nagle zrobiło się cieplej, choć był to bardzo zimny poranek. Miałam wrażenie, że znikam.

Artystka, która w przeszłości stawiała palmę w centrum Warszawy, tworzyła „Pasaż Róży" w Łodzi czy „Minaret" w Poznaniu, traktuje to uczucie bardzo poważnie. Instynkt podpowiadający jej, w którym miejscu powinny pojawić się jej obiekty, uważa za swoje najważniejsze narzędzie pracy.

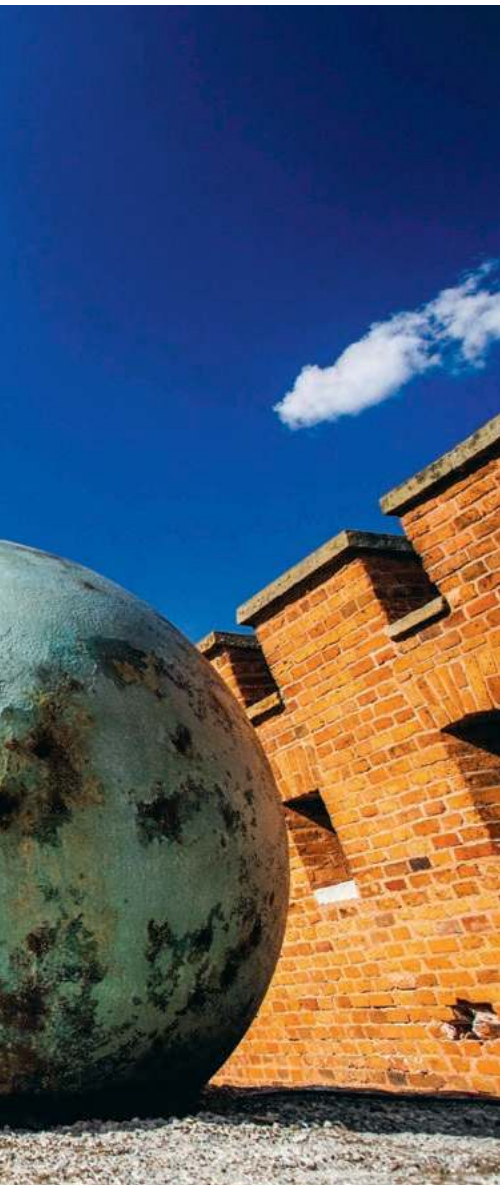

JEREMI DOBRZAŃSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Instalacja Joanny Rajkowskiej „Pisklę. Kos zwyczajny", metalowe ponaddwumetrowe jajo wydające dźwięki wykluwającego się ptaka.

A w przestrzeni takiej jak Wawel historia przeplata się z wiarą, władzą i polityką. Okazuje się, że ta siła oddziałuje także na sztukę. Dlatego umieszczając trzy prace na wzgórzu najsłynniejszego zamku w Polsce, Rajkowska musiała jeszcze raz przemyśleć to, kim artystycznie jest i co robi.

W domku

– Za każdym razem, gdy wracałam z Krakowa, powtarzałam, że to wzgórze ma w sobie jakąś niewiarygodną moc – mówi artystka, gdy spotykamy się w Warszawie. Zza grubych oprawek okularów wita mnie promienne spojrzenie. Jesteśmy na osiedlu Domków Fińskich. Drewniane, parterowe chatki, zbudowane w 1945 r., sprawiają wrażenie, jakbyśmy przenieśli się na wieś, choć w rzeczywistości od budynku rządowej administracji dzieli nas tylko Park Ujazdowski.

Furtka jest lekko uchylona, a w ogródku wyleguje się wielki pies, który ogonem zamiata przede mną trotuar i prowadzi do środka. W domu trwają warsztaty, na stole cerata, na niej ciasto, herbata, szare jutowe sznurki i drewniane koraliki wielkości oliwek.

– Te koraliki to daktyle, owoce palmy – mówi artystka, mając na myśli jedną ze swoich najsłynniejszych prac – sztuczne drzewo daktylowe ustawione w centrum Warszawy, nazwane „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich".

W pracowni towarzyszy jej kilka osób, każda z nich pracuje nad swoją kiścią paciorków. W kącie siedzą trzy dziewczyny, rozmawiające w języku, którego nie znam. Rajkowska daje mi kilka wskazówek. Palec tu – kładzie kciuk na drewienku – pętelka tu i druga – hop. W jej rękach wygląda to jak dziecinna zabawa, więc próbuję. Po pół godzinie, z krwawiącymi opuszkami i mizernym pęczkiem źle zasupłanych korali, pasuję.

– Dzięki i za to – odpowiada szczerze, patrząc na mój żałosny urobek. Tych korali potrzeba jeszcze dwanaście tysięcy.

Gdy wracam do pracowni dzień później, po warsztatach nie ma już śladu, nawet psy zniknęły. Rajkowska czeka na mnie w ogródku, gdzie na cokole stoi rzeźba przypominająca jedną z jej wczesnych prac z lat 90., „Miłość człowieka zwanego Psem".

– To nie moja rzeźba, stała tu, gdy się wprowadziliśmy – tłumaczy artystka, która od dwóch lat korzysta z zabytkowego domku jako pracowni. Chatka jest nieocieplana, w kaflowym piecu trzeba grzać elektrycznymi wkładami. – Ale i tak uważam, że to miejsce jest cudowne – dodaje. Sama zaaranżowała kominek, również elektryczny, ma tu warunki do rzeźbienia, stoły do rysowania i robienia kolaży. Dziś jest tu także mąż Joanny.

Andrew, Brytyjczyk, zajmuje się stolarką. Prowadzi też remont pracowni. Zanim zaczniemy wywiad, zdąży wrócić ze spaceru i opowiedzieć o tym, jak przez wiele lat razem z Rajkowską podróżowali między Polską a Anglią. – To zaledwie 17 godzin autem, żaden problem – opowiada z charakterystycznym poczuciem humoru.

Od kilku lat para mieszka w Polsce, dzieląc czas między Warszawę a kujawską wieś, na której kupili dom. To tam znaleźli psy, Węgla i Bajgla, które droczą się teraz pod stołem. Jeden z nich wygląda jak rasowy pies pasterski.

– To kundle – prostuje Rajkowska. – Jak ja. Jestem mieszanką skandynawskiej, czeskiej, francuskiej i żydowskiej krwi – mówi. Jej dziadkowie uciekli z Warszawy w czasie II wojny światowej, osiedlili się w Bydgoszczy, gdzie mieszkała przez dziewiętnaście lat. – To miasto nie odcisnęło na mnie żadnego śladu, może poza betonem, który widziałam wszędzie – mówi.

Najsłynniejsze prace artystki to właśnie te, w których sztuka koresponduje z architekturą miejską: palma, instalacja „Dotleniacz" czy wyłożony tysiącami lusterek „Pasaż Róży". Wśród jej dokonań nie warto szukać obrazów, choć to właśnie malarstwo studiowała w Krakowie u Jerzego Nowosielskiego. Profesora wspomina życzliwie, atmosferę studiów – niekoniecznie.

– W drugiej połowie życia czuję się bardziej wyzwolona niż w latach 90., gdy wydawało mi się, że należę do krakowskiej bohemy – tłumaczy.

Na rondzie

Lata 90. były zresztą czasem, w którym krakowska bohema ustępowała miejsca nowej fali artystów. Widzieli oni potencjał w sztuce krytycznie ↦

eprasa.pl c7a4904b88

↦ konfrontującej się ze społeczeństwem. Tak tworzyli Zbigniew Libera, Katarzyna Kozyra i Artur Żmijewski.

– I to ze Żmijewskim pojechałam w 2001 r. do Izraela. Podążałam za nim od kibucu do kibucu. Patrzyłam, jak pracował, jak rozmawiał z ocalałymi z getta i obozów – wspomina. Z podróży przywiozła poczucie, że Izrael to jądro konfliktu, a permanentna wojna tam to stan umysłu. Wtedy narodził się też pomysł na „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich": sztuczną palmę daktylową ustawioną na rondzie de Gaulle'a w Warszawie – tam, gdzie Aleje Jerozolimskie krzyżują się z Nowym Światem. Projekt miał nawiązywać do zawiłości polskiej historii, pokazywać inny świat i – kto wie – może przyszłość, w którą zmierzamy pochłonięci zmianami klimatycznymi.

– To miejsce stało się pocztówką Warszawy. Mieszkańcy i turyści spotykają się tam, protestują, maszerują – mówi Szymon Żydek, pracownik Muzeum Sztuki Nowoczesnej, który dba o to, by palmie nie działa się krzywda.

Gdy w 2008 r. Rajkowska odebrała Paszport „Polityki", w aklamacji usłyszała, że jest artystką umiejętnie ingerującą w krajobraz. Gdy wczesną jesienią zeszłego roku przyjechała na rozmowy wokół krakowskiej wystawy, nie miała jeszcze pojęcia, że przekształcanie krajobrazu miasta, choć żmudne, jest niczym w porównaniu z przekształcaniem miejsca takiego jak Wawel.

– Do Wawelu sztukę współczesną wprowadza się ostrożnie – tłumaczy kuratorka wystawy Bogumiła Wiśniewska. W zeszłym roku na zamku prezentowano obrazy Łukasza Stokłosy, rok wcześniej prace Marcina Maciejowskiego. – To jednak wszystko praca we wnętrzach. Ja chciałam zaangażować Wawel w innym stopniu i wyjść z sal w przestrzeń, która Wawel otacza: do dziedzińca, ogrodu.

Na dziedzińcu

Rajkowską ograniczała tylko wyobraźnia, a ta podpowiadała, że artystka znalazła się we właściwym miejscu.

– Czasem po prostu czuję, że przestrzeń, w której jestem, emanuje energią, która daje mi pewność, że to tu powinnam działać. Rozumiem wtedy Cézanne'a mówiącego, że wącha pejzaż. Ja też odczuwam go wówczas całą sobą – opowiada.

MAREK SZCZEPAŃSKI

JOANNA RAJKOWSKA:

Sztuka nie jest po to, żeby leczyć, tworzyć dialog. Sztuka to żywioł, którego nie da się wykorzystać w jednym celu.

Okazuje się jednak, że wyobraźnia sobie, a wymogi dawnego domu królów sobie.

– Zimą robiłyśmy kolejną wizytację. Mróz kilkanaście stopni, a my stoimy na dziedzińcu, nogi ślizgają się na bruku. Próbujemy ustalić, gdzie będą pokazywane moje prace. Cokolwiek zaproponowałam, okazywało się niemożliwe. Zrozumiałam, że powinnam, ale też chcę się dostroić, że sztuka gra tu jedynie rolę służebną. Wawel ma swoją aurę, która jest istotniejsza niż te parę obiektów, które przywiozłam. Chcę to uszanować.

Negocjowanie swojego miejsca w przestrzeni artystka trenuje od lat. W 2007 r. w Warszawie na Placu Grzybowskim tworzyła „Dotleniacz" – sztuczny staw na terenie dawnego getta, otoczony zielenią. Miejsce miało służyć mieszkańcom Woli do odpoczynku i rekreacji. Dziś opisano by je hasztagami #wytchnienie, #regeneracja, #odbodźcowanie. Wówczas jednak opisywano je raczej z niechęcią.

– Władze Warszawy nie chciały widzieć „Dotleniacza". Deweloperzy już ustawiali się w kolejce do budowania wokół placu nowych wieżowców, a urzędnicy na pomysł reagowali parskaniem: „Absurd, kaczuszki w środku miasta?" – wspomina Rajkowska, która, gdy mówi o politykach, rzadko gryzie się w język. Ostatecznie „Dotleniacz" po kilku miesiącach ustąpił miejsca sztucznej sadzawce, otoczonej betonem.

– Czujesz rozczarowanie? – pytam, wracając wspomnieniami do tamtego projektu.

– Ogromne. I do dziś jestem zdruzgotana tym, co w efekcie powstało na miejscu tej pracy. Ale wtedy zobaczyłam, że artystycznym gestem można wprawić materię w ruch. Nagle mieszkańcy poczuli polityczną siłę, zaczęli domagać się tego, by ich miejsce wyglądało inaczej, walczyć o swoje, choć ostatecznie zwyciężyła wizja miasta korporacyjnego.

W ziemi

Na Wawelu nie dyskutuje się z politykami, dyskutuje się z historią. I to w niej Rajkowska znalazła sprzymierzeńca. Po wydreptaniu dziesiątek tysięcy kroków, sprawdzeniu każdego krzaka oleandru, którego nie da się przyciąć, każdego bratka, którego nie można nadepnąć, natrafiła na miejsce, w którym historia łączy się z życiem. To archeologiczne wykopki. Tam, wśród średniowiecznych znalezisk i śladów pracy współczesnych badaczy, postanowiła zakopać pierwszą z trzech prac.

„Wkrótce wszystko się zmieni" to wielokomorowa geoda, czyli przestrzeń masy skalnej naturalnie wypełniona kryształami ametystów, pochodząca z Brazylii. Artystka po raz pierwszy zobaczyła taki kamień w 2013 r. w Vale do Amanhecer (Dolinie Świtu), miejscu, w którym ludzie oddają cześć najróżniejszym bóstwom – od chrześcijańskich świętych po kryształ zawieszony w piramidzie.

Na Wawelu ciała królów, relikwie świętych i meble władców sąsiadują z kamieniem – czakramem, który zgodnie z tym, co pisała teozofka Wanda Dynowska, ma być miejscem emitującym energię. Czy to prawda? Nie wiadomo. Wiadomo, że dzięki kamieniowi pojawia się tu zupełnie inna grupa pielgrzymów. Zespół Tool podczas pierwszej trasy koncertowej w Polsce postanowił przed wystę-

eprasa.pl c7a4904b88

JEREMI DOBRZAŃSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Instalacja Joanny Rajkowskiej „Wkrótce wszystko się zmieni", geoda wypełniona ametystami zakopana w sąsiedztwie rezerwatu archeologicznego Zamku Królewskiego na Wawelu.

pem złożyć wizytę magicznemu kamieniowi.

– Magia jest w sztuce Rajkowskiej obecna w wymiarze, który nazwałabym poszukiwaniem siły – mówi krytyczka sztuki Anda Rottenberg. Religia pojawia się u niej częściej jako element socjologiczny niż duchowy. W 2009 r. na terenie dawnej fabryki papieru w Poznaniu artystka chciała postawić minaret. Po dwóch latach projekt upadł. Poszło o podział wpływów między władzami miasta a Kościołem. Coś jednak z niego przetrwało – filozofka Monika Bobako umieściła niezrealizowany projekt na okładce książki zatytułowanej „Islamofobia jako technologia władzy".

Pytam Rajkowską o to, czy podjęłaby się raz jeszcze realizacji projektu.

– Tak – odpowiada krótko.

Na palmie

Sztuka Rajkowskiej, poruszając najważniejsze tematy, potrafi budzić kontrowersje. Anka Wandzel w książce „Sztuka przetrwania" przypomina projekt „Trafostacja". W nieużywanej od lat stacji energetycznej miało powstać miejsce swobodnego rozwoju roślin, mchów i trzmielin.

Okazało się, że w „Trafostacji" mieszkali bezdomni, których trzeba było na potrzeby pracy przesiedlić. Ten moment w twórczości Rajkowskiej pokazuje brutalne zderzenie wizji artystycznej i realiów realizowania projektów, w których często brakuje czasu, budżetu, wreszcie: siły na realizację.

W „Trafostacji" realizuje się to, co w sztuce Rajkowskiej wydaje się naprawdę ważne: życie poza ludźmi. Takie jest też jajo zrobione z gipsu akrylowego, druga z trzech prac pokazywanych na Wawelu. Jest ono zarazem formą rzeźby i instrumentem. To pudło rezonansowe wzmacniające nagranie, które artystka puszcza mi w trakcie rozmowy. Z abstrakcyjnych dźwięków wyłania się stukot. Jakby coś próbowało przebić ścianę. To wykluwające się pisklę kosa.

– Nowe życie – podnosi się z krzesła Rajkowska i unosząc ręce, mówi: – Kosmos!

– Wiesz, że co roku na palmie ptaki wiją gniazdo? Pierwszy raz zobaczyłam je, gdy musieliśmy wymieniać liście. Wyjechałam wówczas na wysięgniku pod sam jej czubek i usłyszałam ptaki, które wiły tam swój dom – mówi. Gniazdo z palmy jest trzecią pracą pokazywaną na wystawie wawelskiej.

Na moment wracamy do tego, że wczoraj supłaliśmy figi na palmę. Do tego, że w ostatnich latach stała się ona świadkiem historii – to tam spotykaliśmy się, by protestować w obronie praw kobiet czy klimatu. W liście, który palma „napisała" do mieszkańców Warszawy, Joanna Rajkowska i kurator Sebastian Cichocki ślą pozdrowienia i życzą, by drzewo uważało na silne wiatry i na „anioła historii". To nawiązanie do pracy Paula Klee „Angelus Novus", w której anioł – zamiast przeszłości – widzi katastrofę.

– Ten anioł historii przyszedł tu wczoraj – mówi artystka. – Wiesz, że jedna z dziewczyn, które siedziały przy stole, wyemigrowala w ramach protestu z Izraela, a dwie pozostałe to ocalone z Gazy? Pracowały razem – mówi. Nie wiedziałem, milczymy.

Po chwili pytam: – Czy to jest właśnie sens sztuki – tworzenie takich miejsc, w których możliwy jest dialog?

– Ale jaki dialog? – pyta zdziwiona Rajkowska. – Jak ja mam rozumieć kogoś, kto przeżył ludobójstwo w Gazie? Jak mam się porozumieć? Sztuka nie jest od tego. Sztuka nie jest po to, żeby leczyć, żeby tworzyć dialog. W ogóle nie jest „po coś". Sztuka to jest żywioł, którego nie da się wykorzystać w jednym celu. On się może do czegoś przydać, ale nie da się go ani zaprojektować, ani zrealizować. Sztuka jest jak słońce: warto zamknąć oczy i poddać się fali energii.

© ALEKSANDER HUDZIK

Instalacje Joanny Rajkowskiej można oglądać na Wawelu do 4 października.

eprasa.pl c7a4904b88

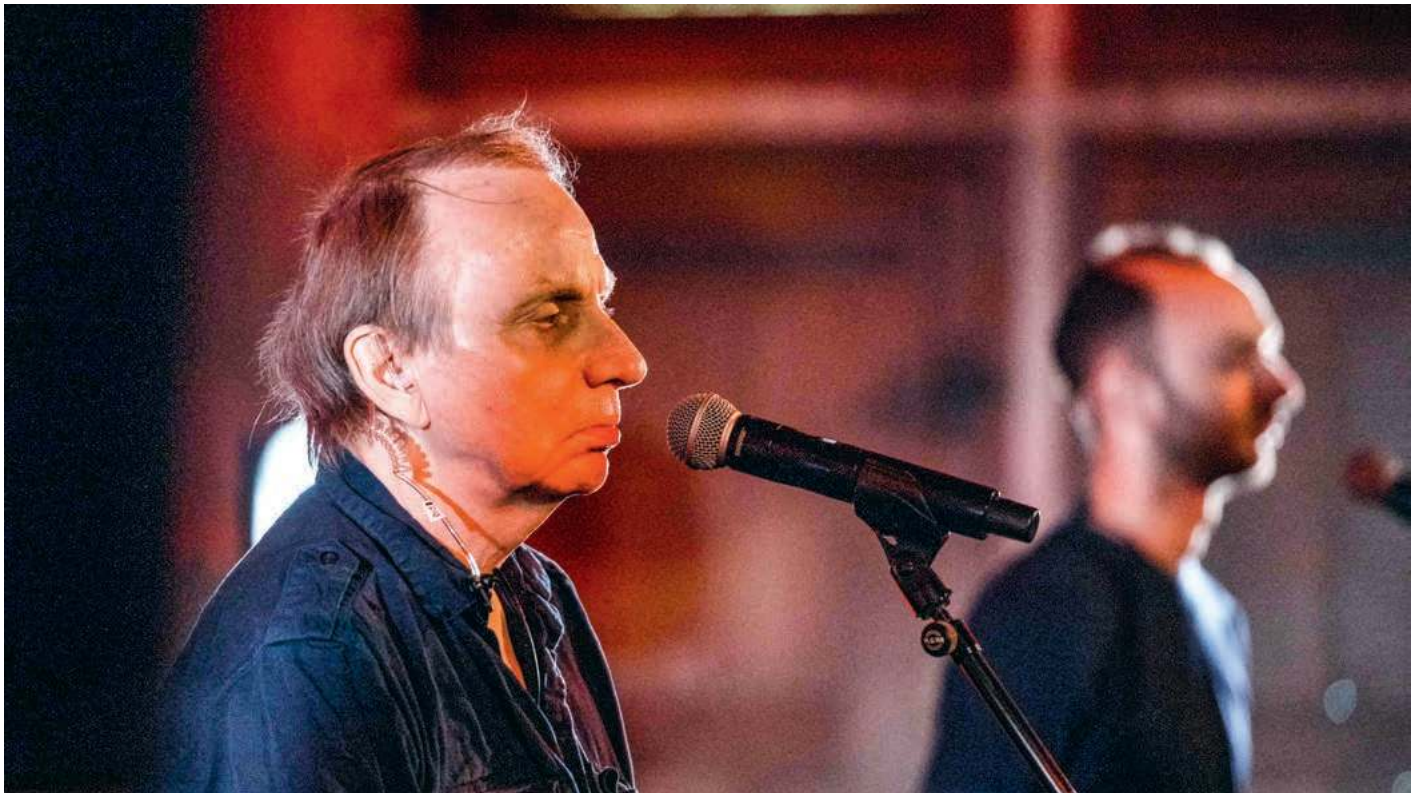

Michel Houellebecq wykonuje swoje wiersze do muzyki Romaina Ponceta podczas festiwalu we francuskim Bourges, 20 kwietnia 2022 r.

Ostatnie chwile szczęścia

OLGA ŻYMINKOWSKA

FRANCJA | Michel Houellebecq zjawia się na scenie cały na niebiesko. Jego recytacje tworzą styl, który w Polsce podrobić mógłby jedynie Andrzej Poniedzielski.

Siedemdziesiąte urodziny francuskiego pisarza Michela Houellebecqa przynoszą dwie niespodzianki – album muzyczny „Souvenez-vous de l'homme" („Pamiętajcie o człowieku"), promowany właśnie w paryskiej La Scali, oraz siódmy już tom poetycki „Combat toujours perdant" („Wiecznie przegrywana walka"), wydany w prestiżowej oficynie Flammarion.

Jak łatwo się domyślić, nie ma tu mowy o radosnym „sto lat" dla jubilata. To raczej łabędzi śpiew autora „Uległości", który żegna się z literaturą, a przede wszystkim – z Europą, jaką znamy.

Miękki rap

Houellebecq przypomina o sobie cztery lata po „Unicestwianiu", powieści, którą można uznać za częściową syntezę jego dorobku, i trzy lata po niechlubnej aferze pornograficznej opisanej w eseju „Kilka miesięcy mojego życia". Jednocześnie powraca do końcówki lat 80., swoich poetyckich źródeł. To wtedy bowiem wykształcił się jego literacki i filozoficzny ton – katastroficzny, funeralny, zdominowany lekturą Arthura Schopenhauera i H.P. Lovecrafta (o tym pierwszym napisze w jednym ze zbiorów: „O tobie chcę myśleć, Schopenhauerze, kocham cię").

Paryska La Scala to niepozorna scena przy Boulevard de Strasbourg, gdzie przed wiekami istniała kawiarnia teatralna, w której przesiadywał między innymi Marcel Proust. Później działało tu kino art déco sympatyzujące z francuską Nową Falą, zmienione potem – zgodnie z duchem czasów – na multipleks porno. Dzisiaj to nowoczesna scena widowiskowa z charakterystycznym ciemnobłękitnym oświetleniem. Trudno o lepsze miejsce na powrót gwiazdy literackiej i muzycznej estrady (to jego trzeci album po prawie dwudziestoletniej przerwie).

Michel Houellebecq – zwierzę niesceniczne, zjawia się cały na niebiesko, z łysiną widoczną jedynie z teatralnych balkonów. Obok niego, z czerwoną gitarą Stratocaster, w nieśmiertelnej dżinsowej koszuli, kompozytor i muzyk Frédéric Lo. Za nimi ekran, na którym przewijają się apokaliptyczne obrazy i fragmenty wideo. Ktoś z publiczności niemal po każdej piosence wykrzykuje: „merci, Michel!".

Matowe recytacje Michela, jego *voix blanche* i charakterystyczna sztywność sceniczna, tworzą styl, który w Polsce podrobić mógłby jedynie Andrzej Poniedzielski (gdyby odjąć, rzecz jasna, wszystko, co kabaretowe). Dzięki Frédéricowi Lo (muzykowi współpracującemu wcześniej między innymi z Danielem Darkiem, którego „Psalm 23" grany jest także podczas koncertów w La Scali) „Souvenez-vous" to płyta pod względem muzycznym różnorodna, sprawnie balansująca między jednoznacznie pesymistyczną wymową tekstów.

eprasa.pl c7a4904b88

Od stylistyki *cold wave* do czystej „elektroniki" – Lo nie przeszkadza tekstom Houellebecqa wybrzmieć z dobitną beznamiętnością, którą sam autor określił w rozmowie z Frédéricem Beigbederem „miękkim rapem". Tylko raz po raz, choć jedynie na żywo, głos Michela łamie się pod ciężarem wzruszenia, w kawałkach najbardziej patetycznych (w „Czekając na najeźdźcę" czy „Samotnych krainach", które rozpoczynają się dźwiękiem kościelnego dzwonu).

Zmierzch Zachodu

Problem w tym, że wiersze pozbawione muzyki, przeniesione na kartkę papieru, tracą swój impet i całkiem przyjemny dekadencki koloryt. Co więcej, zmieniają się w monotonne skargi bezzębnego wieszczka, który opłakuje „zmierzch Zachodu".

Już same tytuły wcześniejszych tomów wskazują na ciągłość tej tematyki: „Rester vivant" („Pozostać żywym", 1991), „La Poursuite du bonheur" („Pogoń za szczęściem", 1991), „Le Sens du combat" („Sens walki", 1996), „Renaissance" („Odrodzenie", 1999), „Configuration du dernier rivage" („Układ ostatniego brzegu", 2013) i – jedyny przetłumaczony na polski – „Non réconcilié" („Niepogodzony. Antologia osobista 1991-2013").

W tym zestawieniu ostatni zbiór, „Combat toujours perdant", pobrzmiewa najbardziej katastroficznie. Połowa utworów na płycie, do której muzykę skomponował Frédéric Lo, pochodzi właśnie z tej książki.

Znajdziemy w nich zresztą dokładnie to, do czego Houellebecq zdążył już nas przyzwyczaić. Odmienia się tu przez wszystkie przypadki słowa: „koniec", „wyczerpanie", „łzy", „samotność", „zniknięcie", „śmierć", „Zachód", „nicość", lecz także (tym razem tylko w książce) „ślina" czy „ejakulacja".

Rozciągają się przed nami typowo houellebecqowskie scenerie: autostrada, opuszczone pola, krajobrazy po katastrofie, reklamy agentów nieruchomości, ulice Trzynastej Dzielnicy Paryża. Zdaje się więc, że wierni fani ucieszą się ze znajomych motywów, a nieprzekonani nadal skarżyć się będą na płaskość stylu, mizoginię i reakcjonizm Houellebecqa. W tym jednak rzecz, że o ile płyta broni się muzycznie i tekstowo, to książka pozostawia uczucie znużenia zbyt dobrze znanymi hasłami o bliskiej apokalipsie.

Cała naprzód

Houellebecq w każdym wierszu ma do powiedzenia z grubsza to samo (w skrócie: „koniec będzie smutny", jak pisze wprost w inaugurującym tekście o beckettowskim tytule „Końcówka"). Ponadto, oby autoironicznie, czyni z siebie proroka, który „zna nasze bolączki" i zachęca do pójścia jego śladem. Dyskurs apokaliptyczny ma rzecz jasna długą brodę. Zawsze jednak jego najbardziej podejrzanym elementem była postać proroka czy – jak określał to Kant – „mistagoga", tego, kto uzurpuje sobie władzę odkrywania tajemnic przyszłości.

Nie wiadomo też, jakiego rodzaju katastrofę się tu zapowiada (nuklearną, technologiczną, demograficzną, ekologiczną czy metafizyczną), zdaje się, że raczej wszystkie po trochu – ważne, że można przemienić lamentacje w całkiem dopracowane aleksandryny.

Houellebecq rymuje i rytmizuje bowiem ze szczególnym zapamiętaniem. W rozmowach przyznaje nawet, że w poezji „rym i dźwięk poprzedza sens". Okazuje się jednak, że to, co sprawdza się w piosenkach (powtarzalność fraz, nieskomplikowane rymy), niekoniecznie działa na papierze.

Niemniej skrywają się tu gratki dla profesorów literatury (w końcu Houellebecq to laureat Nagrody Goncourtów). Wyczuwa się fascynację turpistyczną wyobraźnią Baudelaire'a, a także rewolucyjną energią Rimbauda (szczególnie w wykrzyknieniach: „Naprzód! Trzeba ruszać"). Widać subtelne mrugnięcia w kierunku Alfreda de Musseta, a nawet Fernanda Pessoi (zdanie „Śmierć nie wystarcza" z końcowego wiersza jest odwrotnością słynnej frazy portugalskiego poety: „Literatura jest najlepszym dowodem na to, że życie nie wystarcza").

Niektórzy z francuskich krytyków dopatrzyli się również nawiązań do, zapomnianego już nieco, Charlesa Péguy, poety z przełomu XIX i XX wieku, który z antyklerykała stał się pod koniec życia, podobnie jak Huysmans (o którym po części jest „Uległość"), piewcą chrześcijaństwa.

Oczy pełne łez

W tomie znajdziemy fragmenty cokolwiek dwuznaczne, gdy chodzi o stosunek do religii. W jednej z czterech próz poetyckich Houellebecq pisze o absurdzie wiary w zmartwychwstanie ciała (rozumianej tu naiwnie – jako proste przywrócenie do życia). Pod koniec pada jednak zagadkowe wyznanie: „Ilekroć klękamy przed grobem, żywimy w głębi tę niewypowiedzianą nadzieję". To skłoniło niektórych francuskich krytyków do pisania o „ni świętym, ni bohaterze", który roztkliwia się nad ludzką nędzą, nie tracąc przy tym „nadziei wbrew nadziei".

Ten czułostkowy motyw przenika zresztą twórczość Houellebecqa już od pewnego czasu. Wystarczy przypomnieć sentymentalne (jak na „króla mizantropów") opisy prostych, epikurejskich radości umierającego bohatera czy kontemplacji piękna zachodzącego słońca w ostatniej powieści, by zrozumieć, że autor „Unicestwiania" stępił nieco ostrze krytyki, a nawet trochę spotulniał.

Kiedy czytamy o „oczach pełnych łez" na wieść o końcu Zachodu, niedarowanej „ostatniej chwili szczęścia", o „zagubionym na autostradzie" czy nawet o tytułowej „przegranej walce", zaczynamy wierzyć, że Houellebecqowi faktycznie żal jest współczesnego Europejczyka. Gdyby dodać do tego jego ostatnie publiczne wypowiedzi przeciwko eutanazji (jako o rozwiązaniu „wstecznickim" i „dekadenckim"), można nabrać podejrzeń, że mamy do czynienia z samozwańczym obrońcą chylącej się zachodniej cywilizacji.

W wywiadzie udzielonym niegdyś dziennikowi „Le Monde" Houellebecq przyznał nawet, że „literaturę tworzy się z dobrych uczuć". Wydaje się jednak dokładnie odwrotnie – to w najbrutalniejszych fragmentach „Cząstek elementarnych" Houellebecq bywał najszczerzej współczujący, „humanistycznie" dekadencki.

Lepiej nie będzie

W każdym razie zostaliśmy ostrzeżeni – jest źle i lepiej nie będzie. Świat, jaki znamy, kończy się, przychodzi nowy, zapewne barbarzyński. Chrześcijaństwo nie dało rady, nadzieja na duchowe odrodzenie Europy to zaklinanie rzeczywistości, do którego coraz mniej jesteśmy zdolni.

Ugrzęźliśmy w beckettowskim „nic się nie da zrobić". Gorzej nawet – coraz mniej nad tym rozmyślamy. Kiedyś czekaliśmy na Godota, dzisiaj już tylko na Michela. Ten ostatni jednak przychodzi, obwieszcza złą nowinę, roni łzę i schodzi ze sceny.

Merci, Michel! ©

GUILLAUME SOUVANT / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl c7a4904b88

Co znaczy czas

HELLE HELLE, PISARKA:

ROZMOWA | Łatwo pomyśleć, że literatura, by była czymś wyjątkowym, musi opowiadać o czymś wyjątkowym. Jest wręcz odwrotnie.

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Twoja najnowsza powieść opowiada o rozwodzie.

HELLE HELLE: Dorastałam w rodzinie, w której rozwody były na porządku dziennym, sama jestem rozwódką. Być może dlatego moja bohaterka, Hafni, świętuje swoje rozstanie. To dla niej wyprawa, coś w rodzaju pielgrzymki.

W Danii mamy zresztą na taki rodzaj wędrówki specyficzne określenie: *smørrebrødsrejse* (podróż kanapkowa). Jadłeś kiedyś takie duńskie kanapki, odwiedzając przyjaciół w Kopenhadze?

Cóż, muszę przyznać, że nie przepadam za kanapkami.

Moja Hafni ma 48 lat. Była długo w związku i teraz, gdy dzieci dorosły i wyprowadziły się z domu, sama wreszcie może odejść. Planowała tę podróż od dawna. Małżeństwo zawarła, bo nie umiała odmówić – ktoś ją poprosił, więc się zgodziła. Rozwód to dla niej ulga, ale też coś więcej.

Na początku myśli, że to będzie święto, ale z czasem uświadamia sobie, że rozwód to także strata, ponieważ nie wszystko da się zabrać ze sobą. Nie można zabrać rodzinnego Bożego Narodzenia, dźwięku deszczu uderzającego o szyby domu, wielu przedmiotów...

Ale przede wszystkim tego, co nieuchwytne, nie da się zabrać. I właśnie to Hafni odkrywa w czasie swojej podróży.

I co z tego dla niej wynika?

Nie piszę książek dlatego, że mam odpowiedzi. Piszę, bo mam pytania. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, czym jest rozwód, ale potrafię napisać książkę o kobiecie, która go przeżywa. Hafni myśli, że rozwód będzie świętem, ale z biegiem czasu wszystko się komplikuje, okazuje się, że to także żałoba. Jej podróż miała trwać siedem dni, ale przeciąga się do ponad czterech tygodni.

Przez wiele lat marzyłam, żeby sama odbyć taką podróż. Ale różne rzeczy mnie przed tym powstrzymywały. Przede wszystkim – strach przed byciem zbyt samotną w pokojach hotelowych, wieczorami... Ale tak naprawdę to także lęk przed obecnością innych ludzi. Jestem jak Hafni – trudno byłoby mi odmówić, gdyby ktoś poprosił, by usiąść przy moim stoliku.

Hafni to Ty?

Pisarze wysyłają bohaterów w swoją podróż. Chcemy, by oni robili to, czego my się boimy. Taka jest siła wyobraźni.

Łatwo pomyśleć, że literatura, by była czymś wyjątkowym, musi opowiadać o czymś wyjątkowym. Ale to niekoniecznie prawda. A może jest wręcz odwrotnie – dla mnie Hafni jest postacią wyjątkową i odważną, bo decyduje się na taką podróż. A jednocześnie jest „zwyczajną osobą". Jej sposób bycia w świecie jest konkretny, więcej obserwuje, niż rozmyśla.

Dlaczego?

Gdy próbuję pisać o uczuciach, to po prostu nie działa. To nie jest dobra literatura. Odkryłam to już dawno. To nie jest kwestia decyzji – po prostu inaczej nie umiem. Nie potrafię pisać o „życiu wewnętrznym", ale potrafię opisać to, co ktoś robi, mówi, widzi, słyszy.

Moja literatura jest bardzo konkretna, tak samo jak moja percepcja świata. Nie potrafię myśleć w kategoriach abstrakcyjnych. To dlatego byłam tak fatalną studentką i uczennicą, bo wszystko rozumiałam zbyt dosłownie. Jeśli nie mogę czegoś dotknąć, poczuć, zobaczyć – to tego nie rozumiem.

W książce jest zresztą lista słów, które są dla Hafni problematyczne. To są słowa, których sama nie rozumiem, które mylę, które są dla mnie zbyt abstrakcyjne. Długo miałam z tym problem – przez lata bałam się, że ktoś odkryje, że nie jestem „prawdziwą pisarką", bo nie potrafię formułować wielkich myśli. Ale dziś już się tego nie wstydzę. Napisałam wiele książek właśnie w ten sposób – i to wystarczy.

Kiedy czytam literaturę – długie, pięćsetstronicowe powieści z mnóstwem opisów, refleksji, przemyśleń i uczuć – potrafię się bardzo wzruszyć. Ale nie zawsze wszystko do mnie dociera.

I co wtedy?

Nie wiem. Pisanie wiąże się co prawda z planowaniem, ale to, co najciekawsze, pojawia się, gdy nic nie jest zaplanowane. Nie da się wymyślić dobrej powieści – trzeba ją napisać. Tylko w pisaniu można ją stworzyć. Tak pracuję.

Czuję, że osoby w moich książkach są bardzo blisko mnie i mojego sposobu bycia w świecie. Ponieważ mam w głowie refleksje, uczucia, myślę o różnych rzeczach, to osoby, które pojawiają się w moich książkach, podzielają je. Ale nie tracę czasu na próbę tłumaczenia, czym te uczucia i refleksje są.

Jesteś za to kolekcjonerką przedmiotów.

Nie interesuje mnie pisanie o szklance wody tylko dlatego, że ona tam jest – w świecie przedstawionym. Jeśli ktoś w książce pije wodę, chcę wiedzieć, dlaczego. Muszę czuć, że to ma sens, że coś znaczy. Może ta woda... Wiesz co, jestem jednak fatalna w objaśnianiu tego. Czy możesz zadać łatwiejsze pytanie?

Opowiedz o Hafni.

Ona jest bardzo skupiona na tym, jak inni ją postrzegają. Nieustannie się zastanawia, czy dobrze coś powiedziała, czy dobrze się zachowała. I przez to wszystko się jej wymyka. Mówi nie to, co trzeba. Nieustannie daje się wciągać w różne sytuacje, mówi „tak" zamiast „nie", idzie w kierunkach, w których iść nie planowała.

I to też jest charakterystyczne dla moich książek – ich fabuła często odzwierciedla sposób, w jaki piszę. Jest w tym dużo czekania, błądzenia, skrętów, których wcześniej nie przewidziałam i nie planowałam. Proces pisania powieści odzwierciedla strukturę samej książki.

Co masz na myśli?

GREGERS TYCHO / RITZAU SCANPIX / FORUM

eprasa.pl c7a4904b88

HELLE HELLE (ur. 1965) to jedna z najważniejszych współczesnych pisarek skandynawskich. Od lat 90. opublikowała trzynaście tytułów – powieści, opowiadań i krótkiej prozy. Styl pisarki opisywany jest jako zwięzły, precyzyjny i pozbawiony ozdobników – przywodzi na myśl tzw. technikę góry lodowej, kojarzoną z prozą Ernesta Hemingwaya, Kjella Askildsena czy Raymonda Carvera. Była trzykrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej, otrzymała też szereg prestiżowych nagród literackich, m.in. Nagrodę Krytyków (2005), Złoty Laur (2012), Nagrodę im. Pera Olova Enquista (2009) oraz Wielką Nagrodę Duńskiej Akademii (2016). Jej twórczość wpisuje się w nurt minimalistycznego realizmu. Tak też jest napisana jej ostatnia książka, „Hafni mówi" (Filtry), opowiadająca o krótkiej podróży głównej bohaterki, którą odbywa ona po rozwodzie.

Moja najnowsza powieść to część większego uniwersum literackiego, nad którym pracuję. Zaczęło się od książki z 2018 roku, która opowiada o 16-letniej dziewczynie i jej matce. Mieszkają razem w małym miasteczku na południu Danii. I nagle coś zaczyna się rozpadać, bo matka dostaje diagnozę – choroba terminalna.

Po wydaniu tej książki przez jakiś czas myślałam, że to koniec mojego pisania. Miałam poczucie, że wykorzystałam większość materiału. Pisałam już sporo o tym miasteczku – o samotnych matkach, młodych ludziach.

Ale potem zdałam sobie sprawę, że ta powieść może być nowym początkiem. Od tamtej pory opublikowałam trzy kolejne książki osadzone w tym samym uniwersum. Wszystkie krążą wokół tej dziewczyny w różnych odsłonach – czasem jest narratorką, czasem niewidzialnym głosem w pierwszej osobie, czasem tą, do której Hafni mówi. Głównymi bohaterami są również młodzi ludzie z jej liceum.

W moich książkach – zwłaszcza ostatnich czterech i tych, które jeszcze nadejdą – staram się, by forma, język, gramatyka, perspektywa narracyjna, sam akt opowiadania – stawały się częścią treści.

Starasz się pisać bardzo prostym językiem.

To podstawowe pytania przed rozpoczęciem pisania każdej powieści: czas teraźniejszy czy przeszły? Pierwsza osoba czy trzecia? Skąd się opowiada? Staram się podejmować te decyzje tak, by sam sposób narracji – lub fakt, że piszę w czasie teraźniejszym – coś mówił o treści powieści.

Co to mówi o powieści?

Jeśli powieść jest napisana w radykalnym czasie teraźniejszym, wszystko dzieje się „teraz" – nawet wydarzenia z wczoraj czy sprzed roku. To potrafi doprowadzić do dziwnych sformułowań w książce. Ale ten radykalny czas teraźniejszy to także rodzaj uporczywego trwania. On przecież odmawia przeszłości, która oznaczała, że ktoś musi odejść, umrzeć. Czas teraźniejszy to desperackie „teraz", próba zatrzymania czasu.

Tworzysz sobie inny, równoległy świat?

Ale to wcale nie tak. Wręcz przeciwnie. Chcę, żeby czytelnik poczuł, co czas znaczy. Dlaczego wolelibyśmy nierzadko odrzucać przeszłość. Ja, jako pisarka, też wyparłam przeszłość w swoim warsztacie, bo kiedy piszemy w czasie przeszłym, to znaczy, że jest już „po wszystkim". A to potrafi być nużące.

To życie bez nadziei?

Chyba po prostu życie. Ono ma swoje prawa. Czas ma swoje prawa.

Kiedy jesteś młody, matka nieustannie robi ci awantury o to, że zostawiasz brudny nóż na krawędzi zlewu. Albo przez całą młodość słyszysz, że jajka należy gotować w jak najmniejszej ilości wody, żeby nie marnować zasobów – ale nie słuchasz i na złość nalewasz pełny garnek, po brzegi. A potem się wyprowadzasz i zaczynasz robić dokładnie to, co twoja matka.

Potem masz chłopaka, mieszkasz z nim, on nagle zostawia nóż na zlewie, a do tego trzyma pomidory w lodówce. Możecie się o to kłócić przez lata. Aż w końcu się rozwodzicie i nagle sam zaczynasz trzymać pomidory w lodówce. Tak po prostu jest.

© Rozmawiał KRZYSZTOF KATKOWSKI

eprasa.pl c7a4904b88

Pamięć do złych słów

ADAM WOŹNIAK

DEBIUT | Powieść Anny Jadowskiej jest najciekawszym literackim obrazem rodzinnych dysfunkcji od czasów „Gnoju" Wojciecha Kuczoka.

Debiut książkowy Anny Jadowskiej nie będzie wielkim zaskoczeniem dla tych, którzy uważnie śledzą dokonania artystki na wielkim ekranie. Jako scenarzystka i reżyserka Jadowska doceniana jest często za „słuch do dialogów" i warsztat literacki, które sprawiają, że słowa w jej filmach brzmią autentyczniej i ciekawiej niż w wielu innych krajowych produkcjach.

To o tyle ważne, że absolwentka łódzkiej filmówki chętnie mierzy się z tym, co trudne do wyrażenia – mówi o traumie, trudnych relacjach z rodzeństwem czy rodzicami, a także o samotności. Jej debiutanckie „Dotknij mnie" było osadzoną w Łodzi z początku XXI w. filmową opowieścią o biedzie, braku perspektyw, ale przede wszystkim o „niemiłości" – wyuczonym dystansie, który skazywał bohaterów na emocjonalne ubóstwo. W nagrodzonym na FPFF w Gdyni „Teraz ja" (2005) obserwowaliśmy ucieczkę z domu wiodącej pozornie szczęśliwe życie Ani, a główna bohaterka „Dzikich róż" (2017) zmagała się z trudem samotnego macierzyństwa.

Wszystko to powraca w wydanej właśnie „Dadziei". Na pierwszy rzut oka przypomina ona klasyczny kryminał. Akcja rozgrywa się w końcówce lat 80. Położoną w pobliżu niemieckiej granicy wsią wstrząsa informacja o brutalnym zabójstwie nastoletniej Kamili. Sprawca pozostaje nieznany, co budzi grozę i prowokuje mieszkańców do niekończących się domysłów oraz plotek na jego temat. Wbrew oczekiwaniom we wsi nie pojawia się jednak żaden wszystkowiedzący detektyw, który krok po kroku doprowadzi czytelnika do rozwiązania zagadki.

Jadowska wybiera zdecydowanie mniej standardową drogę – w roli narratorki obsadzona zostaje nastoletnia dziewczyna, dla której śmierć koleżanki i śledztwo bywają tylko pretekstem do snucia opowieści o trudach dorastania na prowincji, samotności, przemocy rówieśniczej i braku wsparcia ze strony dorosłych. Im dalej w las, tym bardziej jasne staje się więc, że stawką tej opowieści nie jest wcale odpowiedź na klasyczne pytanie „kto zabił?". Ważniejszy jest szerszy obrazek, z którego dowiadujemy się, dlaczego w chwilach słabości narratorka mogła fantazjować o tym, że to ona znalazła się na miejscu ofiary – że ktoś, choćby morderca, zwróci na nią uwagę.

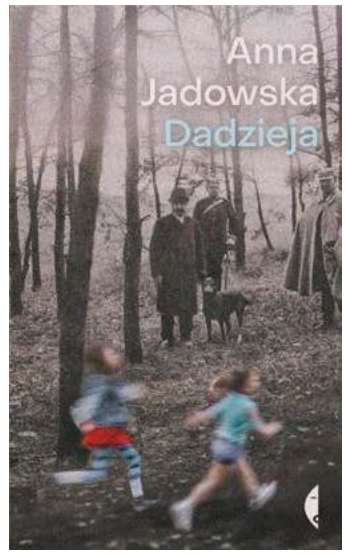

Anna Jadowska,
DADZIEJA,
Czarne, Wołowiec 2026

Dziewczyna nie ma w życiu łatwo. Mieszka z pogrążoną w depresji, nieporadną matką oraz młodszą siostrą, która bardzo uprzykrza jej życie. Jest biednie, smutno, bez krzty czułości. Wszystko, co dobre, dzieje się tu w snach lub marzeniach. Dziewczynki tęsknią za swoimi ojcami, choć ich nie znają. Matka zaś pragnie odmiany losu, ale sił starcza jej tylko na przelotne romanse. Trzeba przyznać, że Jadowska opowiada o tym wszystkim z dużym wyczuciem – stawia na prawdopodobieństwo i psychologiczny światłocień, a nie na szokujące sceny. Może dlatego „Dadzieja" wydaje mi się najsmutniejszą z polskich książek o dysfunkcjach rodzinnych od czasów „Gnoju" Wojciecha Kuczoka.

Swoje robi też znakomita stylizacja językowa. Autorka pisze prosto – językiem, którym rzeczywiście mogłaby posługiwać się rezolutna nastolatka, a jednocześnie potrafi stworzyć bogaty, przekonujący świat. Łatwość, z jaką wchodzimy do głowy dorastającej dziewczyny, bywa wręcz krępująca – Jadowska pozwala czytelnikowi nie tyle zrozumieć, ile poczuć część wstydu związanego z menstruacją, męskim spojrzeniem czy zmieniającym się ciałem. Opisy tych doświadczeń są zupełnie pozbawione dydaktyzmu, a zarazem tak poruszające, że książkę poleciłbym ojcom córek w każdym wieku.

Jak zwykle u Jadowskiej ważne są wątki rodzinne. Autorka ciekawie ilustruje poplątaną sieć relacji między matką, córkami i ich – wyobrażonymi – ojcami. Na uwagę zasługuje chyba przede wszystkim nakreślony zaledwie kilkoma pociągnięciami pióra portret najstarszej z kobiet. W książce niewiele jest opisów matki – jej postać powstaje w głowie czytelniczek i czytelników z niedopowiedzeń i fantazji córek.

Poza wszystkim „Dadzieja" jest także czymś w rodzaju psychologicznego antykryminału – opowieścią o próbie stworzenia spójnej narracji na temat przeszłości. Obok fragmentów przypominających pamiętnik nastoletniej dziewczyny w tekście pojawiają się co jakiś czas akapity sugerujące, że nad tym tekstem jest jeszcze ktoś – dojrzała kobieta, która próbuje zrozumieć swoją przeszłość. Bez powodzenia.

„Niczego, co się wydarzyło, nie mogę już ułożyć w całość" – czytamy w pierwszym zdaniu. I tak pozostaje do końca – rzeczywistość okazuje się bogatsza, bardziej złożona, a przeżyte traumy nie dają się zamknąć w ciasnej klatce języka. W tym sensie debiut Jadowskiej przypomina ostentacyjnie dziurawy pomost pomiędzy światem słów i minionych zdarzeń. ©

eprasa.pl c7a4904b88

WO
1 zł za pierwsze 4 tyg. dostępu*
*Pierwsze **3 płatności po 1 zł każda**. Potem każda następna płatność to 25 zł. Propozycja dotyczy pakietu Wysokie Obcasy.
Opłaty pobierane automatycznie z góry co 4 tygodnie. Możesz zrezygnować z autoodnowienia. Więcej informacji znajdziesz po kliknięciu „SUBSKRYBUJ".

REKLAMY

"Radio Kraków
Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl
LUDZIE
_____, których chce się słuchać.

eprasa.pl c7a4904b88

KODEKS KRASIŃSKICH
(box 3 CD), piętnastowieczna muzyka z Krakowa, PWM

Usłyszałem ten tytuł, właściwie adres bibliograficzny, wypowiadany z nabożną czcią, zaraz na pierwszym roku muzykologii: „Kras 52". To rękopis z Biblioteki Krasińskich, w swej urozmaiconej treści zawierający też najważniejsze źródła muzyki polskiej epoki Władysława Jagiełły: obok arcydzieł Ciconii lub Estienne'a Grossin, także utwory powstałe na miejscu. Religijne i świeckie, w tym takie przeboje, jak „Magnificat" czy „Hystorigraphi aciem" Mikołaja z Radomia, albo „Cracovia civitas". Do niedawna – o dziwo – niezarejestrowany jako kompletny zbiór. Dokładnie do ubiegłego roku, gdy Agnieszka Budzińska-Bennett wraz z międzynarodowymi zespołami Dragma i Peregrina wreszcie utrwaliła całość, a wydawnictwo Raumklang wydało ją na płytach, PWM natomiast w formie książki (esej historyczny i komentarz edycyjny, biografie kompozytorów, transkrypcje nutowe utworów, wyczerpujący komentarz wykonawczy i tłumaczenia tekstów). W nowoczesnym opracowaniu, wzorcowo. Rzecz została też prędko doceniona: doroczna nagroda „Gramophone" to jedno z najważniejszych możliwych wyróżnień. W International Classical Music Awards publikacja doszła do ścisłego finału, krótkiej listy trzech tytułów. Niestety nie wygrała, choć na pierwszym miejscu ostatecznie znalazła się inna wyjątkowo piękna płyta „Maria. Josquin in Leipzig". Wykonanie „wzorcowe" oznacza, że wszystko jest tu właściwie idealne: aranżacje wykonawcze, głosy i śpiew, instrumenty. Oto punkt odniesienia dla wszystkich, którzy teraz wezmą się za ten repertuar. A także moment relaksu dla tych, którzy zmęczeni są infantylnym, biesiadnym teatralizowaniem żakowskiej pieśni „Breve regnum", tyle razy męczonej przy najróżniejszych okazjach. Dla odmiany – idąc tropem eksperckiej wiedzy – dostaną implikowany przez fakturę głos *fauxbourdon*. W efekcie Kraków Jagiellonów: dwór, uniwersytet, liturgie – brzmią w pełni swego splendoru.

© JAKUB PUCHALSKI

KUCHNIA OD KUCHNI
Muzeum Inżynierii i Techniki w Krakowie, wystawa czynna do końca 2027 r.

KRZYSZTOF KALINOWSKI / MIT

„Tu się wlewało zupę, tu wkładało mięso, a tu ziemniaki" – dziadkowie objaśniają Oli, wnuczce w podstawówkowym wieku, jak działała poczwórna menażka – jeden z setek przedmiotów, naczyń i urządzeń na wystawie „Kuchnia od kuchni" w krakowskim Muzeum Inżynierii i Techniki. Dziewczynka ogląda butelki po mleku: „Naprawdę zostawiali je wam pod drzwiami?". Wystawa sięga czasów przedwojennych, ale koncentruje się na PRL, z jednej strony okresu rewolucji i technologicznej, i społecznej – z drugiej czasu, gdy do wszystkich tych garnków emaliowanych, maszynek, mikserów, weków i szybkowarów nie było co włożyć (jednym z pierwszych eksponatów są puste haki z mięsnego). Design tabliczek w supersamie kontrastuje z opakowaniami zastępczymi, teoria ergonomii kuchni frankfurckich z praktyką ślepej kuchni. Ale to nie wystawa o komunie. Zwiedzających prowadzą opisy i definicje pojęć, funkcji i procesów (momentami popadające w definiowanie oczywistości), tworząc coś między studium antropologii codzienności a jej instrukcją obsługi. Przede wszystkim to jednak spotkanie technologii z duchologią i spacer przez cywilizacyjną rewolucję, której świadkami były kuchnie naszego dzieciństwa. Nie chodzi tylko o higienę i czystość – dość pomyśleć, ile tu zmieniło wyparcie węglowych Westfalek przez gazowe Predomy i zastąpienie przez Javox i Ludwika piasku czy skorupek jaj, którymi Mieczysław Rościszewski w poradniku „Pani domu" z 1904 r. radził przemywać butelki. Rzecz przede wszystkim w ilości i rozmaitości całego tego cudownego retro szpeja, który wyewoluował z pięciu na krzyż (tasak, warząchew, tłuczek, mątewka, cedzak) utensyliów kuchni naszych babć. Część o przyborach i urządzeniach otwiera gablota z najprostszymi otwieraczami, przesiewakami, mikserami na korbkę, dalej mnożą się ikony dobrobytu: malaksery, elektryczne maszynki do mięsa, sokowirówki. „Co to był prodiż?" – woła sprzed gabloty Ola. Jest też pierwszy Thermomix z... 1998 r. A lata 90. to jeszcze jedna rewolucja: worki na śmieci i pożegnanie z kubłem wyściełanym gazetą. Rewolucja dwuznaczna, bo te worki z polietylenu same będą się rozkładać 400 lat. Dziadek Oli trochę narzeka, że spodziewał się więcej: „Tych gratów to my mamy w domu dwa razy tyle" – mówi. Ale przygoda z tą wystawą polega właśnie na wyprawie we wspomnienia, w którą – jak do przedziwnego skansenu – koniecznie trzeba zabrać dzieci czy wnuki.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

DODATEK SPECJALNY **Poznańska Nagroda Literacka** i towarzyszący jej Festiwal Fabuły

a w nim omówienia nominowanych i nagradzanych książek

eprasa.pl c7a4904b88

Pisarze nie mogą podsycać wojny

JAKUB SZYMCZAK

POWIEŚĆ Z IRANU | Doulatabadi jest uważany za najważniejszego pisarza języka perskiego. Dziś możemy go czytać po polsku.

Decydując się na publikację pierwszej w Polsce książki Mahmuda Doulatabadiego, wydawca nie mógł wiedzieć, w jakich okolicznościach nastąpi jej premiera. „Idąc na rzeź" trafia do nas w momencie, gdy na ekranach telewizorów i telefonów oglądamy płonący Teheran.

To jednak nie tylko – jak reklamuje wydawca – książka antywojenna, w dosadny sposób opisująca brutalność walk w dramatycznie trudnych warunkach. To też opowieść o sile propagandy i historii, którą ludzie piszą wokół wojny, by usprawiedliwić jej prowadzenie.

Bohaterowie Doulatabadiego stoją po dwóch stronach wojny iracko-irańskiej z lat 1980-1988. To zapomniany na Zachodzie rozdział historii najnowszej, a jednocześnie niezbędny element zrozumienia dzisiejszego Iranu i jego polityki. W 1980 r. Saddam Husajn zaatakował osłabiony rewolucją Iran. Irak liczył na poszerzenie terytorium i kontrolę nad strategiczną rzeką Szatt al-Arab, tymczasem został wciągnięty w wieloletnią wojnę.

Iran był wówczas krajem słabszym, technologicznie zacofanym względem sąsiada. Ogromnym kosztem ludzkim – zginęły setki tysięcy żołnierzy – udało mu się jednak obronić. W tych warunkach wykuwała się duża część elity Republiki Islamskiej. Do dziś na ulicach irańskich miast znajdziemy zdjęcia ofiar – w większości młodych mężczyzn – uważanych za męczenników, a wojnę określa się świętą obroną. Mahmud Doulatabadi odziera tę wojnę ze świętości.

Urodzony w 1940 r. autor jest dziś uważany za najważniejszego współczesnego pisarza języka perskiego. Nie jest jednak, mówiąc eufemistycznie, fetowany przez

Mahmud Doulatabadi
IDĄC NA RZEŹ
tłum. Mateusz Kłagisz, ArtRage 2026

władze swojego kraju. Nigdy nie zaznał państwowych honorów – przeciwnie: był prześladowany, również przez władze przedrewolucyjne. W latach 80., gdy sceptyczni wobec zmian intelektualiści byli na celowniku państwa, napisał swoją najbardziej znaną na Zachodzie powieść, „Pułkownika". I schował ją do szuflady.

Opowiada ona o wojskowym, który musi zidentyfikować i odebrać ciało córki, torturowanej i zabitej przez rewolucjonistów. Dzieło nigdy nie zostało oficjalnie wydane w Iranie. W tłumaczeniu (m.in. na angielski i niemiecki) trafiło szczęśliwie poza granice kraju. Rodacy Doulatabadiego mają ograniczone możliwości, by zapoznać się z dziełami, które krytycznie patrzą na zmiany w Iranie po 1979 r. Do tego rodzaju twórczości zaliczyć można powieść „Idąc na rzeź".

Autor zaczyna od uniwersalizacji konfliktu, ale bardzo szybko dowiadujemy się, gdzie jesteśmy i kim są „nasi". Poznajemy niewielki oddział gdzieś na froncie, blisko irackiej granicy. A właściwie tylko tę jego część, która przetrwała. Większość żołnierzy zaginęła, próbując przedostać się do zbiornika z wodą. Pozostało ich dwóch: przełożony i szeregowy. A może trzech, bo mają też jeńca, z którym nie wiadomo, co zrobić. Próba zachowania resztek godności w traktowaniu więźnia przysporzy im wielu dylematów i kłopotów. Nie mają żywności ani wody. Jeśli ruszą do zbiornika, najpewniej zestrzeli ich snajper. Jeśli nie, zginą w upale, broniąc wzgórza.

Po drugiej stronie granicy, w również nieprzyjaznym, choć znacznie bardziej komfortowym miejscu – irackim obozie jenieckim – siedzi pisarz. Tamtejszy wojskowy w licznych rozmowach stara się mu wyjaśnić powagę zadania, które przed nim stawia: ma napisać o okrucieństwie przeciwnika tak, jak życzy sobie tego armia. Wojenna propaganda wszędzie działa podobnie.

Powieść szeroko podejmuje temat wspólnej historii obu narodów, sięgając nawet do obrazów kalifatu Abbasydów z pierwszych wieków islamu i wpływowego irańskiego rodu Barmakidów z abbasydzkiego dworu. To nawiązanie do bogatej tradycji regionu jest też widoczne w sposobie opowiadania, licznych impresjonistycznych i magicznych momentach, z wieloma odwołaniami do islamskiej historii i mitologii.

Sam Doulatabadi sporadycznie angażuje się w politykę. W 2009 r. wystąpił na wiecu Mir-Hosejna Musawiego, kandydata obozu reformistycznego w wyborach prezydenckich. „Zagłosuję na tego, kto ma odwagę i siłę stworzyć jedność narodu" – mówił w krótkim przemówieniu. Zielony ruch Musawiego dał dużej części Irańczyków nadzieję, którą rządzący brutalnie zdławili.

Chociaż nie znamy stanowiska Doulatabadiego wobec aktualnego konfliktu z USA i Izraelem, można założyć, że wielokrotnie wyrażane w dziełach i poza nimi poglądy antywojenne niewiele się zmieniły. „Jestem pisarzem, panie majorze. A pisarze nie mogą podsycać wojny. Zwłaszcza wojny, której sensu wciąż nie rozumiem!" – wykrzykuje na kartach powieści pisarz do wojskowego. W tym przynajmniej miejscu można go utożsamić z Doulatabadim. ©

eprasa.pl c7a4904b88

Naprawdę zły

ANITA PIOTROWSKA

KINO | „Michael" usiłuje przywrócić Michaelowi utraconą niewinność. Efekt? Generyczne dzieło z serii „narodziny gwiazdy". Jackson zasłużył na coś więcej.

„Ale ja już mam rodzinę" – odpowiada młodziutki Jackson showbiznesowym rekinom, którzy chcieliby go zagarnąć pod swoją kuratelę. Jest już wtedy kurą znoszącą złote jajka i w tych szczerych, czy może rozbrajająco naiwnych słowach, zawiera się cały jego ówczesny dramat: wiecznego dziecka, które prawie wszyscy wokół, włącznie z ojcem, usilnie próbują w tym dziecięctwie zatrzymać.

I mogła powstać z tego pasjonująca, uniwersalna w swej wymowie historia wielkiego upupienia (syna, mężczyzny, artysty), która wkrótce odbije w dużo bardziej śliskie rejony władzy i przemocy, nawet jeśli domniemanej. Mamy tymczasem doskonale obły, zatrzymany w księżycowym półkroku „biopik".

Niby o wyrwaniu się z rodziny, choć ostatecznie to rodzina Jacksonów, kontrolująca powstawanie tego filmu, bierze tutaj wszystko. Aczkolwiek, jak to czasem bywa w takich pluszowych historiach, sporo w „Michaelu" tropów, które uruchamiają wyobraźnię, jakim filmem mógłby on być, gdyby aż tak bardzo go nie ocenzurowano i wygładzono.

Moglibyśmy na przykład dostać opowieść o marzeniach i aspiracjach wielodzietnej rodziny Afroamerykanów z Indiany, dla których przemysł rozrywkowy jest jedyną, może poza sportem, ścieżką wybicia się w społeczeństwie, ciągle naznaczonym rasowymi podziałami.

Widzimy w filmie Antoine'a Fuqua, jak patriarcha rodu Joe Jackson (w tej roli wyrazisty Colman Domingo) próbuje za pomocą ostrej tresury spełnić swój amerykański sen i wylansować swoje rozśpiewane dzieci. Jego najmłodszy i najzdolniejszy synek dobrze przyswoi sobie tę lekcję, popadając w jeszcze większą obsesję doskonałości, tak w morderczej pracy, jak i w wyglądzie. Swoją drogą, operacja plastyczna nosa, która zapoczątkuje ciąg fizycznych transformacji Michaela, na ekranie też ma swoje źródło we władzy ojca, przezywającego swą latorośl „Nochalem".

W tym właśnie miejscu rodzinna opresja mogłaby się wpisać w szerszy kontekst – oto mały Michael posiada co prawda złoty głos i gibkie ciało, ale jest zbyt „afro", żeby zostać królem popu. Musi więc się „wybielać", aczkolwiek w dorosłym życiu coś tam będzie przebąkiwał o „czarnej dumie".

Gdyby rodzina Jacksonów nie miała aż takiego wpływu na kształt filmu, począwszy od scenariusza Johna Logana aż po obsadę (Michaela gra, bardzo zresztą mimetycznie, jego bratanek Jaafar Jackson), moglibyśmy zobaczyć historię o skomplikowanym człowieku – a nie tylko o ofierze ojcowskiej przemocy i skrzyżowaniu geniusza z aniołem czy kosmitą.

Bez przerwy podkreśla się tutaj odmienność i wyjątkowość Jacksona, czyli Piotrusia Pana, który w dorosłym wieku buszuje po sklepach z zabawkami, uwielbia lody i stare filmy, a jego posiadłość przypomina małe zoo. Bo skrzywdzony przez ludzi Michael najbardziej kocha zwierzęta, pluszaki, no i oczywiście dzieci, które odwiedza w szpitalach i bezinteresownie obsypuje prezentami.

Tak jakby nic nie zwiastowało (film kończy się w 1988 r.) późniejszych oskarżeń o zbyt poufałe relacje z małymi chłopcami. Jakby Nibylandia nigdy nie została skażona, choćby samymi wątpliwościami. Ot, „stary malutki" uciekający we własny świat – takim wizerunkiem karmieni byliśmy przez całe dekady. I nie wszystko da się wytłumaczyć tym, że rodzina chłopca, który miał być seksualną ofiarą Michaela, wymusiła na producentach korektę gotowego materiału zdjęciowego.

„Michael" usiłuje przywrócić Michaelowi utraconą niewinność. Tę zabraną mu przez tabloidy czy głośny dokument „Leaving Neverland" Dana Reeda sprzed siedmiu lat, usunięty z oferty HBO Max na skutek działań prawnych podjętych przez spadkobierców artysty (jego majątek szacuje się dzisiaj na ponad 2 mld dolarów).

Chodzi zatem w filmie o wybielenie – *nomen omen* – wizerunku Michaela i nawet rzekomo aluzyjny utwór „Bad" w finale nie zapowiada, by kolejne odsłony tej filmowej biografii cokolwiek miały zmienić. Chociaż nie cała rodzina Jacksonów podpisała się pod „Michaelem", otrzymujemy kino familijne w wielu znaczeniach tego słowa. I jako filmowy gatunek (bo mamy do czynienia z kinem unikającym kontrowersji), i jako doskonały produkt marketingowy pod rodzinnymi auspicjami.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl c7a4904b88

KEVIN MAZUR / LIONSGATE / MATERIAŁY PRASOWE

MICHAEL *– reż. Antoine Fuqua. Prod. USA 2026. Dystryb. UIP. W kinach.*

Antoine Fuqua zaczynał od kręcenia teledysków, m.in. Prince'a, Steviego Wondera, Coolio czy Ushera. Zadebiutował filmem „Zabójczy układ" (1998) z Mirą Sorvino. Ma też na koncie „Dzień próby" (2001), liczne filmy akcji i kryminały, a także kolejny amerykański remake klasyka Akiry Kurosawy, czyli „Siedmiu wspaniałych" (2016) z Denzelem Washingtonem.

Powyżej: Jaafar Jackson w roli tytułowej w filmie „Michael"

Powstało kolejne generyczne dzieło z serii „narodziny gwiazdy", oparte na wyimkach z Wikipedii, na czysto promocyjnym pomyślunku i stylistyce łatwej do podrobienia przez sztuczną inteligencję. Próbuje powiedzieć nam coś o buncie – przeciwko pazernemu i przemocowemu ojcu, który po ciężkim wypadku syna dopytuje się lekarzy, kiedy ten wreszcie będzie mógł wrócić na scenę. Pośrednio mówi też coś o systemie, albowiem toksyczny Joe Jackson uosabia cały porządek rynkowy, który opowieściami o „muzycznej rodzinie" próbuje odwrócić uwagę od mechanizmów, jakimi eksploatuje się artystów.

Ale to wydaje się drugorzędne dla twórców „Michaela" – liczy się prosta opowieść o najeżonej przeszkodami drodze na szczyty, która zdaje się tylko pretekstem dla prezentacji playlisty złożonej z najbardziej znanych wczesnych kawałków. Często puszczanych z ekranu w całości i faktem jest, że trudno przy nich usiedzieć w miejscu.

Przed nami film o tym, jak Michael Jackson zamienił dziecięcą piżamkę, w której odbywał pierwsze domowe próby, na obsypaną brokatem stylówkę. O tym, jak przestał być w końcu częścią zespołu Jackson 5, adoptował szympansiątko i zwolnił z pracy własnego ojca. Poznajemy genezę słynnych choreografii, zaglądamy na plan legendarnych teledysków i... tyle. Może więc jest to po prostu film fanowski, bazujący w dodatku na ejtisowej nostalgii?

Adresowany także do nowej generacji fanów, jakkolwiek ta bywa dużo bardziej uwrażliwiona na ciemniejsze strony gwiazdorskich życiorysów. Wygumkowując dyskutowane w ostatnich latach podejrzenia związane z Jacksonem, film wyrywa tę postać z niewygodnych kontekstów, pozostawiając nas z jej niekwestionowanym dziedzictwem muzycznym, ale i niesmakiem. Wszystko bowiem w „Michaelu" – w tym również jego widowiskowość i energia – stają się trochę podejrzane. Nie mówiąc o tym, co czujny widz dostrzeże „między kadrami".

Pytanie, czy w najbliższych latach uda się komuś w kinie przeskoczyć serwowane nam od lat banały czy sensacje i stworzyć uczciwszy, bardziej pełnokrwisty portret twórcy „Thrillera". Ten jest obrazem ikonicznym, namalowanym sprawnie, acz bez większego polotu i niestety na kolanach. Jako artysta Michael zasłużył na coś więcej. ©

Lektor:
Niepokój

▪ *Klaus Mann,* **POBOŻNY TANIEC**, *tłum. Ryszard Wojnakowski, Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2026*

W LISTOPADZIE 1925 R. NA ŁAMACH MONACHIJSKIEGO TYGODNIKA „Simplicissimus" ukazał się rysunek: stateczny mężczyzna o surowej twarzy siedzi przy biurku i pisze, stojący za nim efebowaty młodzieniec kładzie mu dłoń na ramieniu: „Tato, przecież wiesz, że geniusze nie mają nigdy genialnych dzieci, więc ty geniuszem nie jesteś".

Postacie na rysunku Thomasa Theodora Heinego to Tomasz Mann i drugie z jego sześciorga dzieci – Klaus. Śmiały żart: Tomasz był już po „Buddenbrookach" i „Czarodziejskiej górze", a cztery lata później dostał Nobla, Klaus miał lat 19. Owszem, debiut miał za sobą, a o skandalu, jaki wywołała jego sztuka podejmująca wątek miłości lesbijskiej, sporo pisano, no ale...

Trudno byłoby uznać Klausa Manna za geniusza, ale był pisarzem wybitnym o dramatycznej biografii. Po dojściu Hitlera do władzy wybrał emigrację i założył antyfaszystowskie pismo, które szybko upadło; zresztą nie chciał z nim współpracować nawet ojciec, który wprawdzie też został za granicą, ale bał się utraty kontaktu z czytelnikami i tego, że zaszkodzi wydawcy. Klausa pozbawiono obywatelstwa – przyjął najpierw czechosłowackie, a podczas wojny amerykańskie, zaciągnął się też do US Army i wrócił do Europy jako amerykański żołnierz. Nękany depresją, uzależnieniem od narkotyków i poczuciem obcości wobec własnego kraju i narodu, popełnił w 1949 r. samobójstwo.

U nas najbardziej znany jest z powieści „Mefisto", o upadku moralnym artysty, który staje się sługusem totalitarnej władzy (modelem był eksmąż siostry Klausa Eriki, aktor Gustaf Gründgens). Mamy też „Punkt zwrotny", autobiografię intelektualną Klausa, jego powieść „Ucieczka na północ" i tom opowiadań ze świetną rzeczą o ekscentrycznym królu Ludwiku II Bawarskim. No a teraz otrzymaliśmy powieściowy debiut.

Bohater, nastoletni Andreas Magnus, szuka swojej drogi. Rozmyśla nad sensem własnego życia, ale i nad wyborem celów dla całego pokolenia, które po Wielkiej Wojnie znalazło się w nowym chaotycznym świecie. Co przyniesie ucieczka z uładzonego prowincjonalnego domu i wędrówka przez dekadenckie lokale i speluny wielkiego Berlina, gdzie ciała są towarem? Oraz nocne zwiedzanie Hal paryskich? Andreas, poznając ten świat, zacznie poznawać siebie, odkryje też miłość do innego mężczyzny.

Sam Klaus Mann był jawnym gejem. Jego ojciec ukrywał homoseksualne skłonności, choć uważna lektura jego prozy, nie wspominając o dziennikach wydanych pośmiertnie, wątpliwości nie pozostawia. Może perypetie uczuciowe wpłynęły na decyzję Klausa o samobójstwie? Choć jego brat, historyk Golo (Angelus), także gej, uważał, że obsesja śmierci towarzyszyła Klausowi przez całe życie. ©℗

eprasa.pl c7a4904b88

PAWEŁ

Bravo:
Jak król u prezydenta

Obierz ziemniaki, o raczej większej zawartości skrobi (może być irga, jeśli lubisz białe). Daj je do wody, żeby nie pociemniały. Potem każdą obłą bulwę lekko pościnaj po bokach, by je nieco naprostować (dlaczego matka natura nie lubi kantów?), następnie potnij na mandolinie na plasterki i wrzucaj sukcesywnie do miski, gdzie czeka już tłusta śmietanka z odrobiną stopionego masła, soli i pieprzu. Aż do końca tej zabawy (a potrwa ona do jutra) nie będziemy używać żadnych innych dodatków smakowych. Dobra, parę listków tymianku, jeśli naprawdę ktoś musi cudować.

Po czym weź dużą keksówkę, wysmaruj masłem, wyłóż dwoma paskami papieru do pieczenia ułożonymi na krzyż, też solidnie nasmarowanymi masłem. Osoby mające problemy z cholesterolem zapraszamy za tydzień. Układaj pocięte i odsączone z nadmiaru śmietanki ziemniaki w ścisłe warstwy, co drugą posól, popieprz i posyp drobinkami masła. Kiedy już wszystkie ułożysz, zawiń wystające brzegi papieru, dociśnij mocno palcami, przykryj folią aluminiową i piecz w 180 stopniach godzinę, aż wszystko będzie całkiem miękkie. Zdejmij folię, pozwól, żeby parę minut wystygło, połóż na wierzch uprzednio przygotowaną tekturę o rozmiarach ciut mniejszych od keksówki, owiniętą folią aluminiową, dociąż całą konstrukcję czymkolwiek, czego używasz w kuchni jako balast. Ja np. stosuję słoiki z miodem. Zostaw na dwie godziny, aż całkiem wystygnie.

Zdejmij obciążniki, schowaj do lodówki na noc. Żadnej drogi na skróty, skrobiowa magia wymaga czasu! Wyjmij z lodówki, wyciągnij z foremki i pozdejmuj papier. Oto masz przed sobą zwartą sztabkę ziemniaczaną, którą zamienimy w czyste gastronomiczne złoto. W tym celu wyrównaj jej brzegi nożem i pokrój na kostkę o boku 2-3 cm. Odczekaj, aż osiągnie temperaturę pokojową i obsmaż potem każdy kawałek na gorącym oleju z dwóch stron. Pan Maillard patrzy z nieba i zachęca: nuże, smaż mocniej, niech się zrumieni na ciemny brąz. Podawaj od razu.

W Białym Domu jadali to na talerzach umieszczonych na podkładce ze srebra pozłacanego techniką zwaną z francuska *vermeil*. Absurdalna w zapętleniu prostoty zapiekanka ziemniaczana, choć ją wymyślił amerykański szef, też ma francuską nazwę – *pavé*. Ładnie brzmi, lecz sens całkiem przyziemny, bo oznacza kostkę brukową. Może twórca przepisu przewidział, że tylko eleganckie brzmienie i powiew Wersalu sprawi, że komuś się będzie chciało płacić za efekt smakowy osiągalny również bez tylu ceregieli.

ALEX BRANDON / AP / EAST NEWS

Deser podany na bankiecie na cześć króla Karola zawierał biszkopt migdałowy, którego w Ameryce zwą po francusku *joconde* (na cześć Giocondy, koleżanki naszej Cecylii Gallerani). Sola w palonym maśle oczywiście była *meuniere*, a nie „po marynarsku". Jedynie groszek, ta delikatna odmiana o płaskich nasionkach i cienkim jak hostia strączku, dla której my pożyczamy od Francuzów słowo *mangetout* (czyli „wszystko do zjedzenia"), w menu waszyngtońskiego bankietu figurował po angielsku. *Snow pea* – czy dlatego śnieżny, że dojrzewa, kiedy zbocza gór jeszcze świecą na biało?

Na wstępie pojawiła się zupa-krem z wiosennych liściastych warzyw, która na pewno lepiej smakuje, jeśli nazwać ją *velouté* (do tego sałatka z serca palmy zwanej, jakże stosownie do pozłacanej okazji, wilhelmką wytworną). Pierwsze danie stanowiło przerywnik w tym francuskim menuecie, bo kiedy w grę wchodzą kluski, wszyscy nagle wołają „*bella, ciao*!". A więc *ravioli* wypełnione ricottą i smardzami polane emulsją z parmezanu. Czy, ściślej, był to *parmesan*, produkowany w mlecznym stanie Wisconsin przez potomków imigrantów z Emilii, wcale nie tak odległy od tego, jak ten ser naprawdę smakował sto lat temu w okolicach Parmy.

Etymologiczne rozkminy i złośliwe tropienie francuskiej pozłotki na języku, a nie tylko na zastawie. To zostaje maluczkim, którzy w domach częściej pastelowych niż białych mają w niedzielę krem ze szpinaku, pierożki z serem, filet rybny z kartofelkami i groszkiem z mrożonki. Tyle mamy z tej demokracji, że solę z Dover da się kupić w dobrym sklepie bez

eprasa.pl c7a4904b88

Przemowa króla Karola III podczas bankietu na cześć monarchy w Sali Wschodniej Białego Domu. Waszyngton, 28 kwietnia 2026 r.

problemu (o ile problemem nie jest cena), podobnie ricottę, smardze zaś rosną na naszej ziemi (te leśne są pod ochroną, więc każdy sprzedawca was zapewni, że zebrał z działki...). A czas, który chciałby ktoś zmarnować na robienie ziemniaczanej kostki brukowej, można przeznaczyć na lekturę krótkiej mowy bankietowej Karola.

Ileż tam było dowcipu. Wszyscy zapamiętali podarunek: dzwon z okrętu podwodnego HMS Trump. Dzwon jest fonetycznie podobny do „dzbana" tylko po polsku, ale i tak sądzę, że prezent był kolejnym z wielu ironicznych gestów, okrutnym, bo trudno wszak się przyczepić do czegokolwiek wprost. Fakt, że obwieszony orderami monarcha, uosobienie niezasłużonych przywilejów, był w stanie wreszcie zmusić demokratycznego prezydenta, trybuna z woli ludu, do milczenia – co za rzadka rzecz u niego – i kiwania głową w udawanym zadowoleniu, to jest głos na rzecz tego, że monarchia się troszkę przydaje. Stali bywalcy naszego kącika wiedzą, że choć rwę cudzoziemszczyznę jak chwast i kroję warzywa w zapałkę, a nie *julienne*, to marzy mi się poddanie Polski pod szczerozłote berło Windsorów. Po zeszłej środzie jestem tym bardziej do tego przekonany. Polerujmy platery i „wermeje", a nuż król jegomość kiedyś i u nas zagości.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Ziemniaki w dachówkę

Pavé ziemniaczane to wyśrubowana z iście jankeskim zapałem wersja XIX-wiecznej zapiekanki pommes de terre Anna, podawanej niegdyś w sławnym ze zbytku i znieprawienia Café Anglais i nazwanej na cześć bliskiej wielkim artystom i politykom z czasów drugiego cesarstwa wykształconej kurtyzany. Przepis na nią znajdziecie w numerze 4/2023. Ale my tu ciągle, niestety, tkwimy w republice, spod pozłotki wystaje wszędzie mokra tektura, a o czym dyskutują nasi bieda-politycy w swoich Café Anglais, to nagrania z Sowy pokazały. Dlatego zrobimy jeszcze prostszą wersję tej potrawy, która nie wymaga niczego poza ostrym nożem, a mimo to ma nadal niesamowity współczynnik rozkoszności. To zasługa skrobi, masła i karmelizacji. Żaden jeszcze szef nie wymyślił prostszego wytrycha do mózgu. Ponieważ przypomina dachówkę, osobom światowym podaruję francuską nazwę: tuile. Ale ciężko się to wymawia.

SKŁADNIKI:
0,5 kg ziemniaków typu B 100 g masła
200 ml śmietanki co najmniej 30% ▪ sól ▪ pieprz ▪ parmezan

Kroimy ziemniaki na bardzo cienkie plasterki – jeśli nie mamy mandoliny, starajmy się, żeby miały 1-1,5 mm grubości. Krótko je płuczemy w wodzie, po czym starannie suszymy ręcznikiem papierowym. Smarujemy grubo masłem żaroodporną formę o wielkości takiej, by pomieściła około połowę plasterków, ułożonych w równą dachówkę. Kiedy je tak wyłożymy, solimy obficie, sypiemy pieprz i zalewamy śmietanką, tak żeby prawie przykryć ziemniaki. Kładziemy drugą warstwę tak, żeby się „rozmijała" z pierwszą. Znów sól, pieprz, jeszcze trochę śmietanki. Na wierzch wiórki masła i garść parmezanu (umownego, dowolne grana padano lub podobne dadzą radę). Pieczemy w 180 stopniach ok. pół godziny, aż wierzch będzie solidnie rumiany i chrupiący, a plasterki ziemniaków pod spodem mięciutkie. Jeśli by nie były jeszcze gotowe, to musimy dalej dopiec, przykrywając całość folią, żeby się całkiem nie spaliło. Odstawiamy do ostygnięcia, najlepiej smakuje potem, ponownie lekko podgrzane. ©℗

HADASIT / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c7a4904b88

ZMYSŁY

ATTENBOROZAUR

Czego życzyć na setne urodziny najsłynniejszemu popularyzatorowi przyrody na świecie?

ADAM ROBIŃSKI

Kilka lat temu, w trakcie drugiej albo trzeciej fali pandemii, dostałem propozycję rozmowy z Davidem Attenborough. Większość tego typu przedsięwzięć realizowana była w tamtych czasach zdalnie. Pracowało się z domu, więc i wywiady przeniosły się na kilka najpopularniejszych platform do wideokonferencji. Wziąłbym, oczywiście, taką rozmowę w ciemno, nawet gdyby trwać miała tylko kwadrans. Wydawca jednej z książek brytyjskiego przyrodnika miał jednak inny plan: chciał zaprosić dziennikarzy do Londynu, by spotkali się z Attenborough twarzą w twarz, ale przez szybę.

Miałem dużo zrozumienia dla okoliczności: narażanie dziewięćdziesięcioparoletniego Brytyjczyka na choćby najmniejsze ryzyko zakażenia covid-19 byłoby nierozważne. Ale z drugiej strony lot do Anglii po to, by przeprowadzić rozmowę w tak dziwnych warunkach, wydał mi się jeszcze większym nieporozumieniem. To był przecież czas, w którym na poważnie zastanawialiśmy się nad kształtem postpandemicznego świata. Dużo mówiliśmy o zgubnych skutkach globalizacji. Snuliśmy wizje powrotu do lokalności. Bieszczady zamiast Alp i Himalajów, Mazury zamiast Wysp Kanaryjskich i Egiptu.

Być może dlatego w reakcji na wspomnianą propozycję wyobraźnia podpowiedziała mi filmową scenę odwiedzin w więzieniu. Tylko kto byłby w tej sytuacji osadzonym: ja czy Attenborough? Nie chciałem tego sprawdzać. Wiedziałem, że szansa się już nie powtórzy, ale za wywiad podziękowałem.

Jeśli żałuję, to tylko tego, że nie mogłem mu zadać tego pytania: „Kiedy się pan zorientował, że narracja, którą snuje pan przez całe życie, jest tak naprawdę smutną opowieścią o znikaniu?".

Zachwyt nad sępowronką

Bo trudno mi uwierzyć, że tak było od samego początku. „Kiedy oglądam swoje stare filmy, dociera do mnie, że chociaż miałem wrażenie, iż przebywam w dziczy, wśród pierwotnej przyrody, było to tylko złudzenie. Lasy, równiny i morza, które odwiedzałem, już wtedy pustoszały" – pisał w wydanej kilka lat temu książce „Życie na naszej planecie. Moja historia, wasza przyszłość". Jest to jednak refleksja człowieka, który patrzy wstecz: „Już wtedy z trudem znajdowaliśmy część dużych ssaków. Przesuwający się punkt odniesienia zakłóca to, jak postrzegamy przyrodę. Zapomnieliśmy, że dawniej w strefie umiarkowanej istniały lasy, przez które można było wędrować całymi dniami. Bizonów było tak wiele, że mijały cztery godziny, nim przebiegło jedno stado, a niebo ciemniało podczas przelotu ptaków. Jeszcze kilka pokoleń temu było to normalne. Teraz jest inaczej. Przywykliśmy do zubożałej planety".

A przecież gdy w 1952 r. zaczynał opowiadać o kolorowym i różnorodnym świecie przyrody, jego słowa miały zupełnie inny wydźwięk. Ich źródłem był niemal dziecięcy zachwyt: nieważne, czy opisywał znaleziony w przydomowym kamieniołomie amonit, czy chodziło o wytropioną w Sierra Leone na potrzeby programu „Zoo Quest" sępowronkę żółtogardłą – średniej wielkości biało-brązowego ptaka o długim na pół ciała ogonie.

Z czasem źródłem tego entuzjazmu stała się cała planeta – skomplikowane, wielopoziomowe procesy naturalne, których złożoność i wrażliwość wykładał w serialach takich jak „Życie na Ziemi", „Błękitna planeta" czy „Planeta Ziemia".

Jednocześnie świadkował rozwojowi i ewolucji medium telewizyjnego. To na warcie Attenborough w BBC na stałe pojawił się kolor (w lipcu 1967 r. podczas transmisji turnieju tenisowego na Wimbledonie), a jego filmy i seriale skwapliwie korzystały z cudów szybko rozwijającej się technologii.

Produkcyjnego rozmachu zazdrości dziś BBC większość dokumentalistów. Mikołaj Golachowski, naukowiec i przewodnik turystyczny po obszarach polarnych, opowiadał mi kiedyś o spotkanym gdzieś na północnych krańcach świata operatorze filmowym. Ów człowiek przez parę lat usiłował zrealizować dla BBC pewne ujęcie. Chodziło o samicę niedźwiedzia polarnego, która po wykarmieniu potomstwa wychodzi ze śnieżnej jamy. Mimo tygodni spędzonych w terenie filmowiec również w tamtym roku przegapił kluczowy moment. Nie był jednak z tego ↦

David Attenborough i pisklę albatrosa wędrownego na planie filmu „Życie pośród lodu", BBC, 1992 r.

eprasa.pl c7a4904b88

BEN OSBORNE / NATURE PICTURE LIBRARY / BE&W

eprasa.pl c7a4904b88

GISLE SVERDRUP / SILVERBACK / NETFLIX

Płaszczka jadowita, kadr z filmu „Nasza planeta", Netflix

↦ powodu ani trochę smutny – wiedział, że równolegle z nim na te same zdjęcia poluje kilka innych osób. „Komuś na pewno się uda", tłumaczył swój spokój Golachowskiemu.

Wszystkie podobne anegdoty z planów filmowych albo niezapomniane ujęcia przyrody, które znamy z telewizji, jednoznacznie kojarzą się z pracą Attenborough – i to nawet jeśli Brytyjczyk nie miał z nimi nic wspólnego. Przez osiem dekad pracy w telewizji stał się marką i gwarantem jakości. Idolem i wzorem do naśladowania dla kolejnych pokoleń twórców. Dla kilku generacji widzów – synonimem edukacji przyrodniczej (którą w Polsce kojarzymy z kolei z głosem Krystyny Czubówny, lektorki wielu z jego produkcji).

Attenborough ma na koncie tak dużo filmów i seriali, że nikt nie jest w stanie zapamiętać wszystkich tytułów. Kto nie wierzy, niech zajrzy na stronę Wikipedii poświęconą jego filmografii.

Młode pędy

Równie długa i imponująca jest lista form, jakimi go – jeszcze za życia – upamiętniono. Tytuł szlachecki otrzymał w latach 80. ubiegłego wieku – ponad 40 lat temu! – z rąk Elżbiety II. Jego nazwisko nosi brytyjski statek badawczy RRS Sir David Attenborough oraz ponad 50 rodzajów i gatunków organizmów. Są wśród nich australijski gekon *Oedura attenboroughi*, *Sirdavidia*, czyli drzewo z rodziny flaszowcowatych oraz jurajski rodzaj plezjozaura *Attenborosaurus*, którego szczątki kopalne odkryto w angielskim hrabstwie Dorset (dziś można je oglądać m.in. w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie).

Kiedy myśli się o perspektywie stulatka w spojrzeniu na otaczający go świat, metafora sędziwego drzewa narzuca się sama. Dąb albo sosna, która dawno przekroczyła tak zwany wiek rębności i teraz stoi na poboczu jakiejś zapomnianej drogi. Trakt jest wciąż ten sam, co kiedyś, choć z czasem kocie łby wyparł równy asfalt. Dawniej jeżdżono nią powoli i dostojnie, bo na koniu. Dziś środki transportu są o wiele szybsze, więc tylko przemyka się obok staruszka, niemal go nie zauważając. Tyle że naprawdę wiekowe pomniki przyrody stoją często wyłącznie dzięki stalowym podporom, rusztowaniom podtrzymującym poszczególne gałęzie albo całą koronę. Czasami ich spróchniałe wnętrze zalewa się betonem. Ale z ekranu telewizora patrzy na nas przecież matuzalem, dąb, który wciąż trzyma się prosto i każdej wiosny wypuszcza młode pędy.

Rozproszona uwaga typowego widza platform streamingowych nie nadąża za jego kolejnymi produkcjami. W samym tylko 2023 r. Attenborough był prezenterem lub narratorem czterech serii – „Dzikie wyspy", „Prehistoryczna planeta", „Nasza planeta II" oraz „Planeta Ziemia III". W 2024 r. – trzech, a w ubiegłym roku dwóch. Na początku minionego kwietnia premierę w BBC miała jego zupełnie nowa seria: „Secret Garden".

Brytyjczyk zwraca w niej uwagę na przyrodnicze bogactwo kameralnych przydomowych ekosystemów, które dla wielu jego rodaków stanowią źródło najważniejszego, jeśli nie jedynego kontaktu z przyrodą. I wciąż dostarcza ważnych kadrów – nawet jeśli ich nagranie wymagało o wiele mniej wysiłku niż przypadek niedźwiedzicy wychodzącej z nory po odkarmieniu młodych.

Weźmy scenę, w której domowy kot imieniem Pan Puszek – Mr Fluffy – zasadza się na podlota modraszki. Ptaszek spadł z ogrodzenia. Nie umie jeszcze latać, a ruchy jego skrzydeł są niezdarne. Na płocie siedzi zdesperowany rodzic. Pan Puszek ma na szyi dzwoneczek, więc cała okolica wie o polującym kocie. Młoda sikora nie ma jednak jak uciec. Pozornie błaha scena

eprasa.pl c7a4904b88

SANDESH KADUR / SILVERBACK / NETFLIX

Dzioborożce wielkie, kadr z filmu „Nasza planeta", Netflix

mrozi krew w żyłach. Wychodzące domowe koty to urodzeni mordercy, a ich zgubny wpływ na ptasią bioróżnorodność – choć dla wielu trudny do zaakceptowania – jest powszechnie znany.

„Dzwoneczek na szyi zmniejsza skuteczność kociego polowania o 30 proc. – to dobra wiadomość dla ptaków", mówi zza kadru Attenborough z taką samą powagą, z jaką omawia rytuały godowe kaszalotów.

Styrane ręce

Więc może wcale nie dąb, a właśnie niepozorny dzwoneczek będzie lepszą metaforą dorobku Brytyjczyka? Bo my, jego widzowie i fani, na co dzień zachowujemy się jak upasione na przetworzonej karmie kociaki, które nieświadome swoich zabójczych instynktów sieją dookoła biologiczne spustoszenie. I tylko czasem od złego powstrzymuje nas niepozorny głos, który z ekranu telewizorów, komputerów lub telefonów od kilkudziesięciu lat przesącza się do naszych serc. Głos, który każe zwracać uwagę na coś więcej niż czubek własnego nosa.

Zakończyć powinienem chyba urodzinowymi powinszowaniami, ale tym razem konwenans nie przystaje do okoliczności. Głupio życzyć tego, co jubilat już ma, więc „Sto lat" zabrzmiałoby w tej sytuacji wyjątkowo idiotycznie. Dlatego zakończę słowami innego wybitnego przyrodnika.

Prof. Krzysztof Skóra był oceanografem, być może najbardziej poważanym człowiekiem od spraw Bałtyku po tej stronie morza. Choć karierę naukową zaczął od badania ryb, z czasem jego uwaga skierowała się w stronę morskich ssaków. Zainicjował program przywracania polskiemu wybrzeżu foki szarej. Jednocześnie walczył o dobrostan reliktowej populacji bałtyckich morświnów. Wymyślił i pomógł zorganizować Błękitny Patrol – sieć wolontariuszy polskiego oddziału WWF, którzy monitorują nasze wybrzeże w poszukiwaniu potrzebujących pomocy ssaków morskich.

> Posłuchajmy głosu, który od kilkudziesięciu lat przesącza się z ekranów do naszych serc. **Głosu sir Davida, który każe zwracać uwagę na coś więcej niż czubek własnego nosa.**

W 2015 r., niedługo przed przedwczesną śmiercią prof. Skóry, miałem niepowtarzalną okazję pływać z nim po cieśninach Danii łączących Bałtyk z Morzem Północnym i w jego towarzystwie oglądać morświny. W notesie z tamtego wyjazdu zapisałem m.in. kilka zdań, które padły z jego ust podczas zaimprowizowanej na poczekaniu burzy mózgów z grupą dziennikarzy: „Nie wiem, czy pot na czole i styrane ręce to jednoznaczny dowód na to, że zrobiło się coś dobrze. Lepszym byłaby autentyczna zmiana sytuacji. Co z tego, że człowiek się natyra i wykona kawał nikomu niepotrzebnej roboty? Wydaje mi się jednak, że czasem, szczególnie w nauce, styrane ręce mają wymierną wartość. Robiąc swoje, człowiek dokłada cegiełkę do czegoś większego. Swoim studentom mówię: »Nawet jeśli nie umiecie zinterpretować tego, co widzicie, po prostu to zarejestrujcie. Być może po was przyjdzie ktoś, kto nada temu znaczenie. Będzie wam ten materiał zawdzięczać«".

© ADAM ROBIŃSKI

eprasa.pl c7a4904b88

TOMASZ

Stawiszyński:
Czasami cygaro

Jak policzył dziennik „Washington Post", ok. 20 proc. liberalnych i lewicowych polityków oraz influencerów wypowiadających się w mediach społecznościowych na temat strzelaniny na balu korespondentów 25 kwietnia używało sformułowań nacechowanych myśleniem spiskowym. Nie ustępowali im oczywiście zwolennicy ruchu MAGA. Jest to kolejna demonstracja zjawiska, które od dawna widać gołym okiem. No ale, jak wiadomo, z tego, że coś widzimy, bynajmniej nie wynika, że istnienie tego czegoś automatycznie przyjmujemy do wiadomości. Czasami, a w zasadzie często, jest dokładnie na odwrót – im bardziej coś jest na widoku, tym mniej to uznajemy. Po prostu rzeczywistość bywa nam nie w smak. A wówczas ochoczo wybieramy iluzję.

Nie raz już tutaj pisałem, że myślenie spiskowe – ledwie dekadę temu traktowane jako element co najwyżej folklorystyczny, niszowa osobliwość i dziwactwo – staje się obecnie coraz powszechniejszym sposobem „rozumienia" i opisywania rzeczywistości. Najciekawszym zwrotem akcji – choć powtórzę: niezaskakującym – jest przy tym okoliczność, że rozprzestrzenia się ono z powodzeniem również w środowiskach liberalno-lewicowych. A zatem tych, które do niedawna, przynajmniej deklaratywnie, pozostawały wobec takich skłonności jak najdalsze, ba, zapalczywie wytykały i piętnowały je u swoich politycznych przeciwników.

Działo się tak, nawiasem mówiąc – choć może nie całkiem nawiasem, bo to wszak jedna z głównych dźwigni teoriospiskowego mechanizmu – dopóty, dopóki reprezentanci tych środowisk sprawowali symboliczną władzę, a w każdym razie ich trwała pozycja w hierarchii społecznej nie wydawała się zagrożona. Wraz z głębszymi zmianami porządków politycznych – oraz dojściem do władzy tzw. populistów – myślenie spiskowe, efekt uboczny braku sprawstwa, zaczęło ekspandować także tam, gdzie dotąd nie było widoczne. Dodajmy rosnącą niestabilność ekonomiczną, nieprzewidywalność, zagrożenie wojną i chaosem oraz, *last but not least*, aferę Epsteina – a uzyskamy idealne wprost podłoże hodowlane dla niekontrolowanego rozrostu spiskowej mentalności.

Nie będzie chyba przesadą nazwanie tego zjawiska „spiskowym odwróceniem". Na czym ono polega? Najkrócej rzecz ujmując: wobec wszechobecności spiskowego obrazu świata – a zatem takiego, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje, bo za wszystkim stoją jakieś ukryte siły oraz agendy realizujące swoje niecne interesy – niespiskowa interpretacja zdarzeń staje się czymś ekscentrycznym i osobliwym. Traktuje się ją z pogardą, lekceważeniem lub, ma się rozumieć, podejrzliwością. Tych, którzy wyrażają sceptycyzm wobec powszechnej konspiracjologii, uprawianej namiętnie przez zmobilizowanych influencerów, polityków i innych użytkowników infosfery, uznaje się w najlepszym razie za głupców, w najgorszym zaś za łajdaków i/lub wspólników, a z pewnością sympatyków wroga.

W efekcie dochodzi do wspomnianego odwrócenia. Wbrew wcześniejszej proporcji, dziś to nie niewielkie grupy, lecz większość, łącznie z elitami, zaczyna coraz częściej operować paranoidalnym obrazem świata. Mniejszość zaś, kierując się racjonalnością i zasadą ekonomii myślenia, gotowa jest w poszczególnych sytuacjach zaakceptować, że – trawestując słynne powiedzenie niesłusznie przypisywane Zygmuntowi Freudowi – „czasami cygaro jest tylko cygarem".

Choć twórca psychoanalizy nigdy nie wypowiedział tych słów – a przynajmniej nie odnaleziono dotąd żadnych na to dowodów – oddają one specyfikę tego, o co chodzi. Każda forma myślenia spiskowego sama się wyjaśnia i odporna jest na wszelkie krytyki. A niezbędnym elementem składowym jest w niej to właśnie założenie: wszystko ma inny, ukryty, prawdziwy sens, nasze zmysły i rozum nieustannie wyprowadzane są w pole.

Cóż, doświadczenie i logika uczą jednak, że nie zawsze. Czasami cygaro jest tylko cygarem, wypadek tylko wypadkiem, zamach natomiast tylko zamachem, a nie starannie przygotowaną inscenizacją. Naturalnie, hipoteza, że coś – np. strzelanina na balu korespondentów 25 kwietnia – mogło zostać zainscenizowane, jest hipotezą, której w toku śledztwa przyznaje się pewien poziom prawdopodobieństwa, a następnie weryfikuje. Nie jest więc tak, że się cokolwiek z góry przyjmuje jako niemożliwe. Ale w spiskowym uniwersum nie obowiązują reguły weryfikacji, lecz niewywrotna dogmatyka i rozumowania *a priori*. Dlatego jest ono w całości utkane z iluzji, niezależnie od tego, że od czasu do czasu zasadnicze twierdzenie w nim obecne – „X jest wynikiem spisku!" – przypadkiem koreluje z faktami.

Dzięki połączonej pracy wielu instytucji kultury – mediów, nauki, filozofii, ale i wielkich tradycji religijnych – ludzkość stopniowo wypracowywała skuteczne narzędzia rozumienia i opisywania świata. Co istotne: owoce tego rozumienia stały się, dzięki powszechnej edukacji, dostępne niemal dla każdego. Wydaje się jednak, że wkraczamy właśnie w epokę wspomnianego odwrócenia. Być może rozumienie rzeczywistości, a zatem umiejętność efektywnego wpływania na nią, będzie już niebawem dostępne tylko garstce wtajemniczonych, pozostali natomiast żyć będą w światach wprawdzie doskonale spójnych, ale pozbawionych ontologicznej realności. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl c7a4904b88

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje.
„Tygodnik Powszechny” to przestrzeń dla tych, którzy chcą rozumieć, a nie tylko wiedzieć – dla czytelniczek i czytelników szukających pogłębionej refleksji nad rzeczywistością.
To tygodnik społeczno-kulturalny, który buduje wspólnotę ludzi myślących samodzielnie i niebojących się zadawać trudnych pytań.
Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale również w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

Tylko **do końca maja** kupując lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” otrzymujesz **specjalną ofertę** – nawet **4 zł TANIEJ** za numer niż w kiosku

OFERTA CENOWA

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10maj26** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5maj26** --> **5% zniżki**
Odbiór w Żabce	Roczna	~~cena 688 zł~~ **nowa cena 618 zł** z kodem: **10maj26z** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 368 zł~~ **nowa cena 348 zł** z kodem: **5maj26z** --> **5% zniżki**
Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl		
Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10maj26p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5maj26p** --> **5% zniżki**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c7a4904b88

Albatros travel

USA – Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęga natury.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wylot z Warszawy 04/09 2026 | od 14.498,-

Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji – kraju golfa, potwora z Loch Ness i wojowników w kraciastych spódnicach.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Edynburga. Przejazd autokarem do Glasgow. **Dz. 2** Glasgow – St. Andrews – Aberdeen. Średniowieczne ruiny zamku St. Andrews, uniwersytet i pole golfowe. **Dz. 3** Aberdeen - Speyside - Park Narodowy Caringorm. Wizyta w destylarni whisky. **Dz. 4** Park Narodowy Cairngorms - Inverness - Loch Ness - Fort William. Poszukiwanie potwora z Loch Ness, zwiedzanie zamku Urquhart. **Dz. 5** Wycieczka na wyspę Skye, Portree i pomnik jakobitów w Glenfinnan. **Dz. 6** Fort William - Edynburg. Spacer przyrodniczy po Parku Narodowym Glencoe i wizyta w zamku Inveraray, jezioro Loch Lomond. **Dz. 7** Wycieczka po Edynburgu. Stare i Nowe Miasto, popołudnie do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Powrót do Polski.

8 dni | Wyloty z Krakowa i Warszawy 09/07, 24/09 2026 | od 8.998,-

Pełne wyżywienie na statku

Paryż i rejs po Sekwanie do Normandii

Poznaj historię Paryża, katedry w Rouen oraz najpiękniejszych zamków i klasztorów w Normandii podczas rejsu statkiem po najbardziej romantycznej rzece Europy.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Paryża. Zwiedzanie miasta, zaokrętowanie i wypłynięcie w rejs. **Dz. 2** Przypłynięcie do Rouen i możliwość zwiedzania miasta z przewodnikiem (opcjonalnie). **Dz. 3** Le Havre. Piesza wycieczka po mieście portowym u ujścia Sekwany i możliwość wycieczki do urokliwego Honfleur. **Dz. 4** Caudebec-en-Caux. Możliwość opcjonalnej wycieczki szlakiem klasztorów z wizytą w imponujących klasztorach Jumièges i St. Martin de Boscherville. **Dz. 5** Vernon. Wycieczka do Giverny, zwiedzanie domu Moneta wraz ogrodem i stawem ze słynnymi liliami (dodatkowo płatne). **Dz. 6** Conflans-Sainte-Honorine. Piesza wycieczka po mieście i możliwość wizyty w zamku Château de Chantilly. Wieczór w paryskim kabarecie. (dodatkowo płatne). **Dz. 7** Paryż. Wycieczka po kosmopolitycznym Paryżu, w programie największe atrakcje – Wieża Eiffla i Pola Elizejskie (opcjonalnie). **Dz. 8** Przylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 29/08 2026 | od 9.928,-

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP08**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl c7a4904b88